

JULIETTE BENZONI

Katarzyna Tom 7

Catherine: Catherine La Dame de Montsalvy. Tome VII

Tłumaczyła: Barbara Radczak

CZEŚĆ PIERWSZA

KRÓL WIĘZNIEM

Rozdział pierwszy

POPIOŁY I ZGLISZCZA

– Miasto, miasto płonie!!!

Rozgłaszając nowinę na pełne gardło, czternastoletni Bérenger de Roquemaurel przebiegł pędem wielki dziedziniec zamku i rzucił się na schody prowadzące do komnat.

Wieść niczym pocisk z katapulty przeszła cichy pokój i dopadła Katarzynę siedzącą na kamiennej ławie pod oknem i beczynn timerawiającą czas, który, jak się jej zdawało, zatrzymał się dla niej na zawsze...

Od tamtego rozpaczliwego poranka, kiedy to przed nią i jej młodymi towarzyszami otwarły się bramy zamku de Châteauvillain, pani de Montsalvy spędzała większość dni siedząc bez ruchu z zamkniętymi oczami i żywiąc się wspomnieniami, których natrętny strumień nie przestawał kłębić się w jej głowie.

Najokrutniejsze, najbardziej rozdzierające z nich było to ostatnie: ciężko ranny Arnold, dogorywający w domu notariusza dwa kroki stąd, a mimo to niedostępny. Nie wiedziała nawet, czy umarł czy też jeszcze żyje: ukochany mąż znajdował się bowiem w rękach swego niebezpiecznego i dzikiego kompana, Roberta de Sarrebrucka, zwanego Paniczykiem z Commercy, a jedyną jego ostoją był mnich Landry, przyjaciel Katarzyny z dzieciństwa, którego niebiosa zesłały w samą porę, by pomógł jej dokonać trudnego i okrutnego wyboru* [*Patrz: „Katarzyna” tom VI.]. Lecz czy udało się mnichowi, zgodnie z przyrzeczeniem, uratować gasnące życie męża?

Od kiedy sama uciekła przed Paniczykiem i schroniła się w zamku Ermengardy, ciągle stawały jej przed oczami wydarzenia ostatnich miesięcy: jej ukochane Montsalvy obleżone przez bandę łupieżców z Gvaudan, potem wyprawa do Paryża w poszukiwaniu męża, któremu groziła śmierć z rąk skrytobójcy, uwięzienie Arnolda w Bastylii, jego ucieczka i jej starania, by wyciągnąć go z opresji. Wreszcie, list od umierającej matki wzywającej ją do Châteauvillain, a na koniec potworna niespodzianka po przyjeździe... kiedy to okazało się, że dowódca Rzeźników, zwany Błyskawicą, i Arnold, to jedna i ta sama osoba... Potem cała reszta – nieporozumienie między małżonkami spowodowane zazdrością Arnolda święcie przekonanego, że Katarzyna nie do chorej matki się udaje, lecz na umówioną w zamku schadzkę z dawnym kochankiem, Filipem, księciem Burgundii. I zanim Arnold padł bez czucia nafaszerowany pociskami z kuszy, przepędził Katarzynę, zaklinając się, że zabije ją, jeśli ośmieli się powrócić do Montsalvy...

– Pani Katarzyno! – powtórzył niecierpliwie Bérenger – słyszysz mnie? Pali się!

Katarzyna otrząsnęła się z zamyślenia, a na jej blade policzki wypłynęły rumieńce. Paż westchnął z ulgą, kiedy wreszcie poczuł na sobie uważne spojrzenie pani. Od wielu bowiem dni na próżno recytował jej najpiękniejsze ze swych wierszy i nucił najśłodsze piosenki, próbując wskrzesić choćby cień zainteresowania w jej wielkich, fiołkowych oczach, ciągle nieobecnych lub

zamkniętych.

Teraz zauważył w nich przerażenie, wolał już jednak to od obojętności.

– Pali się? – powtórzyła. – Kto podłożył ogień?

– Prawdopodobnie ludzie Paniczyka przed odjazdem! Zniknęli z miasta bez śladu! Wszystko płonie prócz kościoła.

Katarzyna, nie pytając więcej o nic, zerwała się z ławy i wybiegła z komnaty. Paź ruszył jej śladem biegnąc za długim trenem wijącym się po schodach jak czarna zmija. W okamgnieniu oboje znaleźli się na dziedzińcu.

Przypominał on wzburzone morze. Rycerze pana de Vandenesse'a, którzy przybyli na odsiecz Châteauvillain i pomimo licznych wycieczek za mury nie rozluźnili żelaznego uścisku wrogich sił wokół miasta, znowu dosiadali koni z zapalem pomieszonym z wściekłością. Wokół unosiła się woń smarów do broni i końskich odchodów. Mężczyźni złorzeczyli piekielnemu Paniczykowi, molestując niebiosa, by pozwoliły im wreszcie dopaść bandytę.

Pośrodku tego całego rozgardiaszu królował wysoki, udrapowany krepą stroik hrabiny Ermengardy kołyszący się majestatycznie wśród ludzkich i końskich głów jak korab z czarnymi żaglami. Wraz z dwiema służącymi dźwigającymi gašory stara dama przesuwiała się wśród rycerzy nie żałując im wina ani słów zachęty. Jej tubalny głos grzmiał jak odgłosy bombardowania.

– Oddam najlepszy z moich folwarków i worek złota temu, który przyniesie mi głowę Paniczyka! Dalej, rycerze! Pijcie do woli! Z wesołą głową i bić się raźniej!

Po raz pierwszy od przybycia do Châteauvillain Katarzyna uśmiechnęła się. Ach, ta poczciwa Ermengarda! Czas wcale się jej nie imał! A szcęk broni podobne na niej robił wrażenie co odgłos trąbki na starym koniu bojowym. Nie dalej jak przed paroma dniami trzeba było czworga ludzi, by odciągnąć ją od zbroi przodka, Engeranda Mocnego, którą dzielna dama chciała przywdziać i ruszyć na Paniczyka. A kiedy Katarzyna zauważyła, że jej schorowane nogi nie nadają się do wojowania, krewka hrabina odpaliła:

– Toć to nie nogi potrzebne do wywijania szpadą, moja duszko, lecz ręce! A nogi mojego konia potrafią utrzymać nie lada ciężar!

Na koniec porzuciła jednak myśl, by dosiąść dzielnego rumaka, i zdała się na pana de Vandenesse'a. Niestety, i ta wycieczka rycerzy za mury okazała się równie bezowocna co poprzednie; zdawało się, iż Rzeźnicy nigdy nie wyniosą się spod zamkowych bram...

Katarzyna przyglądając się w milczeniu przygotowaniom, usłyszała nagle czyjś szept:

– Hrabina przyrzekła fortunę temu, kto zetnie głowę Paniczyka, nadobna pani... Czy ofiarujesz mi choć jeden uśmiech... a może pocałunek, jeśli to ja złożę ją u twych stóp?

Katarzyna zadrżała, zmarszczyła brwi, niezadowolona jak zawsze, gdy spotykała na swej drodze pana de Vandenesse'a. Od kiedy znalazła schronienie za murami zamku, zalecał się do niej, choć na szczęście w sposób na tyle dyskretny, by nie było to wielkim uprzykrzeniem. Najbardziej drażnił ją jego wygląd, a to z powodu podobieństwa do księcia Burgundii, podobieństwa, które spowodowało tragiczną pomyłkę Arnolda, a jej przyniosło zgubę.

Po prawdzie, kto znał dobrze księcia Filipa Dobrego, nie widział w Vandenesse jego wiernego odbicia. Choć podobnego wzrostu, prawie

identycznej twarzy, to jednak brakowało mu imponującej postawy księcia, widocznej nawet pod skorupą zbroi. Tylko ci, którzy nigdy nie widzieli księcia z bliska, mogli dać zwieść się podobieństwu...

Spojrzała rycerzowi prosto w twarz.

– Nie potrzebuję, panie, głowy Paniczyka! Obchodzi mnie tylko los mego męża... jedyne go człowieka na ziemi, który może żądać ode mnie pocałunku!

– Zadowolę się więc uśmiechem... A co do głowy, zrobisz z nią, pani, co zechcesz!

Skłoniwszy się głęboko, skierował kroki do swego konia, którego paż trzymał za uzdę, podczas gdy Katarzyna, a w ślad za nią Bérenger, ruszyła na mury z uczuciem, że cofa się o kilka miesięcy, kiedy to w nieustającym deszczu przebiegała mury Montsalvy z sercem przepelnionym trwogą, nie wiedząc, jakie nowe okropieństwo ukaże się jej oczom.

W dole płonęło miasto jak olbrzymia pochodnia, buchając gęstymi kłębami czarnego dymu, przesłaniającymi blade, jesienne niebo. Na szczęście rzeka odgradzała zamek od żarłocznych płomieni.

Spojrzenie Katarzyny gorączkowo szukało jednego tylko dachu i jednego okna: tych z domu notariusza, w którym musiała zostawić rannego męża, ale strzeliste płomienie przesłaniały wszystko.

– Dobra robota! – zauważył ze stoickim spokojem Walter, wypatrujący na murach. – Paniczyk odgrodził się od nas zasłoną ognia, dzięki czemu mógł odjechać bez pośpiechu, a pan de Vandenesse powinien poczekać, aż pożar ugaśnie. Nie przeciągnij się przez płomienie!

– Chyba nie ma tam żywej duszy – szepnęła Katarzyna powstrzymując łzy.

Walter de Chazay, do niedawna jeszcze student Sorbony, obecnie zaś giermek pani de Montsalvy, wzruszył ramionami drapiąc się po rudej czuprynie.

– Możesz być, pani, spokojna! Stoję tu już długo i gdyby tam ktoś jeszcze był, usłyszałbym krzyki.

Katarzyna gwałtownie odwróciła się od płonącego miasta.

– Sama muszę się o tym przekonać! Osiodłaj mi konia, Walterze!

– Żebyś sama żywcem spłonęła? Nigdy! Jeśli ten wielki zabijaka de Vandenesse znajdzie coś, doniesie nam o tym! – odpalił giermek ku wielkiemu niezadowoleniu swej pani i szybko dodał: – Ale bądź spokojna, pani, przyprowadzę ci konia... za chwilę! Tymczasem nic nie możesz uczynić dla miasteczka. Wkrótce zostaną z niego same popioły i zgliszcza. A co do twojej wyprawy, to uważam, że może poczekać godzinę czy dwie, jak mniemam.

– A po co ta cała moja wyprawa, jak sądzisz?

– Och! Nietrudno zgadnąć – zaskrzeczał nieśmiało Bérenger głosem zmienionym przez mutację. – Wszyscy o tym myślimy i wszyscy mamy ochotę udać się do klasztoru Bons Hommes, żeby się upewnić, czy brat Landry wrócił, gdyż tylko on może nam powiedzieć, co się stało z panem Arnoldem.

– Żeby tylko te potwory nie zabrały go ze sobą – westchnął Walter.

– Cokolwiek by się stało, chciałabym, żebyście nie debatowali nad moimi rozkazami! – obruszyła się Katarzyna.

W jej oczach zabłyśły łzy, na widok których młody de Chazay rzucił się na kolana pełen skruchy.

– Pani! Tyle już wycierpiałas, a niepokój i rozpacz nie rozjaśniają umysłu. Lepiej więc zdaj się na nas! Wiesz dobrze, że poszlibyśmy do samego piekła, gdyby trzeba było stamtąd wyciągnąć twojego pana męża! Musisz być dzielna! Koniec z zamartwianiem się w odosobnieniu i bezczynności! Znowu staniesz się sobą i wkrótce wrócisz do domu, do dzieci, do swej ziemi i poddanych!

Tym razem nie mogła zapanować nad uśmiechem, widząc zapał w szarych źrenicach chłopca, który pośpiesznie wstał z klęczek. Walter rzadko poddawał się emocjom, a jeśli już, to zdawało się, że natychmiast tego żałuje. Zbita z tropu, lecz nieco podniesiona na duchu, Katarzyna ujrzała, jak przebiegł po murach, pokonał strome, kamienne schody i pognął w stronę stajni. Odwróciła się z westchnieniem i oparła się na ramieniu pazia.

– Zdajmy się tedy na pana Waltera!

Dziedziniec powoli opustoszał. Ostatni rycerze przekraczali most zwodzony, który w szarym murze otworzył wielki łuk bladego nieba, na którym snuły się jeszcze posępne spirale czarnego dymu. Stojąca na podjeździe hrabina Ermengarda patrzyła za oddalającą się chorągwią de Vandenesse'a. Widząc zbliżającą się przyjaciółkę, ogarnęła ją spojrzeniem pełnym podniecenia.

– Wreszcie będziemy mogły zająć się czymś bardziej interesującym niż wyszywanie! – krzyknęła. – A gdybyśmy tak wybrały się do brata Landry'ego? Co ty na to, moja droga?

– Jak zwykle masz rację, Ermengardo!

Po chwili obie hrabiny, pokonawszy rzekę, zagłębiły się z błogim uczuciem w tchnącym świeżością i ciepłymi zapachami jesieni wilgotnym galijskim lesie. Po przebyciu spalonych, zięjących żarem miejsc odczuły to jak kąpiel młodości, odprężenie dla ciała i hart dla duszy. Jadąc po kobiercu traw i liści, spośród których wyglądał tu i ówdzie brązowy kapelusz borowika, Katarzyna doznawała uczucia, że pozbywa się dusznej skorupy milczenia, w której zasklepiła się przez długie tygodnie. Niedawno odkryła ze zdumieniem, że jej przyjaciele odnosili się do niej z ostrożnością i litością jak do jakiejś chorej... Dlatego budząc się z bolesnego snu trwającego od miesiąca wdychała życie pełną piersią w nadziei, że wreszcie dowie się o losie Arnolda.

Mały klasztor Bons Hommes wkrótce wyłonił się zza drzew, zdając się grzać swe szare mury w zapachu otaczających go pól mięty i melisy. Z niskiej dzwonnicy odbijającej się w zielonej wodzie Aujon dobiegał nieśmiały dźwięk dzwonu. Oprócz śpiewu ptaków i szmeru wody był to jedyny dźwięk słyszalny w okolicy oddanej modlitwie i spokojem odcinającej się od wojennych zamieci, od zniszczeń i przemocy.

Walter zeskoczywszy z konia pociągnął za sznur u niskich, byle jak skleconych i wielokrotnie naprawianych drzwi. Na dźwięk dzwonka drzwi te otworzyły się z żalonym skrzypieniem, ukazując wielkiego i tak owłosionego osobnika, że przypominał niedźwiedzia przebranego za mnicha. Jego twarz, nie licząc okrągłego nosa i pary nieufnych oczu, pokrywała obfitość rudych włosów, pasujących do szczeciniastych kęp, które niczym chwasty wyrastały na jego wielkich rękach i wystawały zza kołnierza połatanego habitu.

– Czego tu chcecie? – spytał bez nadmiernego wdzięku, lecz z jakimś dźwięcznym zaśpiewem, niespotykanym u niedźwiedzi.

Grzmiący głos Ermengardy podjął z nim zadziwiający duet.

– Dalej, bracie Ausbercie, otwórzcie nam te wrota! Chcieliśmy się zobaczyć z ojcem przeorem! A czy brat Landry jest też u was? Wrócił, jak sądzę!...

Słyszając głos hrabiny, zagadnięty zmięknął natychmiast i wykrzywił twarz w czymś, co z trudem mogłoby ująć za uśmiech.

– Słodki Jezu!... Pani Ermengarda!... Pani Ermengarda we własnej osobie!... Wybacz mi, hrabino, lecz nie poznałem jej!

– A to dlatego, że wzrok ci słabnie, bracie Ausbercie, gdyż ja ciągle wyglądam tak samo! A więc, gdzie jest przeor?

Uśmiech niedźwiedzia przekształcił się w bolesny grymas i olbrzym niemal z płaczem odpowiedział:

– Jest tutaj, pani... Ale w jakim stanie!... Nie wiem, czy możesz go zobaczyć... nawet ty, pani...

Tymczasem Katarzyna zeskoczyła z konia i zbliżyła się do mnicha. W jej sercu zrodziła się obawa.

– O Boże! Czyżby brat Landry?... Błagam cię, bracie, powiedz nam prawdę!...

– Nie, nie! Chociaż... nasz brat Placyd, który się nim opiekuje, nie ma wielkiej nadziei, że wyciągnie go z tego...

– A co mu się stało?

Brat Ausbert gniewnie potrząsnął grzywą, ukazując tonsurę podobną do leśnej polany usianej chwastami.

– To przez te wściekłe psy! To przez rozbójników grasujących po okolicy! Wczoraj napadli na nas, zabrali nam wszystkie zapasy, a kiedy odjechali, znaleźliśmy ciało naszego przeora na progu. Uwiązawszy go do końskiego ogona ciągnęli go aż tutaj!

Mówiąc te słowa, mnich rozbeczał się na dobre, ale Walter w mig położył kres jego łzom.

– Oto przyczyna, dla której musimy go zobaczyć! Ja jestem po trosze medykiem.

– Jeśli tak... to wejdźcie! Może jest jeszcze iskra nadziei!

I brat Ausbert biegiem powiódł przybyszów przez ogołocony ogród warzywny. Cały klasztor wyglądał jak po nawałnicy: wszędzie widać było powyrywane drzwi, okna, wokół straszyły czarne ślady po ugaszonym pośpiesznie pożarze widoczne na murach kaplicy. Mnisi, zwabieni odgłosami rozmowy, wyłonili się ze swoich kryjówek. Poowijani prowizorycznymi bandażami przedstawiali pożałowania godny widok.

Katarzyna jednak nie zauważała niczego. Jej serce i myśli biegły wyłącznie do przypadkowo spotkanego przyjaciela z dzieciństwa, który pomógł jej z narażeniem własnego życia. Myśl, że mógłby umrzeć, była nie do wytrzymania.

Jej serce ścisnęło się jeszcze bardziej, kiedy zobaczyła leżące na pośłaniu z desek i słomy zbiedzone, wychudłe ciało przyjaciela zaledwie okryte wytartym kocem. Przy chorym krzątał się mały, okrągły mnich, przykładając do jego obrzękłej twarzy świeże zioła. Landry z zamkniętymi oczami, z poszarpanymi przez sznury dłońmi skrzyżowanymi na piersi poddawał się bezwolnie jego zabiegom. Spod strzępów klasztornej szaty nieszczęśnika przeglądały okłady z ziół. Hrabina Ermengarda widząc to wzdygnęła się.

– Ależ on jest w strasznym stanie! Czy nie macie go czym leczyć?

– Rabusie wszystko zabrali – wyjaśnił brat Ausbert. – Złakomili się nawet na zapas szarpi i maści brata Placyda. Nic nam nie zostało prócz leśnych ziół.

Słyszając to Ermengarda ruszyła hałaśliwie w towarzystwie giermka i pazia Katarzyny do zamku po wszelkie potrzebne rzeczy i lekarstwa. Tymczasem Walter przy pomocy brata Placyda zabrał się do zbadania poszkodowanego.

– Czy będzie żył? – spytała z niepokojem Katarzyna.

– Na razie żyje, a to już wiele. Wydaje się, że oddycha normalnie, lecz nie mogę nic więcej powiedzieć. Wiesz dobrze, pani, że zrobię wszystko – dodał popychając lekko Katarzynę w stronę drzwi – niestety nie posiadam wiedzy medyków arabskich czy żydowskich...

Medyk arabski!... Błądząc po małym wiejskim klasztorze i zdewastowanym ogrodzie, Katarzyna pomyślała o starym przyjacielu Abu-al-Khayrze, medyku z Grenady, którego mądrość i wiedza łączyły się dla ratowania ciał i pocieszania dusz. Dziwne to, bez wątpienia, przywoływać w myślach syna islamu pod sklepieniami chrześcijańskiego klasztoru... Katarzyna jednak nie czuła, iżby popełniała świętokradztwo, gdyż dobrzy ludzie są wszędzie u siebie. Abu umiał znaleźć słowa pociechy, słowa, które przywracają do życia, gesty, które ratują podobnie, a nawet lepiej niż niejeden chrześcijanin...

Poczuła rozdierającą potrzebę ujrzenia medyka z Grenady, gdyż pomimo obecności przyjaciół nigdy nie czuła się taka samotna, taka oderwana od własnych korzeni. Jeśli Landry umrze, nigdy nie będzie wiedziała, co się stało z Arnoldem, czy żyje, czy też jego wielkie, niezwykłe ciało zaczęło się już rozkładać zasypane kilkoma łopatami ziemi z Châteauvillain...

Natychmiast jednak odrzuciła tę samolubną myśl, która źle oddawała jej stan ducha. Prawda była taka, że gdyby Landry umarł, odebrałaby to jak jeszcze jedną utratę Arnolda.

Pojawienie się Waltera przerwało ponury bieg jej myśli. Młodzieniec miał pośepną minę, co nie uszło jej uwagi.

– No więc?... Co z Landrym?

– Trudno rzec... Zastanawiam się, czy została mu choć jedna nietknięta kość... Te dzikusy nie patyczkowały się z nim...

– Jest przytomny?

– Nie. I dodałbym... że na szczęście. Cierpi mniej... Po co? Po co oni to zrobili? – wybuchnął nagle wrywając ze złością wąs powoju wijący się po schodach klasztoru. – I dlaczego właśnie teraz? Minał już przecież miesiąc, od kiedy pomógł nam wyrwać się ze szponów Paniczyka!

– Chcesz powiedzieć, że powinien go torturować wcześniej? – przerwała Katarzyna z niedowierzaniem.

– Właśnie... Nie gniewaj się, pani, ale staram się myśleć logicznie. Chcę znaleźć przyczynę inną niż nasza ucieczka. Gdyby Paniczyk chciał ukarać Landry'ego za nasze zniknięcie, uczyniłby to nie zwlekając...

– Szukasz więc przyczyn aktu bezinteresownego bestialstwa? – uniosła się Katarzyna. – Robert de Sarrebruck jest potworem, który zabija dla samego zabijania, który zadaje tortury dla własnej przyjemności...

– ...który do tej pory okazywał jednak pewien szacunek dla Kościoła. Chcę przez to powiedzieć, że unikał zabijania jego przedstawicieli, gdyż

oczywiście ten szacunek nie dotyczył dóbr materialnych. Jeśli zaś posunął się do tak barbarzyńskiego czynu wobec sługi bożego, to znaczy, że oszalał... lub że pchnęła go do tego jakaś siła wyższa!

Katarzyna pokręciła głową bez przekonania, lecz Ermengarda, która niebawem wróciła na czele zastępu mulic i wozów wypełnionych po brzegi, tak że wystarczyłoby wszystkiego na zaopatrzenie całego miasteczka, poparła zdanie Waltera: tortura zadana Landry'emu, która miała go wyprawić na tamten świat, była spowodowana ważną przyczyną; ale jaką?...

– Niestety, na to pytanie nieszczęśnik wydaje mi się niezdolny odpowiedzieć – westchnęła na koniec.

Walter, który zdawał się polegać bardziej na własnej intuicji niż na zdobyczach medycyny, ze zdwojoną energią zabrał się do pielęgnowania Landry'ego, wspomagany przez Katarzynę i Bérengera, uczestniczących w ciszy w nierównej walce młodzieńca ze śmiercią. Zmagania trwały do późnych godzin nocnych. Przez cały ten czas mnisi stłoczywszy się w zdewastowanej kaplicy wznosili do niebios gorączkowe modły, przeplatając psalmy pokutne błaganiami o miłosierdzie dla ukochanego współbrata.

Stopniowo jednak nadzieja coraz bardziej słabła. Oddech chorego stał się krótszy, zamieniając się w charczenie. Woskowa skóra twarzy poszarzała i cień śmierci powoli opadł na brata Landry'ego. Pomimo zdwojonych wysiłków młodemu medykowi nie udało się wskrzesić w zmaltretowanym ciele choćby isierki życia.

Z nadejściem brzasku stało się oczywiste, że odrobina życia kołacząca się w męczenniku uciekała pospiesznie i że nie można było dłużej liczyć na cud. Katarzyna nie opuszczała przyjaciela od wielu godzin. Klęcząc u wezglowia trzymała jego chropowatą rękę jak rannego ptaka, pochłonięta wspomnieniami z dzieciństwa, które uosabiał umierający, szczęśliwego dzieciństwa spędzonego wśród niekształtnych domów przy Pont-au-Change w Paryżu, w otoczeniu codziennego radosnego rozgardiaszu sklepików złotników, pełnych dźwięcznego stukotu narzędzi obrabiających cenny metal i pokrzykiwań właścicieli kantorów, Lombardczyków czy Normandczyków. Czas wspólnych szalonych gonitw wzdłuż wybrzeża, żeby przyjrzeć się pękatym barkom płynącym w górę lub w dół rzeki. Czas wspólnych kąpiei w rzece, czas łasowania w kuchniach, w których roznosił się zapach konfitur Jacqueline Legoux lub pani Pigasse, czas bitew śnieżkami i ślizgania się po skutej lodem Sekwanie, wreszcie czas szalonych eskapad do dziwnych i fascynujących miejsc wielkiego miasta, przyciągających dziecięcą ciekawość, począwszy od pałacu królewskiego czy Notre Dame aż po tajemniczy i niespokojny Dziedziniec Cudów... I Katarzyna poczuła w tej chwili, że wraz z agonią Landry'ego w niej samej umiera tamta mała dziewczynka, gdy bowiem jego zabraknie, nikt więcej nie będzie pamiętać o Pont-au-Change i wspominać razem z nią szczęśliwych chwil dzieciństwa...

– To już koniec... – wyszeptał zachrypłym głosem Walter ciskając z wściekłością miskę z balsamem, którym nie przestawał zwilżać warg chorego.

Piersią Katarzyny wstrząsnął szloch i okrzyk buntu.

– Nie! To niesprawiedliwe!...

Na dźwięk jej głosu ciało Landry'ego zadrżało. Jego powieki, zdawać by się mogło, ciężkie jak granit, drgnęły i uniosły się z wysiłkiem, ukazując

matowe źrenice, które obróciwszy się spoczęły na zapłakanej twarzy przyjaciółki. Spieczone wargi uśmiechnęły się.

– On żyje... – wyszeptał Landry jednym tchem, który był ostatnim. Wszystko się skończyło. Paryski urwis, jeździec Wielkiej Stajni Burgundii, mnich Saint-Seine i Châteauvillain oddał Bogu swą dobrą, prostą duszę.

– Landry! – jęknęła przez łzy. – Dlaczego? Mój Boże, dlaczego? Silna dłoń Ermengardy postawiła ją na zeszywniałe nogi i hrabina przytuliła ją do siebie bez ceregieli.

– Dlatego, że nadeszła godzina, Katarzyno!

– Ale on umarł dla mnie... przeze mnie!

– Mylisz się, moja droga! On umarł, bo Bóg tak chciał... a może i on tego chciał! Duszą takim jak jego męczeństwo przynosi zadowolenie. Znałaś go jako dziecko, lecz nie znałaś jako mężczyzny. Nie mogłaś więc nic wiedzieć o jego dążeniu do absolutu. Ale ja go znałam. Od swego Boga zniósłby najcięższe doświadczenia jak błogosławieństwo. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciał oddać życie za swych braci. Został wysłuchany i wiesz równie dobrze jak ja, że umarł szczęśliwy... tak, szczęśliwy, gdyż w ostatnim tchnieniu udało mu się ukoić cierpienie i niepokój istoty, którą kochał. Umarł szczęśliwy, mogąc ci powiedzieć, że twój mąż żyje!... Ale, do diabła! Co ci jest?

Katarzyna z okrzykiem przerażenia wyrwała się z objęć hrabiny. Jej oczy wyrażały przerażenie.

– Arnold żyje? Gdzie? Czy nadal trzyma z tym potworem Paniczykiem? Och! Ermengardo, powiedz, że nie jest z nim i że nie brał udziału w tym okropnym czynie! Myśl, że mógłby być jednym z katów biednego Landry’ego, jest nie do zniesienia!

– Nie sądź tak, pani! – przerwał żywo Bérenger. – Znasz pana Arnolda najlepiej. Jest gwałtowny i surowy, ale boi się Boga i zawsze był prawdziwym rycerzem. Myśl tylko, że żyje i nie szukaj powodu, by go nienawidzić!

Katarzyna przez łzy uśmiechnęła się do pazia broniącego tak zajadle swego pana i zamilkła. Za nic w świecie nie chciałyby obalić wiary chłopca, wyjawiając przed nim swe wątpliwości, a zwłaszcza to, że wcale nie była pewna, czy dobrze zna swego męża. I podczas gdy w świeżości szarzejącego dnia zmierzała w stronę zamku Châteauvillain przez bór, w którym rozbrzmiewał trzask skowronka zwycięski jak Zmartwychwstanie, odpowiadając łagodnemu i smutnemu dźwiękowi dzwonu małego klasztoru, nie wiedziała już sama, czy było w niej więcej radości czy obaw, nadziei czy niepokoju... Jednego była pewna: powinna dziękować Bogu za dar losu: Arnold żył!

Tym razem mały zastęp nie musiał zejść do rzeki, by wrócić do zamku. Pożar dogasał. Miasteczko zamieniło się w kupę poczerńiałych zgliszczy, wśród których uwijali się przy porządkowaniu żołnierze Ermengardy.

Pan de Vandenesse wrócił z wyprawy w podłym humorze i słycać było, jak się kłóci z seneszalem de Châteauvillain, który miał bronić zamku pod nieobecność hrabiny. Vandenesse ryczał chcąc zgnieść przeciwnika wściekłą pogardą, podczas gdy seneszal, starszy już człowiek, odpowiadał z lodowatą uprzejmością połączoną z niewzruszonym uporem.

– W tym zamku jedynie pani Ermengarda ma prawo do wyrokowania o życiu i śmierci; nie tkniemy tego człowieka, dopóki ona nie powróci!

Przedmiot dysputy leżał na schodach pomiędzy dwoma adwersarzami. Był nim człowiek tak omotany łańcuchami, że zatracił ludzkie kształty. Na jego skórzanej oponczy lśniły strugi krwi.

– Już idę! – huknęła hrabina spinając konia. – Co tu się wyrabia? Dlaczego postponujesz mojego senezala, baronie?

– Wzięliśmy jeńca, pani, a senezal nie pozwala go wybadać!

Po czym pan de Vandenesse opowiedział o swojej przygodzie. Ślady zostawione przez hordeę Paniczyka były zbyt świeże i głębokie, by je przeoczyć... aż wreszcie zrozumiano, że to pułapka...

– Paniczyk myślał, że łatwo pokona nasz niewielki oddział, ale się pomylił! – wrzasnął baron. Straciliśmy tylko jednego człowieka, a uciekając udało się nam wziąć jeńca!

– Jednym słowem, wszyscy pouciekali! – stwierdziła zimno Katarzyna. – A przecież obiecałeś mi głowę Paniczyka!

Mówiąc zbliżyła się do pojmanego i nagle na jego widok wydała okrzyk i upadła na kolana tuż przy nim, ujmując rozczochraną głowę w swe ręce... Znała tego człowieka! Był to Owerniak zwany Kulawcem, jeden z ludzi jej męża, ten sam, który pomagał Walterowi leczyć Arnolda...

– Ależ, Katarzyno, co ty wyrabiasz! – ryknęła Ermengarda. Katarzyna nie odpowiedziała, lecz spojrzała gniewnie na barona.

– Znam tego człowieka i ja sama go wypytam! Rozwiązać go! – rozkazała.

– Nie myślisz chyba, pani – zaprotestował Vandenesse marszcząc brew.

– A czy nie widzisz, że ten człowiek jest umierający? Jakie informacje chcesz wyciągnąć z trupa?

Tymczasem Walter, nie zważając na barona, uwolnił z pęt jeńca, który nieruchomo legł na schodach.

– A może jeszcze każesz zanieść go do łóżka, pani? – zagrzmiął Vandenesse.

– Właśnie tak! Proszę cię, Ermengardo, każ dwóm żołnierzom, by przenieśli tego człowieka do zamku. Walter się nim zajmie. Mam nadzieję, że zdołam wyciągnąć z niego coś...

Hrabina de Châteauvillain zbyt dobrze знаła przyjaciółkę, by z nią dyskutować, kiedy widziała w jej oczach ten szczególny płomień. Z jakiegoś powodu Katarzyna postanowiła za wszelką cenę uratować ранego rzeźnika, toteż chwilę później Kulawiec niesiony przez dwóch ludzi zniknął wraz z Walterem w jednym z pokoiów fortecy, na której on i jemu podobni wyłamali sobie wiele zębów.

Kiedy po godzinie dobiegła końca msza za spokój duszy Landry'ego, Katarzyna śpiesznie udała się do pojmanego Kulawca. Na progu jego pokoju stał Walter, który powitał ją uśmiechem.

– Jesteś proszona, pani!

– Ja?

– Tak! Jeniec był co prawda mocno poturbowany, ale nie aż tak, by nie usłyszeć, jak wstawiłaś się za nim. Dobrze wie, że zawdzięcza ci życie.

– Do czasu... aż się go powiesi! – wtrącił gniewnie Vandenesse, który zbliżył się bezszelestnie do rozmawiających. – Ja też do niego zajrzę!

Szare oczy giermka zwięzły się ze złości.

– Tylko pani Katarzyna! – powiedział oschle. – Ranny chce z nią rozmawiać, lecz tobie, panie, nie powie nic. Zresztą jest za słaby, by przyjmować zbyt wielu gości.

Baron wymamrotał coś pod nosem o tym, jak urządziłby rannych zbójców i ich opiekunów, jednakże odwrócił się i splótłszy dłonie na plecach podszedł do Ermengardy.

Leżący na stercie poduszek Kulawiec, z rozległą raną na piersi, osłonięty zielonymi zasłonami, które podkreślały jeszcze jego trupią bladość, wyglądał, jakby był dwa kroki od śmierci. Pokój wypełniał jego świszczący oddech. Na widok Katarzyny bezbarwne oczy rozbójnika pojaśniały żywszym blaskiem.

– Prosiłem, byś tu przysłała, szlachetna pani... żebym mógł ci podziękować... i żeby się dowiedzieć jednej rzeczy: dlaczego uratowałaś mi życie?

– O, to zbyt wiele powiedziane. Jeśli nawet Walterowi uda się ciebie wyleczyć, masz wielkie szanse, by ponownie dostać się w ręce kogoś, kto marzy, by cię powiesić!

Kulawiec wzruszył potężnymi ramionami, na których kępy włosów tworzyły fantazyjne archipelagi.

– Jeśli go to ucieszy, nie widzę przeszkód. Pod warunkiem wszakże, że da mi dość czasu, bym pogodził się z Bogiem. Potem może ze mną zrobić, co zechce ten, wasz baron! Jestem już zmęczony życiem. Lecz ty, pani, pytaj, o co chcesz. Vandenesse mógłby obdzierać mnie ze skóry cał po calu, a nie usłyszałby nic oprócz jęków. Ty, pani, to co innego...

– A więc, powiedz mi, co się stało z moim mężem, Arnoldem... Gdzie przebywa w tej chwili? Czy jest z Paniczykiem? Czy jest jego więźniem?

– Więźniem? Dlaczego? Nie było powodu... Nie, mija trzeci dzień, jak odjechał. Zabrał ze sobą Cornisse'a – dodał z goryczą zdradzającą ponurą zazdrość – lecz to prawda, że Cornisse najwięcej się nim opiekował... razem z mnichem, rozumie się! A nie było to łatwe. Na początku myśleliśmy, że kapitan nie przetrzyma. I nagle poprawiło mu się i potem zaczął szybko przychodzić do siebie.

Z piersi Katarzyny dobyło się westchnienie ulgi. Trzy dni temu!... A więc Arnolda nie było tu, kiedy Paniczyk torturował Landry'ego! Z całego serca dziękowała Bogu za to, że przynajmniej tego jej oszczędził...

– Dlaczego odjechał? I gdzie?

– Na Boga, tego nie wiem! Wzięło go nagle! Pewnego wieczoru pokłócił się z Paniczykiem. Krzyczał tak głośno, że można go było słyszeć na cztery mile. Powiadał, że dosyć ma sterczenia u podnóżu zamku nie do zdobycia i że gdzie indziej ma coś lepszego do roboty.

– A co na to Paniczyk?

– Tego to nikt nie wie. Pan Robert nigdy nie krzyczy. Co zaś do pana Arnolda, to przeciwnie. Wydaje mi się, że mówił coś o Dziewicy Orleańskiej... Tak, na pewno! – krzyknął nagle Kulawiec w olśnieniu... – To to! Przypominam sobie na pewno, jak powiadał, że tylko Dziewica Joanna może mu pomóc, że zawiedzie ją przed oblicze króla i że razem wypędzą Anglików i Burgundczyków! Potem usłyszałem, jak Paniczyk wybuchnął śmiechem. Muszę rzec, że Dziewica była między nimi zawsze kością niezgody. Kapitan Błyska...

to znaczy pan Arnold, przysięgał, że widział ją żywą, a Paniczyk twierdził, że została na pewno spalona i że Anglicy nie robią niczego połowicznie. Ale pan Arnold upierał się...

– Co za głupota! – rozzłościła się Katarzyna. – Był przecież w Rouen razem ze mną w dniu, kiedy Joanna spłonęła na stosie... nigdy nie zapomnę widoku jej twarzy ogarniętej płomieniami... ani tej okropnej woni spalonego ciała! Mój mąż musiał chyba postradać zmysły! Dał się zwieść zwykłemu podobieństwu! Mnie również mówił, że spotkał Joannę, lecz powiedziałam mu, co o tym sądzę!

– Widać niewiele się tym przejął! Jeśli chcesz wiedzieć, co o tym myślę, szlachetna pani, on musiał wyruszyć jej na spotkanie!

Katarzyna poczuła, że wzbiera w niej gniew. Jak mógł pomylić zwykłą awanturnicę z Joanną, z tą, której jedno spojrzenie wystarczyło, by dobrzy ludzie padali na twarz, z wysłanką niebios, która potrafiła podporządkować sobie armie wraz z niepokornymi kapitanami, La Hire'em, Xaintrilles'em czy bastarden orleańskim?

Będąc wobec siebie szczerą, młoda kobieta pojęła, że na dnie jej gniewu drzemie zazdrość. Ostatnie spotkanie z Arnoldem pozwoliło jej odkryć nie tyle męską złą wolę w ogóle, gdyż ta nie była dla niej nowością, co złą wolę swego męża w szczególności. Fakt, że tak łatwo dał się zwieść podobieństwu, musiał być spowodowany tym, że nieznamoma wzbudziła w nim uczucie inne niż sam tylko podziw dla ideału... Może przyczyną było zwykłe pożądanie?... Zachowywał się przecież jak ktoś złapany na gorącym uczynku: wywinał się z tego oskarżając i krzycząc głośniejszym głosem niż ona. A teraz zaledwie wyzdrowiał, ruszył na poszukiwanie tej kreatury! Można było oszaleć!

Gwałtownie odwróciła się w stronę okna, przy którym dyskretnie stał Walter. Nagle przyszła jej do głowy myśl niezbyt przyjemna, lecz mogąca wszystko tłumaczyć.

– Mój mąż został ranny w głowę... być może... Walter zbliżył się kręcąc głową.

– Postradał zmysły? Nie sądzę. Był ranny w twarz, pani Katarzyno, nie w czaszkę. Oprócz tego, pomimo że nie znałem pana kapitana zbyt dobrze, wydał mi się człowiekiem upartym, przywiązany do swojego zdania aż do zaślepienia. Otóż uważam, że wbił sobie do głowy, że ta kobieta to cudownie wskrzeszona Joanna d'Arc. Czyż nie była wysłanniczką niebios?... Pan Arnold tak pragnie w to uwierzyć, że zadaje kłam swoim własnym wspomnieniom... Przywiązywał się do swojej chimery tym mocniej, że jest przekonany o twojej zdradzie, pani...

– To niedorzeczne! A czy mówił o mnie po moim wyjeździe? Kulawiec spaśował na twarzy. Widocznie kłamstwo nie chciało mu przejść przez gardło. Katarzyna jednak nalegała.

– Powiedz, czy pytał o mnie, czy mnie szukał?

– Raz... mówił o pani... Ale na świętego Floura, patrona mego miasta, zaklinam cię, pani, nie każ mi powtarzać jego słów!

– Ale ja ci każę! Musisz je powtórzyć! Jeśli, jak utrzymujesz, jesteś mi coś winny...

Wtedy Kulawiec wybuchnął jak przepełniona beczka zrywająca obręcz. Podniósłszy się na poduszkach, krzyknął między dwoma astmatycznymi

rządzeniami:

– Trudno... sama tego chciałaś, szlachetna pani! Powiedział, że jesteś ladaczną! Krzyczał, że jeśli ośmielisz się powrócić do Montsalvy, każe cię wychłostać, poszczuć psami i przepędzić na cztery wiatry!

Ranny osunął się bez sił na posłanie i zaniósł się głuchym kaszlem. Katarzyna zamknęła oczy. Pobladła jak kreda, aż Walter z obawy, by nie zemdlą, chwycił ją za rękę, rzucając wściekłe spojrzenie swemu pacjentowi.

– Wybacz mi, panie – wydusił z siebie tenże – ale ona zmusiła mnie do mówienia...

Młoda dama otrząsnęła się jednak i próbowała się uśmiechnąć.

– Nic to... Nie rób sobie wymówek. Wolę wiedzieć... i dziękuję ci za to. A teraz powiedz mi jeszcze, czy wiesz, dlaczego Paniczyk wyjechał w takim pośpiechu. A zwłaszcza, dlaczego kazał uśmiercić brata Landry'ego?

Zapewne z chęci uzyskania wybaczenia za brutalność poprzedniej wypowiedzi Kulawiec nie dał się długo prosić.

– Nie wiem wiele, ale coś mi się widzi, że to wszystko się ze sobą łączy... Bo kiedy zapadła noc, po tym jak kapitan Błyskawica... to znaczy pan Arnold, opuścił Paniczyka, do obozu przybyło dwóch ludzi. Obaj cali w czerni, bez żadnych znaków, które pozwoliłyby ich rozpoznać, za to na dorodnych komach, chcieli mówić z dowódcą. Straże u pana Roberta są zawsze porządne. Nie wystarczył zaczepny ton, by dopuścić ich do szefa, a w nocy trzeba znać hasło. Po chwili wahania dwaj nieznajomi wyjawili, kim są: wysłannikami księcia de Bourbona. Byłem tam i wszystko słyszałem. Mówili z takim dziwnym akcentem.

– Z dziwnym akcentem?

– Właśnie... Myślę, że byli to Aragończycy lub raczej Kastylijczycy. Podobnie mówili ludzie tego psa Kastylii Villandrado. Słyszając ich mowę, od razu pomyślałem, że wysłannicy księcia de Bourbona to jego ludzie...

– Mogli być jednym i drugim – wyszeptała Katarzyna niemile zaskoczona nagłym pojawieniem się odwiecznego nieprzyjaciela. – Rodrygo de Villandrado ożenił się przecież z córką z nieprawego łoża księcia. Był mu oddany...

– W każdym razie – ciągnął Kulawiec – jeszcze tej samej nocy mnich został wzięty na tortury. Ujęli go za namiotem Paniczyka, gdzie podsłuchiwał, o czym mówiono. Przynajmniej byli przekonani, że podsłuchiwał, i chcieli go zmusić, żeby wyznał, co zdążył usłyszeć. Ale brat Landry nie chciał mówić.

– A dlaczego on został w obozie po wyjeździe mego męża? Dlaczego nie powrócił do klasztoru?

– Chyba myślał, że jego zadanie nie było skończone. Chciał przekonać Paniczyka, by odstąpił od oblężenia.

– No i odstąpił, ale nie dzięki Landry'emu! – westchnęła ze smutkiem Katarzyna. – Umarł... lecz to nie on przekonał Paniczyka by odstąpił od oblężenia, czyż nie?

– To prawda. To ci dwaj czarni ludzie. Powiedzieli, że dalsze oblężenie nie ma sensu, że gdzie indziej czeka lepsza robota, a zwłaszcza dużo złota!

Katarzyna zmarszczyła brwi.

– A ty skąd to wszystko wiesz?

– Chcesz, pani, rzec, taki zwykły włóczykij jak ja? Rozumiem, że to może ci się wydać dziwne, ale już mówiłem, byłem tamtego dnia na straży... a z

natury jestem ciekawski. Tylko że ja nie jestem taki nieostrożny jak święty mnich o duszy czystej i naiwnej jak u dziecka Potrafię nadstawić ucha z miną niewiniątka... nie dając się podejść!

– Pojmuję. Tak więc domyślam się, że wiesz, gdzie jest lepsza robota i dużo złota do zdobycia?

– W rzeczy samej! W Dijon!

– W Dijon! – krzyknęła Katarzyna w osłupieniu. – Ależ to niemożliwe, chyba że Paniczyk oszalał. Przecież on ma tylko garstkę ludzi w porównaniu z oddziałami strzegącymi miasta, niezależnie czy książę jest czy go nie ma!

– Pani, tu nie chodzi o oblężenie...

– A więc o co?...

– O więźnia... o pewnego bardzo ważnego więźnia, którego książę Filip trzyma w wieży własnego pałacu. Więźnia, który wart jest góry złota według wysłanników księcia burbońskiego. Zdaje się, że trwają ostre przepychanki o wyznaczenie okupu, a książę Filip byłby gotów go wypuścić, lecz za tak wysoką sumę, która mogłaby nadwerężyć królewskie finanse. Muszę ci wyznać, pani, że wszystko to wydało mi się nie całkiem zrozumiałe. Ja nie mam styczności z wielkim światem.

Katarzyna i Walter spojrzeli po sobie. Dla nich wszystko było jasne. Więźniem księcia Filipa był młody król René, książę Andegawenii, syn Yolandy, uwięziony przez Burgundczyków w bitwie pod Bulgnéville przetrzymywany od tej pory w wieży Nowej* [*Ponieważ król był także księciem de Bar, wieża ta, od czasu jego w niej więzienia, nosi nazwę de Bar.] w pałacu w Dijon. René, dla którego Katarzyna dostała list w Saumur, którego jednak wypadki ostatnich miesięcy nie pozwoliły mu jej doręczyć. Zresztą, pograżywszy się w rozpacz, zupełnie o nim zapomniała...

Walter, który czytał z twarzy swej pani jak z otwartej księgi, wyszeptał:

– Nie wyrzucaj sobie tego, pani! Nie mogłaś dalej zmierzać... Ona jednak nie przyjęła tego zbyt łatwego rozgrzeszenia.

– Nie, Walterze. Miałam misję do spełnienia, nie wywiązałam się i... Urwała w pół słowa. Nie było to miejsce ani pora na takie dyskusje w przytomności rannego zabijaki, po którym widać było, że chce zrozumieć, o co chodzi.

A więc to z powodu tego więźnia Paniczyk wyruszył w drogę... Co zamierza? Wykraść go?... To niemożliwe... Musi być pilnie strzeżony...

Kulawiec z trudem łapał oddech. Zamknął oczy i pobladł nagle, tak że Katarzyna, której wydało się, iż wyzionie ducha, pochyliła się nad nim.

– Czujesz się gorzej?

Kulawiec otworzył oczy i uśmiechnął się słabo.

– Nie czuję się najlepiej, ale muszę skończyć... Paniczyk będzie osłaniał tych dwóch ludzi... a oni mają tak załatwić sprawę, by więzień nigdy więcej nie opuścił swego więzienia, nigdy więcej! Pojmujesz, pani?

– To jasne! – wtrącił Walter. – Nie ma więźnia, nie ma okupu!

– A jako że książę burboński ma wydać swą córkę za syna więźnia, nie chce dopuścić, by fortuna przeszła całkowicie w ręce księcia Filipa ani żeby żądano od niego zbyt wysokiego posagu. Poza tym, powszechnie znana jest nienawiść panująca między Burbonami a dworem burgundzkim. Jeśli René umrze w więzieniu, to wybuchnie wojna – dokończyła Katarzyna. – Tak więc

sądzę, że wiem, co powinnam uczynić...

Podziękowawszy Kulawcowi zapewniła go, że nie musi obawiać się stryczka i że od tej chwili bierze go pod swoją opiekę.

– Postaraj się wyzdrowieć. Potem będziesz wolny... Chciała wyjść z pokoju, lecz Kulawiec zawołał ją.

– Jeśli jesteś ze mnie zadowolona, pani, uczyni coś więcej: weź mnie do siebie na służbę! Na pamięć mej biednej matki, będę ci wiernie służył. A kiedy już odnajdziesz kapitana Błyskaw... znaczy się twego małżonka, będę służył wam obojemu!

– Niech tak będzie, Kulawcze! Kiedy wyzdrowiejesz, udasz się do Montsalvy, pomiędzy Aurillac i Rodez. Dam ci list do przeora Bernarda, który tam sprawuje władzę podczas naszej nieobecności.

Ranny okazał taką radość z tej decyzji, że wychodząc z pokoju Katarzyna odniosła wrażenie, iż jej obietnica uczyniła więcej dla wyzdrowienia rozbójnika niż specyfiki Waltera.

Na korytarzu natknęła się na Vandenesse'a, który chodził nerwowo tam i z powrotem. Widząc ją podbiegł do niej.

– Długo pani tam siedziała! – powiedział głosem dającym wyobrażenie o jego niecierpliwym oczekiwaniu. – Mam nadzieję, że teraz sprawiedliwości wreszcie stanie się zadość!

– Jakiej sprawiedliwości, baronie? Twojej własnej? Nie wierzę w nią! Dowiedziałam się właśnie od tego człowieka wszystkiego, czego chciałam, a nawet więcej. Winnam mu wdzięczność. Tak więc, dowiedz się, panie, że od tej chwili jest pod moją ochroną!

Vandenesse pozieleniał ze złości.

– Co to znaczy, pani?

– To, że zabraniam ci go tknąć, a gdyby zdarzył mu się, powiedzmy... wypadek, ty, panie, za to odpowiesz nie tylko przede mną, lecz także przed księciem Filipem, któremu dzięki Kulawcowi być może oddam wielką przysługę. Wreszcie, od pół godziny stanowi część mego domu i jeśli Bóg pozwoli mu wyzdrowieć, w co wierzę, wyślę go do Montsalvy.

Baron wybuchnął szyderczym śmiechem.

– Do Montsalvy?... Wilk pomiędzy owieczkami, jednym słowem! Wspaniały z niego będzie sługa! A pani małżonek...

– Mój małżonek zna się lepiej na ludziach, niż sobie wyobrażasz, baronie! Zdziwiłabym się, gdyby nie przyjął tego człowieka. Co zaś się tyczy naszego lenna w Montsalvy, to wiedz, panie, że nie ma w nim nic z owczarni... Kulawiec znajdzie tam swoje miejsce... A teraz pozwól, panie, że się oddalę, gdyż śpieszno mi poczynić przygotowania do drogi.

– Wyjeżdżasz, pani? Dokąd się udajesz?

Katarzyna zacisnęła dłonie, chcąc bardziej nad sobą zapanować. Umierała wprost z ochoty, by posłać do wszystkich diabłów tego natręta, któremu podświadomie zarzucała, że nie potrafił uwolnić Châteauvillain od najeźdźców.

– Wybacz, że ci tego nie wyjawię, panie – odparła siląc się na uprzejmość. – Mam pewną misję do spełnienia...

– Misję? Czyżbyś miała tajemnice, pani?

– Zgadłeś, panie, lecz nie swoje!

– W takim razie potrzebujesz pomocy! Czasy są niepewne. W okolicy

stoją jeszcze angielskie garnizony, po gościńcach grasują rozbójnicy. Nie będę stawiał pytań, lecz jadę z tobą!

Katarzyna spłonęła rumieńcem. Do diabła z natrętem! Czyżby jego pyszałkowatość nie pozwalała mu pojąć, że miała go dosyć, dosyć jego obecności, jego spojrzeń i jego galanterii? Niechybnie wybuchnęłyby złością, gdyby z pokoju chorego nie wyszedł Walter, dzierżąc w jednej dłoni basen, a w drugiej płótno.

– Czy nie za wcześnie, panie, by opuszczać fortecę i zostawiać ją bez obrony? Paniczyk odjechał, lecz kto wie, czy nie powróci?

– Gdyby miał zamiar powrócić, nie spaliłby obozowiska! Châteauvillain nie ma się więcej czego obawiać. Zresztą muszę wracać do mego garnizonu.

Twarz giermka przyoblekła się w uśmiech zbyt uprzejmy, by mógł być szczery, a lewa brew, z natury wyżej położona od prawej, uniosła się jeszcze bardziej, nadając jego twarzy wyraz prawdziwego hipokryty.

– W takim razie bylibyśmy niewdzięcznikami, gdybyśmy odmówili – odparł tak uprzejmie, że Katarzyna z kolei uniosła brwi ze zdziwienia.

– Sądzę, że będę wyrazicielem myśli pani Katarzyny stwierdzając, że będziemy niezwykle szczęśliwi mogąc podróżować pod twoją ochroną. Lecz czy zdążysz przygotować swoich rycerzy do drogi? Ruszamy pojutrze!

– Bez najmniejszego kłopotu, młody przyjacielu! – odparł baron protekcyjnym tonem. – Zaraz wydam rozkazy!

– Czy postradałeś zmysły, Walterze? – wyszeptła oburzona Katarzyna, kiedy tylko zachwycony perspektywą wspólnej wyprawy baron zniknął za załomkiem korytarza. – Kazać mi podróżować z tym pyszałkowatym durniem, którego nie mogę znieść? A dlaczego pojutrze, skoro obydwójce dobrze wiemy, że...

– Że jeszcze tej nocy opuścimy zamek! – dokończył spokojnie Walter. – Jeśli pani Ermengarda zgodzi się odegrać przed baronem komedię, zdobędziemy nad nim znaczną przewagę, zanim się spostrzeże, że wywiedliśmy go w pole. Skoro ma zamiar udać się do księcia, a książe jest we Flandrii, on zaś wyobraża sobie, że my też właśnie tam zdążamy, ruszy za nami... w zupełnie przeciwnym kierunku!

Katarzyna spojrzała na swego giermka ze zdziwieniem, w którym podziw zmieszany był z przykrością. Nadszedł czas, żeby stała się na powrót sobą, w przeciwnym bowiem razie ten chłopiec zacznie jej dyktować, co należy robić! Uśmiechnąwszy się nieznacznie spytała:

– A dlaczego tak zależy ci, żebyśmy nie jechali z eskortą barona? To prawda, że jego towarzystwo jest denerwujące, lecz z drugiej strony trzeba mu przyznać rację, że okolica jest niebezpieczna.

– Oto powód, dla którego powinien nadal strzec Châteauvillain! Jeśli jednak chcesz, pani, znać głębiej mojej myśli – a nie zdziwiłbym się, gdybyś i ty myślała podobnie – nie mam zbyt dużego zaufania do pana de Vandenesse'a. Może to z twojego powodu, ale zdawało mi się, że jemu zależy, aby oblężenie trwało w nieskończoność, w każdym razie, nie zrobił wiele, by położyć mu kres. Najwyraźniej było mu w smak żyć obok ciebie, pani...

Katarzyna milczała, ważąc słowa giermka. W głębi serca myślała podobnie jak on, lecz za nic w świecie nie przyznałaby się do tego dobrowolnie.

– To, co jest w panu przykre, panie Walterze de Chazay, to to, że ty

niestety zawsze masz rację – odparła i zbierając tren sukni z posadzki, majestatycznie skierowała się ku schodom...

Rozdział drugi

POD WIELKIM ŚWIĘTYM BONAVENTURĄ

Pod wieczór drugiego dnia drogi trzej rycerze posuwali się wolno ulicą Notre Dame w Dijon, ulicą najbogatszą w mieście, przy której sąsiadowały ze sobą domy najzamożniej szych kupców.

Od chwili gdy w pomarańczowym blasku słońca chylącego się ku zachodowi Katarzyna dostrzegła zarysy niezliczonych dzwonnicy podobnych do masztów eskadry stłoczonej w porcie, nie odezwała się ani słowem, lecz pozostawiwszy lejce na szyi konia, pozwałała się unosić rumakowi w stronę wysokich baszt wjazdowych. Minęło jedenaście lat, od kiedy była tu po raz ostatni...

Jedenaście lat temu, pewnego jesiennego dnia takiego jak dziś, porzuciła Dijon dla bajkowej Brugii i miłości księcia Filipa... Opuszczała miasto, które było jej schronieniem i przyjacielem, dopóki nie odwróciło się od niej i, nie stając się co prawda całkiem wrogiem, dało do zrozumienia, że nie ma tu już dla niej miejsca.

Był rok 1425. Jej niesamowity pierwszy mąż, wielki skarbnik Burgundii, Garin de Brazey, zostaje skazany na śmierć z ręki kata za świętokradztwo i bunt przeciwko księciu, po uprzedniej próbie zgładzenia jej samej. Jego wspaniały pałac przy ulicy Pergaminowej zostaje zburzony, a zgromadzone skarby rozproszone po świecie.

I chociaż pani de Brazey nie musiała się obawiać gniewu księcia, którego była kochanką od kilku miesięcy i nawet oczekiwała jego dziecięcia, to jednak wolała miasto opuścić, gdzie, pomimo iż mieszkała tam jej mieszczańska rodzina, spotykała się już tylko z ludzką nieufnością. Z przyzwoitości... lecz także z rozkazu, gdyż Filip Dobry chciał ją mieć przy sobie, by móc kochać do woli istotę, którą uwielbiał najbardziej na świecie. W Dijon miłość ta była niemożliwa i mogła wywołać skandal, lecz w odległej Brugii, perle Burgundii flamandzkiej, nie szokowała nikogo i przez cztery lata Katarzyna, królowa bez korony, dominowała w mieście kanałów, koronek i drogich kamieni...

Potem jednak więzy łączące ją z Filipem same opadły. Ich dziecię umarło, a książe przygotowywał się do małżeństwa z Izabelą Portugalską. W tym czasie Katarzyna dowiedziała się, że w obleganym przez Anglików Orleanie mężczyzna, którego od wielu lat kochała beznadziejną miłością, bił się ofiarnie i mógł w ferworze walki stracić życie. By połączyć się z nim choćby w chwili śmierci, porzuciła wszystko bez żalu, bez jednego spojrzenia za siebie: swój mały pałacyk w Brugii, swoje wystawne stroje, klejnoty, którymi obsypywał ją Filip, i cały przepych, jakim była otoczona...

Wychodząc za Arnolda de Montsalvy zerwała z przeszłością. Tymczasem książe, choć zraniony w miłości własnej, nigdy o niej nie zapomniał; po podpisaniu traktatu w Arras w 1435 roku z królem Karolem VII kazał wysłać do Montsalvy na poprzednie Boże Narodzenie olśniewający portret Katarzyny, w formie Zwiastowania, namalowany przez przyjaciela z dawnych lat, Jana Van Eycka.

Podczas gdy kopyta końskie stukały po znajomym, nierównym bruku, młoda kobieta pomyślała ze zdziwieniem, że nie czuje wzruszenia na myśl o tamtych czasach. Stając się żoną Arnolda zmieniła skórę, zmieniła także duszę, więc wszystko, co w tej chwili przywodziła jej pamięć, zdawało się barwną opowieścią, fantastyczną przygodą, która przydarzyła się jakiejś innej Katarzynie, ale nie jej. Pani de Brazey dawno przecież umarła...

Za to obudziła się mała dziewczynka, Kasia Legoix, która natychmiast po przekroczeniu bramy Wilhelma skierowała kroki do domu swego dzieciństwa, gdyż nade wszystko pragnęła uściskać wuja Mateusza. Jej serce biło coraz mocniej. To zadziwiające, jak zaciera się czas na widok znajomych kątów. Ulica ze swymi kramami wyglądała tak samo jak tamtego wieczoru, kiedy to wraz z matką, siostrą Luizą, Sarą i Barnabą Muszelką jako krucha nastolatka przybyła do wuja po ucieczce ze zbuntowanego Paryża.

Ostatnie promienie słońca odbijały się żywym blaskiem w malowanym szyldzie Wielkiego Świętego Bonawentury. Wielki kawał blachy kołysał się łagodnie na wieczornym wietrze.

– Można by rzec, że coś się tu dzieje – dał się słyszeć z tyłu zachrypły głos Bérengera, Istotnie, pod szyldem zebrała się grupa jejmościanek, kilku wyrostków i dwóch starców opartych na kosturach oraz tragarz, który przybył z niedalekiego targu zbożowego. Wszyscy zaglądali ciekawie do sklepu, gdzie działo się coś niecodziennego.

Z wnętrza sklepu Mateusza dochodziły odgłosy kłótni, spadając niczym nawałnica na głowy zebranych. Jakiś człowiek wielki jak szafa i czerwony jak burak ukazał się na progu, pchając przed sobą chudą, odzianą na czarno kobietę, którą cisnął na ulicę.

– Idź do diabła, przeklęta świętoszko! – krzyknął ochrypłym głosem zdradzającym zamiłowanie do butelki. – I nie wracaj tu więcej, bo się przekonasz, że ja tu rządę, a taki, co chciałby mnie stąd wykurzyć, jeszcze się nie narodził!

Przerażona grupka gapiów odsunęła się z głośnym „och!”. Katarzyna rzuciła się w stronę kobiety, którą czyjeś pomocne ramię uchroniło od upadku na bruk.

– Proszę pani – zaczęła, lecz nagle otworzyła szeroko oczy i stanęła jak wryta tracąc dech. – O słodki Jezusie! Luiza!...

Minęło dobre piętnaście lat, kiedy widziała siostrę po raz ostatni, więc znalazłszy się tak nagle naprzeciwko niej, poczuła coś dziwnego, nie wiedząc właściwie, czy jest to miłe czy nie.

Przeorysza benedyktynek z Tart, znana z legendarnego wprost panowania nad własnymi uczuciami, również nie mogła powstrzymać okrzyku.

– Katarzyna! Ty tutaj? Skąd przybywasz?

– Z Châtauvillain, gdzie nasza matka wyzionęła ducha i gdzie przeżyliśmy obłęd. Lecz ty, Luizo? Skąd się tu wzięłaś?...

Starsza z sióstr Legoix zmarszczyła brwi z niezadowoleniem.

– Nie należy nazywać mnie Luizą. Jestem matka Agnieszka od Świętej Radegundy!

Katarzyna omal nie parsknęła śmiechem. Ach ta Luiza! Zawsze taka

sama, zawsze przywiązująca wagę do pozorów, które służyły jej jako szaniec obronny. Fizycznie także niewiele się zmieniła. Była co prawda jeszcze chudsza, a jej długi nos zaokrąglił się jeszcze bardziej, lecz jej jasne, błękitne oczy zachowały dawny blask.

– Chyba nie żądasz, bym mówiła ci „moja matko”? – spytała ze szczyptą ironii.

– Moje córki zwracają się do mnie „matko Agnieszko”. Tylko ty masz prawo mówić mi „moja siostró”.

– To będzie bardzo wygodne – wymamrotała Katarzyna przez zęby, podczas gdy Luiza przyglądając się bez nadmiernej surowości jej młodym towarzyszom spytała:

– Kim są ci chłopcy?

– To mój giermek, Walter de Chazay, a to paż, Bérenger de Roquemaurel. A teraz... moja siostró, powiedz mi, kim jest ten prostak, który wyrzucił cię z naszego domu?

– To pomiot szatana! Przeklęty brat tej ladacznicy, którą nasz nieszczęsny, opętany wuj uczynił swoją towarzyszką życia!

– Ożenił się z nią?

– Tego nie wiem, gdyż nie można się do niego zbliżyć. W celu odwiedzenia wuja poprosiłam biskupa o dyspensę i pozwolenie na opuszczenie klasztoru na kilka dni. Sama jednak widziałas, w jaki sposób zostałam przyjęta...

– W rzeczy samej. A więc zobaczmy, jakie przyjęcie zgotują mnie! W towarzystwie nieodłącznego pazia i giermka, których oczy błyszczały na myśl o rozprawieniu się ze smokiem broniącym tak zajadle domostwa, Katarzyna ruszyła do sklepu. Zanim jednak zdecydowała się przekroczyć próg, przyjrzała się bacznie jednemu z urwisów stojących na ulicy i oczekujących na dalszy ciąg wydarzeń.

– Chcesz zarobić sztukę srebra, chłopcze?

– Też pytanie! A kto by nie chciał, szlachetna pani?

– To najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie: kto jest dowódcą straży w zamku? Czy jest nim może pan Jakub de Roussay?

– Nie inaczej! On sam!

Katarzyna wyciągnęła z sakiewki obiecaną monetę i wcisnęła ją do ręki chłopca.

– Znajdź go i przyprowadź tutaj! Powiedz, że przysła cię Katarzyna...

– Katarzyna... a dalej?

– Wystarczy, jak powiesz Katarzyna. Powiedz, żeby przybył bez zwłoki do domu mistrza Mateusza Gautherina i żeby wziął ze sobą kilku łuczników. Z pewnością będę potrzebowała pomocy.

– Po co wzywać strażę? Czy my ci nie wystarczamy, pani? – spytał z oburzeniem Walter.

– Wystarczacie, lecz rozmiary tego osobnika dają do myślenia. Do tego, co zamierzam uczynić, kilku zbrojnych ludzi nie zawadzi!

– A co zamierzasz? – spytała nieufnie Luiza.

– Wedrzeć się do wuja choćby siłą i na pamięć naszej matki przysięgam ci, że nie opuszczę tego domu, dopóki nie dopnę swego!

Wewnątrz panował półmrok i Katarzyna w pierwszej chwili nie

dostrzegła niczego, lecz rozpoznała znajomy zapach nowych materiałów i stopionego wosku świec. Po chwili, kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, dojrzała zarys ściennych szaf z żelaznymi okuciami, w których wuj przechowywał najcenniejsze materiały.

Z głębi sklepu, z małego kantorku, gdzie tyle razy pochyłona nad wielkimi księgami z pergaminu robiła rachunki wujowi, dochodził słodko uprzejmy głos...

– Co pani sobie życzy pokazać? Jestem do usług i ośmielam się zaznaczyć, że nigdzie indziej nie dostanie pani takiego wyboru hiszpańskiej, flandryjskiej czy szampańskiej pościeli ani takich wschodnich jedwabów...

Właścicielka głosu, która ukazała się za wielkim, wypastowanym kontuarem, zarzuconym kawałkami materiałów, była kobietą średniego wzrostu mniej więcej w wieku Katarzyny. Miała smagłą cerę i niezwykle, zielone oczy, a na głowie nosiła wysoki czepek z cienkiego płótna ozdobiony koronkami, z trudem podtrzymujący masę czarnych włosów. Była wąska w talii, jej wydatną pierś opinał prowokacyjnie zielonoszary aksamit, dopasowany do koloru oczu kobiety obwieszony połyskliwymi, złotymi łańcuchami. Jeśli była ona kochanką wuja, musiała go drogo kosztować... Trzeba było jednak przyznać, że mogła się podobać, a w starcu obudzić nieokiełznane myśli... Katarzyna odniosła wrażenie, że już ją gdzieś widziała... Ale gdzie, w jakich okolicznościach?...

– Czy ty jesteś Amandyna La Verne? – przeszła do rzeczy bez zwłoki. Grube brwi kobiety uniosły się, a z jej ust zniknął zawodowy uśmiech.

– Ja?... Tak... ale nie...

– Jestem hrabina de Montsalvy i przybywam w odwiedziny do mego wuja Mateusza! – przerwała Katarzyna jednym tchem. – Zaprowadź mnie, pani, do niego!

Ponieważ tamta patrzyła na nią nie mówiąc ani słowa, odwróciła się w stronę Luizy, która ukazała się w kantorze, i dodała:

– Świątobliwa matka przeorysza, którą ośmieliliście się wyrzucić za drzwi, jest moją siostrą! Uprzedzam, że ze mną nie pójdzie wam tak łatwo!

Amandyna otworzywszy usta przypatrywała się eleganckiej sylwetce nieoczekiwanego gościa, czując w sercu ukłucie zazdrości. Podobnie jak cała Burgundia ona również знаła historię tej pięknej kobiety, którą miłość księcia Filipa uczyniła legendą, lecz o której dawno by zapomniano, gdyby nie pełne uwielbienia wspominki Mateusza. I oto ta sama słynna Katarzyna de Montsalvy o urodzie nie tkniętej zębem czasu stała przed nią piorunując ją bezlitosnym spojrzeniem swych wielkich fiołkowych oczu.

– Mateusz?... Nie ma go tutaj! – odparła wreszcie powoli cedząc słowa. Po czym, odczuwając widocznie potrzebę wsparcia, zawołała: – Filibercie! Chodź no tutaj!

W drzwiach pojawiła się natychmiast potężna sylwetka mężczyzny z trudem mieszcząca się w obramowaniu drzwi.

– Co tam znowu, Migdasiu? – mruknął olbrzym, który był bratem gospodyni, po czym, dłubiąc w zębach gęsim piórem, dodał: – Znowu mnie potrzebujesz?

– Oni chcą widzieć się z ojcem Mateuszem! – rzuciła siostra wskazując wysuniętym podbródkiem czwórkę nieznanym.

– Znowu? A cóż to? Jakaś choroba czy co?... Po czym, dostrzegłszy wśród przybyłych Luizę, rozzłościł się na dobre. – A ty czego tu jeszcze szukasz? Czy już raz nie pokazałem ci drzwi?

– Dostyc tego! – przerwała Katarzyna. – Domagamy się widzenia z wujem! Natychmiast!

– Lepiej byś się nie opierał, mościpanie! – dodał Walter ściskając rękojeść szpady i czując, jak mu się krew burzy.

Filibert otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Amandyna wspiąwszy się na czubki palców, szepnęła coś bratu na ucho i nadęta jego mina zamieniła się w uśmiech.

– Ależ, pani!... Och! Co za zaszczyt!... Szybko, krzesło dla wielmożnej pani...

– Nie chodzi o krzesło! Przybyłam, by widzieć się z wujem Mateuszem, i to zaraz!

– Rozumiemy doskonale, szlachetna pani... i to byłby dla mojej siostry i mnie prawdziwy zaszczyt móc cię doń zaprowadzić... tylko że jego tu nie ma!

– Nie ma go? A gdzie się podziewa?

– Pewnie w swoim domu w Marsannay. Zbliża się czas winobrania i ojciec Mateusz...

– Czy nie możesz mówić mistrz Gautherin? – krzyknęła Luiza oburzona zachowaniem olbrzymia.

– Oczywiście, że mistrz Gautherin, jeśli sobie tego życzysz! To taki dobry przyjaciel!

Katarzyna usłyszawszy, że Filibert nazywa wuja przyjacielem, ucieszyła się, gdyż to dowodziło, że wuj nie ożenił się z Amandyną.

– Powinniście udać się do Marsannay – ciągnął Filibert, kiedy u wejścia sklepu dał się słyszeć jakiś nowy głos.

– Nie ma po co jechać do Marsannay! Nie widziano go tam od dobrych trzech miesięcy!

Głos należał do niewielkiego człowieczka, którego Katarzyna natychmiast poznała: był to stary przyjaciel i sąsiad wuja, krawiec, który także posiadał winnice w Marsannay. Katarzyna podeszła do niego z radosnym uśmiechem.

– Mistrz Duriez! Jakżem szczęśliwa, że cię widzę! Jak się miewasz? Smutna twarz małego krawca, przedłużona rzadką bródką, rozjaśniła się nagle.

– O Słodka Panienko! Toż to Katarzyna!... Mała Katarzyna! Ależ ty wyrosłaś! Niech cię ucałuję!...

Rzucił się w jej stronę, lecz nagle zatrzymał się, poczerwieniał jak burak i spuścił głowę.

– Och! Przebacz mi, szlachetna pani... Jestem tak szczęśliwy ze spotkania, że zupełnie zapomniałem...

– Ale ja nie zapomniałam! Pójdź, mistrzu Duriez, i zostaw szlachetną panią w spokoju. Dla ciebie jestem zawsze Katarzyną! Ucałuj mnie!

Pod obstrzałem rozbawionych spojrzeń Waltera i nieco rozgniewanych Bérengera, który czuł oburzenie na myśl, że wszyscy ci prości ludzie zbyt śmiało sobie poczynają z jego panią, krawiec i młoda kobieta wycalowali się z zapalem.

– Ach! – powiedział mistrz Duriez – nie wiesz nawet, jaki jestem szczęśliwy, że wreszcie postanowiłyście sprawdzić, co się tutaj święci! Kiedym

się dowiedział, że widziano Luizę, pośpieszyłem jej z pomocą i wtedy ujrzałem i ciebie! To zbytek szczęścia! Może wreszcie dowiemy się, co się stało naszemu biednemu Mateuszowi!

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zaniepokoiła się przeorysza. – Dawno go nie widziałeś?

– Oj, bardzo dawno! Przestaliśmy się widywać, kiedy wasza matka została wygnana przez tę tu niewiastę, dla której on otworzył na powrót swój sklep. Przy tej okazji... posprzecaliśmy się. Staralem się otworzyć mu oczy, chciałem, by posłuchał głosu rozumu. Ale on zadurzył się jak pętał w Amandynie i o niczym nie chciał słyszeć! – rzucił z gniewem wskazując na kupcową, która aż zatrzęsała się ze złości i wyglądała, jakby miała zamiar rzucić się na krawca. – Przesłoniła mu cały świat! Starzy przyjaciele przestali się dla niego liczyć!

– I to ci było nie w smak? – krzyknęła kobieta. – Nie podoba ci się, że Mateusz mnie kocha! Dowiedz się więc, że wkrótce mnie poślubi. Będę panią tutaj, a także w Marsannay i wszędzie, rozumiesz?

– Już jesteś tu panią, moja Migdasiu! Jesteś tutaj u siebie! – pośpieszył z pomocą braciszek. – A wy wszyscy macie stąd wyjść, i to szybko, siostrzenice nie siostrzenice, starzy kamraci i każde inne tałatajstwo! Dosyć się już nagadaliście i lepiej dla was, żebym się bardziej nie rozzłościł!

To powiedziawszy chwycił leżącą na kontuarze drewnianą miarkę do mierzenia materiałów, uniósł ją nad głową jak pałkę i ruszył wygrażając nią na stłoczonych ludzi. Na ten widok Walter wyciągnął szpadę i rzucił się naprzód, zasłaniając swym ciałem obie kobiety.

– Rzuć to! – rozkazał. – Robisz za dużo hałasu, przyjacielu! Najwyższa pora nauczyć cię grzeczności! Dalej no, cofnij się! Cofnij się, jeśli nie chcesz być nadziany na szpadę jak indyk!

Filibert powiódł krwawym wzrokiem po młodym człowieku i po lśniącym ostrzu wpijającym się już w jego brzuch i wydał odgłos przypominający rzenie. Jednak zamiast cofnąć się, wykonał gwałtowny skok do tyłu, który zaskoczył Waltera. Równocześnie drewnianą miarką pchnął przeciwnika w ramię, zmuszając go, by wypuścił z dłoni swój oręż. Wówczas z rykiem zwycięstwa olbrzym rzucił się na niego i giermek zniknął pod zwałistym ciałem Filiberta.

Widząc, co się dzieje, Bérenger ruszył na pomoc przyjacielowi i chwyciwszy Filiberta obiema rękami za czuprynę targał nią ze wszystkich sił. Amandyna zaś, uzbroiwszy się w pałkę ukrytą pod kontuarem, rzuciła się na Katarzynę, Luizę i krawca.

Krawiec, który nie mógł się szczycić odwagą, ugodzony w twarz wziął nogi za pas, wołając gwałtu rety. Jednak żaden z gapiów się nie ruszył. Widząc, że siostry złączyły siły przeciwko megierze, gapię stojący na zewnątrz, niczym chór antyczny, zgodnie zaczęli wzywać pomocy, na którą sami nie potrafili się zdobyć. W środku zapanował ogólny harmider.

Już po chwili zwycięstwo zaczęło się przechylać na stronę rodziny La Verne. Luiza na wpół żywa zawisła na kontuarze, a Amandyna siedząc okrakiem na Katarzynie zaciskała wokół jej szyi szal. Filibert odepchnął pazia potężnym kuksańcem, od którego chłopcu zapało dech w piersi, i zabrał się do Waltera: pomimo odwagi i zapału młodzieniec miał w tym starciu niewielkie szanse.

Na szczęście, kiedy zwycięstwo zdawało się przesądzone, do sklepu wkroczyło prawo... w osobie kapitana Jakuba de Roussaya, który niczym Archanioł Michał rzucił się z pomocą ledwo zipiającej Katarzynie.

W jednej chwili Amandyna poleciała w powietrze, a czterej łucznicy położyli kres cierpieniom Waltera, odciągając od niego Filiberta. Katarzyna znalazła się twarzą w twarz ze swoim wybawcą, który przyglądał się jej oczami okrągłymi z podziwu, jak dziecko na widok prezentów na Boże Narodzenie.

– Katarzyna! – westchnął. – A więc to naprawdę pani...

– Oczywiście, że ja! A co ty sobie wyobrażałeś, mój przyjacielu?

– Sam nie wiem. Kiedy ten urwis przybiegł mówiąc, że mnie wzywasz, w pierwszej chwili chciałem go przepędzić, lecz on opisał panią tak dokładnie, że wreszcie dałem mu wiarę. A jednak powinnaś mnie zawiadomić, że wracasz. Czy wiesz, że są radości, które mogą zabić?

Uśmiechnęła się do niego i wspiąwszy się na palce, ucałowała go w gorący policzek, po czym odeszła dwa kroki, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Jesteś na to zbyt silny, Jakubie! A jak na umierającego wydajesz się w wyśmienitej formie. Masz rumianą cerę, żywe oko i imponującą postawę!

Istotnie, kapitan, ongiś wysoki i chudy jak tyczka, zmężniał i był teraz dorodnym czterdziestoletnim, silnym mężczyzną, tylko jego włosy pozostały, jak dawniej, niesforną burzą jasnych kędziorów. Niezaprzeczalnie nabrał ciała i stanowił typowy przykład Burgundczyka spędzającego z pewnością więcej czasu przy stole niż w siodle.

– Chcesz powiedzieć, że przytyłem jak świnia! – rozżłościł się. – Cóż! Człowiek w Dijon tetryczeje. Ponieważ nasze miasto jest niestety stolicą jedynie z nazwy, każdy zabija czas, jak potrafi, nie stroniąc od jadła i napitku. Ale teraz zdradź mi powód bitwy, której na szczęście położyliśmy kres.

Katarzyna w kilku słowach opisała, co się zdarzyło od chwili, kiedy Luiza została wyrzucona za drzwi, i wyjawiała, że La Verne'owie nie chcą dopuścić ich do wuja.

– Już mówiliśmy wam, że go tu nie ma! – warknęła Amandyna, próbując wyrwać się łucznikom.

– Gdzie więc jest w takim razie?

– Abo ja to wim? Wyjechał nad ranem, mówiąc, że chce przejechać się do... Sabaudii czy do Szampanii, czy gdzieś tam... Od tego czasu nie mamy od niego wiadomości.

– Myślisz, że ci uwierzę! Wuj Mateusz nigdy nie znosił podróży, śmiem więc wątpić, by je polubił teraz, kiedy jest stary i trapi go reumatyzm! A gdzie podziała się cała służba?

– Ci, których zachował, są w Marsannay. Tutaj zaś jedna służąca wystarczy do cięższych robót, ja robię resztę! – odparła Amandyna z wyższością. – Co do wieku Mateusza, mogłabym wam opowiedzieć niejedno...

– Dosyć tego! – przerwał pan de Roussay. – Nie jesteśmy ciekawi waszych sekretów alkowy. Jedno jest pewne: mistrz Gautherin musi gdzieś być. A coś mi się widzi, że ty to wiesz, kobieto...

– Dałabym głowę, że on jest tutaj – wyszeptwała Katarzyna.

– Najlepszym sposobem na odkrycie prawdy jest przeszukanie domu, co też uczynimy! A wy tam – dodał zwracając się do swych ludzi – nie spuszczaście oka z tych dwojga! Chodźmy, Katarzyno!

Kapitan w towarzystwie Katarzyny, Luizy i obu chłopców skierował kroki w stronę kantorka z księgami, na widok którego serce Katarzyny ścisnęło się boleśnie, podobnie jak i na widok reszty domu, w którym upłynęła większa część jej czasu dorastania. Nic się tutaj nie zmieniło i trzeba było przyznać, że Amandyna la Verne utrzymywała go w równie doskonałym porządku jak w swoim czasie jej matka i Sara.

Jednak z wyjątkiem kuchni, zajmującej całą resztę parteru, gdzie przestraszona służąca przestała obierać jarzyny patrząc na nieznaną z rozdziawioną gębą, dom okazał się całkiem pusty. Nawet pokój wuja Mateusza był w idealnym porządku. Tylko na meblach leżała lekka mgiełka kurzu, jak to zwykle bywa w miejscach nie zamieszkałych.

– Zaczynam powoli wierzyć, że ci ludzie powiedzieli prawdę i pani wuj opuścił domostwo – stwierdził z widocznym zawodem de Roussay.

– Ależ to niemożliwe, powiadam ci! Gdzie chcesz, żeby wybrał się człowiek w jego wieku... i w dodatku sam?

– Nie wiem. Może na pielgrzymkę?

Katarzyna wzruszyła ramionami ze zdenerwowaniem.

– Na pielgrzymkę! Wuj Mateusz i pielgrzymka! Wyborny dowcip! Widać od razu, że go nie znasz!

– Posłuchaj, pani! Przecież ten człowiek nie rozpląnął się w powietrzu! A ponieważ tutaj go nie ma...

Katarzyna nagle pobladła i oparła się o framugę drzwi.

– Mój Boże!...

– Co ci jest, pani? Jesteś cierpiąca?

– Nie... lecz przysłała mi do głowy straszna myśl... A jeśli ci ludzie... usunęli go?

– Chcesz rzec, że mogli go zabić?

– Właśnie... Po zniknięciu wuja będą mogli panoszyć się bez przeszkód w jego domu. Był sam, słaby, bezbronny...

Zapadła cisza. Roussay najwyraźniej zastanawiał się nad słowami Katarzyny, nie znalazłszy jednak zadowalającej odpowiedzi, westchnął w końcu:

– Oczywiście... Wszystko jest możliwe. Nie mogę wszakże aresztować nikogo na podstawie samych domysłów.

– Błagam cię, Jakubie! Szukajmy dalej! Musimy wreszcie natknąć się na jakąś wskazówkę! Czuję, że jest w tej sprawie coś niejasnego.

– Nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić; chyba że zburzymy dom i sprawdzimy kamień po kamieniu! – burknął de Roussay.

Ruszyli na dalsze poszukiwania, ale bez skutku. Rozsądek nakazywał zaprzestać i Katarzyna z ciężkim sercem powróciła do sklepu.

– No i co? – rzuciła Amandyna patrząc jej bezczelnie w oczy. – Znaleźliście waszego kochanego wuja? Jesteś, pani, zadowolona? Wtrącasz się do życia uczciwych ludzi, którzy nic ci nie zrobili! Tylko pod pretekstem, że jest się „panią hrabiną” czy panią przeoryszą – dodała pod adresem Luizy, która z licem pobladłym i zamkniętymi oczami opadła na taboret – sądzi się, że wszystko jest dozwolone? Że ma się wszelkie prawa? Czyż nie? I wyobrażasz sobie, że ujdzie ci to na sucho?...

– Póki co, tak! – przerwał Jakub de Roussay chwytając Amandynę za

ramię. – I radzę ci, niewiasto, żebyś przestała jazgotać, dopóki bowiem Mateusz Gautherin nie zostanie odnaleziony, nie wykpisz się ze sprawy! Nie wypuścim cię, dopóki się nie dowiemy, gdzie jest.

– Dobrze byście uczynili – usłyszano spokojny, jasny kobiecy głos, który zapanował na chwilę nad ogólnym rozgardiaszem, nad protestami Amandyny i jej brata – dopóki kogoś nie wysłuchacie, gdyż przyprowadziłam wam biedne stworzenie, które może mieć ciekawe *rzeczy* do opowiedzenia.

Na progu ukazała się postawna, około dwudziestopięcioletnia kobieta o olśniewającej, świeżej cerze trzymająca mocną ręką przestraszoną służącą. Długie rękawy jej sukni z brązowego aksamitu wycięte w kształcie liści dębu opadały aż do ziemi, ukazując podbicie z szarej satyny dopasowane do spódnicy spodniej, kokieteryjnie odsłoniętej przez podpięcie rąbka sukni złotą agrafką. Jakub de Roussay pokłonił się damie z galanterią, która nie uszła uwagi Katarzyny.

– Wracam właśnie od ciebie, panie kapitanie – ciągnęła nowo przybyła – chciałam bowiem, żeby ta dziewczyna powtórzyła przed tobą to, co sama mi opowiedziała. Dowiedziawszy się, że udałeś się pod „Wielkiego Świętego Bonawenturę”, pośpieszyłam twoim śladem... O – Święta Panienko! – wykrzyknęła spostrzegłszy nagle Luizę, która ledwo trzymała się na nogach. – A więc i ty tutaj, pobożna matko! Ale... co ci się stało? Jesteś blada jak papier!

– To nic, pani Simono.. – westchnęła Luiza siląc się na uśmiech. – Ot, miałam mały zatarg z tymi ludźmi... lecz zdaje mi się, że nie znasz mojej siostry, hrabiny de Montsalvy. Katarzyno – dodała zwracając się do siostry – pani Simona Sauvegrain jest od dawna dobrodziejką naszego klasztoru, a od kiedy wyszła za pana Jehana Morela, doradcę i zarządcę kancelarii księcia, jeszcze bardziej doświadczyłam jej miłosierdzia. Dodam, że miała zaszczyt karmić swym mlekiem hrabiego de Charolais* [*Przyszły Karol Śmiały.] i że pani hrabina darzy ją szczególną przyjaźnią!

Jasna twarz księżęcej mamki rozpromieniła się, a ona sama wyciągnęła ręce w geście gorącego przyjęcia.

– Słynna Katarzyna! Co za radość spotkać cię, pani! Jakże to? Więc przebywaś w Dijon i nikt o tym nie wie?

– Jestem tu zaledwie od godziny – odparła Katarzyna ujęta ciepłem i przyjaźnią bijącą od młodej niewiasty. – Chciałam odwiedzić wuja, od którego bardzo długo nie miałam wieści. Ale czyż nie powiedziałaś, że mogłabyś nam o czymś donieść?

– Tak sądzę! To dziecko – dodała pchnąwszy przed siebie małą służącą – jest siostrą jednej z moich pokojówek. Jest na służbie niedaleko stąd, u mistrza Seguina, wykonawcy skrzyń ślubnych, który niedawno zszedł z tego świata. Jego ogród przylega do ogrodu leżącego za tym domem. Otóż tego ranka przybiegła do mnie cała we łzach, błagając, żebym ją do siebie przyjęła i nie oddawała więcej do domu Seguinów. No, dalejże, Martusiu, głowa do góry! Powtórz no historię, którą mi opowiedziałaś...

Historia była krótka. Może przez śmierć swego pana Martusia była przekonana, że w domu straszy, a zwłaszcza w komórce na drewno w głębi ogródka, w którym składano zarówno polana do kominka, jak i bale drewna na skrzynie. Jeden z boków komórki przylegał do kurnika mistrza Mateusza i do jego składziku z narzędziami. Martusia utrzymywała, że dochodziły stamtąd

dziwne odgłosy. Otóż tego ranka potrzebowała drewna do kuchni, a będąc w domu sama musiała pokonać strach i udać się do komórki. Zaledwie jednak weszła do środka, do jej uszu doszły jęki tak straszliwe, że według niej mogły pochodzić tylko z tamtego świata. Dziewczyna wzięła nogi za pas i zapłakana uciekła do swej siostry służącej u pani Simony, którą zastanowiły słowa dziewczęcia, toteż nie zwlekając postanowiła udać się do pana Jakuba de Roussaya.

– Ta historia wydała mi się nieco dziwna – powiedziała Simona. – Od jakiegoś czasu, mistrz Gautherin, którego považam i należę do jego wiernych klientek, zniknął ze swego sklepu. Dowiedziałam się, że jest bardzo cierpiący. Zdziwiło mnie to. Tak dobrze się trzymał. Na dodatek ci ludzie nie wzbudzili mego zaufania, oto dlaczego przybyłam tu razem z Martusią.

Katarzyna i Jakub de Roussay spojrzeli po sobie.

– Przeszukaliśmy cały dom od strychu po piwnice... ale któż pomyślałby o kurniku?

Jakub bez słowa wybiegł ze swymi ludźmi na podwórze. Byli tam już Walter i Bérenger. Pośrodku gładzącej gromady przerażonego ptactwa mocowali się właśnie z wielką kłódką w pobieżnie skleconych, lecz na pierwszy rzut oka nowych drzwiach kurnika.

– Do diabła! Żeby tak się bać o swoje jaja! – zakpił Roussay pod adresem Amandyny, którą dwóch żołnierzy przywiodło na podwórze. – Oddaj mi klucz, kobieto, tak będzie lepiej!

– Nie mam go! – odburknęła gniewnie. – Ta komórka od dawna nie jest używana. Klucz musiał się zgubić!

– A te nowe drzwi? Jak to możliwe? Dalej, wyrwijcie mi te drzwi, bo widać z kłódką nie damy sobie rady!

Zaatakowane siekierą drzwi nie opierały się wiele i wkrótce odpadły, ukazując ciemne, obskurne wnętrze, z którego dobywał się taki smród, że Jakub de Roussay zatkał sobie nos, a ramieniem zagroził drogę Luizie i Katarzynie, które chciały wdrzeć się do środka.

– Pozwólcie, że wejdem tylko z jednym z moich ludzi. Chodź, Baudron! Po chwili obaj wyszli ze środka, niosąc ostrożnie i z obrzydzeniem bezkształtny, cuchnący zwój brudnych koców i pościeli, z których wystawała siwa głowa oraz zmierzwiona, lepka od brudu i kłębiąca się od robactwa broda...

– Wuj Mateusz! – pobladłszy krzyknęła Luiza. – Boże, w jakim stanie...

– Żyje?... – wyszeptała drżącymi wargami Katarzyna.

– Tak, żyje, lecz jest nieświadomy. Wygląda, jakby zażył narkotyku – powiedział Jakub. – Jedno jest pewne, że przybyłyście w samą porę, siostrzenice!

– Każę służącej zagotować wody! – krzyknął Walter. – Najpierw trzeba go umyć i zbadać.

– W porządku! Zajmij się tym, młodzieńcze! – odparł Jakub z wyraźną ulgą, po czym zwrócił się do Amandyny, która na próżno starała się wyrwać z rąk strażników: – No i co, piękniśiu? Co teraz powiesz? Dziwnie wygląda twój pan jak na kogoś, kto udał się w drogę! Pewnie nam powiesz, że sam się zamknął w kurniku i że ty o niczym nie wiesz?

Amandyna warknęła jak rozwścieczony kot.

– Myślcie sobie, co chcecie, i niech was piekło pochłonie! Jeśli tu się

znalazł, to znaczy, że sam szatan go tu przywiódł. Przysięgam na wszystkich świętych, myśleliśmy, że wyjechał!

– Naprawdę? Ciekawe, jak będziesz śpiewać na widok kata, moja śliczna?
– zakpił kapitan. – Wątpię, czy ci uwierzy. Hej, wy tam! Zabrać mi to całe towarzystwo do Domu pod Małą* [*Więzienie.]. I nie zapomnijcie o braciszku grzecznie oczekującym w sklepiku. Co do mnie, to udaję się natychmiast do wicehrabiego opowiedzieć o całej tej sprawie.

Podczas gdy Jakub de Roussay prowadził więźniów wśród okrzyków tłumu i świszających wokół ich głów kamieni, nieszczęsny handlarz materiałów został przeniesiony przez dwóch żołnierzy do kuchni i ułożony przy kominku. Obie siostry z pomocą Martusi natychmiast zabrały się do uwolnienia wuja ze śmierdzącego kokonu. Simona Morel udała się do domu, by przysłać służących i nosze. Na odchodnym rzuciła do Katarzyny:

– Nie powinna pani tu zostawać! Niech pani zamieszka u mnie. Wuj znajdzie u mnie należyłą opiekę, a tutaj przyśle się strażnika, żeby nie splądrowano domu.

Nawet nie chciała słyszeć wymówek Katarzyny i skwitowała je wzruszeniem ramion.

– Mój dom jest nowy i pomiestny. Na dodatek nie ma w tej chwili męża, gdyż bawi w Gandawie u księcia...

Nie pozostawało nic innego jak przyjąć miłe zaproszenie. Po wyjściu Simony siostry zerwały z wuja łańchmany. Choć starzec schudł znacznie, ważył nadal sporo i nie obyło się bez pomocy Waltera. Bérengera zemdliło i wyszedł na ulicę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Luiza wypełniała swoje zadanie z narastającym gniewem.

– Popatrz no tylko! – warknęła do siostry, chwytając szczypcami z kominka jeden z łańchmanów. – Popatrz tylko, do jakiego stanu dał się doprowadzić ten stary idiota przez tę wszetecznicę! A przecież uprzedzało się go!

– Chyba ją kochał... Wiesz, gdy się kocha, nie widzi się niczego, nie rozumie się niczego...

– Powinnam pamiętać, że jesteś mistrzynią w tej materii! – syknęła Luiza spoglądając na siostrę z ukosa. – Co do mnie, to dziękuję Panu, że ochronił mnie przed takimi bezeceństwami!

Katarzyna udała, że nie słyszy. Od czasu potwornego przejścia, jakie przeżyła siostra w czasie powstania paryskiego w 1413 roku za sprawą Rzeźnika Caboche'a, Luiza okazywała do miłości awersję zbliżoną do nienawiści. Przez nią wstąpiła do klasztoru. Dlatego Katarzyna nawet nie zamierzała dyskutować z nią na ten temat. Zastanawiała się natomiast nad przyczyną, dla której Amandyna postąpiła tak podle z wujem, chociaż opętała go do tego stopnia, że zgodził się dla niej wypędzić z domu własną siostrę. Przecież prościej było go zabić... Chyba że trzeba było za wszelką cenę utrzymać go przy życiu jak najdłużej. Pytanie brzmiało: dlaczego?...

Patrz; „Katarzyna” tom I.

Rozdział trzeci

WESTCHNIENIA JAKUBA DE ROUSSAYA...

Oparty na wielkich poduchach wypchanych kaczym puchem, wuj Mateusz pożerał grube kawałki piernika, które maczał w mleku. Od chwili kiedy przyszedł do siebie, cały czas jadł i ciągle było mu mało. Byłby opychał się bez końca, gdyby Katarzyna nie zarządziła regularnych pór posiłków.

– Nie wolno się przejadać, drogi wuju, po tym, jak pościłeś przez długi czas. Mogłoby ci to wielce zaszkodzić!

– Eee... co mi tam... Teraz, co mi jeszcze z życia zostało?

– Dzięki Bogu zostały ci, mój wuju, środki, byś wiele lat mógł żyć w błogim spokoju. Zobaczysz, że szybko wrócisz do sił, i wtedy będziesz mógł dokonać wyboru: albo osiąść w Marsannay, pośrodku winnic, gdzie tak przyjemnie się żyje...

– Widzisz mnie samego w Marsannay... teraz kiedy moja biedna Jacqueline, twoja święta matka, której przysporzyłem tyle zmartwień, nie żyje? Stetryczałbym tam zupełnie jak stary piernik...

– W takim razie zamieszkać u nas, w Montsalvy! Podobało ci się tam, kiedyś przybył na chrzciny Izabeli. Zobaczyłbyś, jak rosną dzieci... Mój mały Michał bardzo cię kocha... Wszyscy przyjmą cię z otwartymi ramionami!

– Ale twój mąż nie przepada za mną! Nie mogę zresztą mieć mu tego za złe: to wielki pan, rycerz, a ja jestem zwykłym handlarzem płóciennym... przykrym przypomnieniem twojego pochodzenia, moje dziecko! Do tego to długa droga, a klimat w twojej górzystej krainie jest srogi.

– W takim razie pozostaje ci, wuju, jeszcze jedna możliwość: Luiza, to znaczy matka Agnieszka od Świętej Radegundy, proponuje ci, byś zamieszkał niedaleko niej, w domu z ogrodem należącym do klasztoru. Byłbyś tam...

– Zraszany codziennie wodą święconą, okadzany kadzidłem i maltretowany zdrowaškami od rana do wieczora! Matka przeorysza nie ukrywała wcale przede mną dziś rano, kiedy nas opuszczała, że czas pomyśleć o odkupieniu grzechów i o zbawieniu duszy, gdyż niewiele mi życia zostało, i że jeżeli się nie ukorzę, to już szatan na mnie czeka podgrzewając olej w kotłach i ostrząc wielkie widły. Dziękuję bardzo! Wolę już umrzeć w samotności w Marsannay! Przynajmniej zostanie mi na pociechę moje wino! Nie chcę, by na stare lata Luiza katowała mnie wodą i suchym chlebem!...

Rozmowę przerwało wejście małej kobiety, tak małej, że jej wielki czepek z wykrochmalonego płótna fryzjijskiego sprawiał wrażenie jakby jej twarz znajdowała się w połowie całej sylwetki. Była to Bertylka, która wykarmiła własną piersią Simonę Morel, a teraz jako jej ochmistrzyni miała pewną pozycję w Dijon.

Bertylka miała za zadanie przynieść balsam od aptekarza w celu ulżenia imć Mateuszowi w ranach spowodowanych przez robactwo.

Zbliżywszy się do łoża chorego, rzuciła oburzone spojrzenie na tacę z jedzeniem, na której nie zostało nic oprócz pustego kubka na wino i noża.

– Jecie za dużo, mistrzu Mateuszu Gautherin! – rzekła surowo. – Nie żeby ktoś wam żałował jedzenia, ale sami czynicie sobie krzywdę!

Mateusz, potrząsając niecierpliwie siwą czupryną czyniącą go podobnym do starego, zrzędliwego lwa, rzucił jej wyzywające spojrzenie.

– A co wy sobie wszyscy myślicie? Jestem głodny! Ty, pani, z twoimi różowymi policzkami i pulchną kibicią, nie wiesz, co to głód!

– Pulchną, pulchną! Za chwilę ten ordynus powie, że jestem za tłusta!

– Nigdy nie powiem czegoś takiego, pani Bertylko! Ale nie zarzucajże mi...

Katarzyna, korzystając z okazji, ruszyła na paluszkach w stronę drzwi, zostawiając wuja sam na sam z Bertylką. Tych dwoje znało się od dawna i ani jedno, ani drugie nie pomyślało, żeby ją zatrzymać. Od czasu ich przybycia Bertylka ustanowiła sama siebie pielęgniarzką i opiekunką wuja, a ich dotychczasowe relacje na płaszczyźnie klient – dostawca nagle przybrały inny charakter. Wydawało się, że stary niedźwiedź Mateusz nabrał gustu do płci nadobnej podczas swej niefortunnej przygody z Amandyną.

W tym względzie wkrótce usłyszano opis jego nieszczęść. Za ledwie przyszedł do siebie po pierwszym obfitym posiłku, wuj uwolnił się od okrutnych wspomnień zatruwających mu pamięć i dowiedziano się o ogromie jego niemocy w czasie uwięzienia.

Otóż między nim i kochanką przez kilka miesięcy wszystko układało się jak najlepiej. Amandyna była opiekuńcza, a nawet czuła i dogadzała wszelkim zachciankom starca, zajmując się nim jak matka, córka i kochanka zarazem.

Lecz pewnego deszczowego dnia sprawy przybrały inny obrót wraz z pojawieniem się brata Amandyny, Filiberta. Utrzymawał on, jakoby powracał z Ziemi Świętej, a że był w nader opłakanym stanie, jego słowa nie wzbudziły podejrzeń staruszka, który chcąc przypodobać się kochance, przyjął brata z otwartymi ramionami.

Powoli jednak intruz zapuszczał w domu korzenie. W miarę jak wracały mu siły, zaczął się panoszyć i przemawiać niczym gospodarz na terytorium Wielkiego Świętego Bonawentury.

Pomimo wysiłków Amandyny starającej się wyjaśnić zły charakter brata jego niedawnymi przejściami, mistrz Gautherin wreszcie przejrzał pewnego dnia, kiedy to powróciwszy niespodziewanie z targu zastał Amandynę w składziku opartą o beczkę, ze spódnicami zadartymi aż po pas, przyjmującą od Filiberta zapalczywe zaloty nie mające nic wspólnego z uczuciami braterskimi.

Niegodziwa para skwitowała oburzenie starego człowieka naigrawaniem, a kiedy Mateusz zagroził, że oboje wyrzuci na bruk, opadli go jak hieny, związali w kij, zakneblowali usta i przenieśli najpierw do piwnicy, a następnie do kurnika, skazując na straszne katusze.

– Kiedy zdecydujesz się, stary capie, podpisać akt ślubu – powiedziała Amandyna – wrócisz do domu!

– Wolę szczeznąć! – odpalił Mateusz płonąć z gniewu. – Nigdy nie oddam swego nazwiska takiej nierządnicy jak ty!

– No to będziesz miał teraz czas, nawet dużo czasu, żeby to przemyśleć! Dostaniesz pić, ale nic do jedzenia. A znając twoje obżarstwo, szybko zmięknie...

I zaczęła się męka Mateusza Gautherina. Amandyna, zgodnie z przestroga

żywiła go samą wodą i co rano połała go naparem z belladonny, który go usypiał na cały dzień po to, by nie krzyczał. Wieczorem, kiedy ona lub Filibert przynosili mu wodę, zadawali mu ciągle jedno i to samo pytanie: „Czy zdecydowałeś się na ślub?” Mateusz jednak ciągle powtarzał „nie”. Pomimo utraty sił postanowił nie dać za wygraną. Wtedy zjawiała się Katarzyna i nastął kres katuszy.

Piękny, nowy dom Morelów o podwójnych oknach, witrażach i z elegancką, rzeźbioną balustradą zdobiącą dach z lakierowanych dachówek przyjął w swe gościnne progi Katarzynę, jej wuja i ich służbę. Katarzyna zdążyła zaprzyjaźnić się z uroczą gospodynią, jej myśli zaprzętał królewski więzień, którego należało wybawić z opresji. Próbowwała dyskretnie dowiedzieć się szczegółów na ten temat, lecz tylko to, co usłyszała wiedzieli wszyscy śmiertelnicy w Dijon: René Andegaweński, król Sycylii i Jerozolimy, zamknięty był w książęcym pałacu, w wieży Nowej, pilnie strzeżony i na tym koniec...

Opuściwszy pokój wuja, pani de Montsalvy udała się do siebie i ubrała się do wyjścia. Pomimo obietnicy Jakub de Roussay nie wrócił po aresztowaniu La Verneów, postanowiła więc sama się przekonać, w jaki sposób można by zbliżyć się do więźnia...

Wyszła z domu nie natknąwszy się na nikogo. Simona wyruszyła z rana w rodzinne strony w Foissy. Co do służących, wszyscy zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, łącznie z Walterem i Bérengerem...

Przyczyna takiego stanu rzeczy uderzyła Katarzynę zaraz po opuszczeniu domu: u zbiegu ulicy Wełnianej i ulicy Notre Dame zebrał się tłum przy pręgierzu, gdzie pomocnicy kata, gdyż on sam nigdy nie zniżał się do takich podłych zajęć, właśnie kończyli zamykać żelazną obręcz na szyi złodzieja kur. Złoczyńca był jednak tak gruby, że obręcz o mało go nie udusiła, a gawieź rechotała z uciechy na widok jego wykrzywionej, posiniałej twarzy i próżnych wysiłków oprawców. Byli tam wszyscy mieszkańcy domu Simony, łącznie z Bérengerem.

Niezadowolona, że widzi pazia przy pręgierzu, Katarzyna pacnęła go w ramię.

– Co przyjemnego znajdujesz, chłopcze, w takich widowiskach? Młodzieniec poczerwieniał na twarzy, lecz spojrzenie, jakie skierował na swą panią, było dobroduszne.

– Ja tylko tu czekam na Waltera, pani.

– A gdzież to podziewa się nasz pan Walter o tej porze?

– Na honor, nie wiem. Wyszliśmy razem, by zagrać w piłkę, kiedy on zauważył jakiegoś człowieka na ulicy. Wtedy nagle się zatrzymał i rzekł do mnie: „Idź grać beze mnie. Muszę coś załatwić”, po czym rzucił się śladem nieznanego, nie pozwalając mi iść z sobą i rozkazując nie ruszać się stąd i czekać. Lecz jeśli wychodzisz, będę ci towarzyszyć...

– Nie, nie trzeba. Walter kazał ci czekać, to czekaj. Idę do kościoła nie opodal. Powiedz mu, że to nierozsądne śledzić byle kogo w nieznanym mieście...

Katarzyna ruszyła w stronę Notre Dame, której oryginalna fasada widoczna była na końcu ulicy, zastanawiając się, co mogło przyjąć do głowy Walterowi. Miała jednak zaufanie do przebiegłości i inteligencji młodzieńca i

wierzyła, że nie wpakuje się on w jakieś kłopoty. W każdym razie towarzystwo było jej nie na rękę, gdyż zamierzała złożyć wizytę przyjacielowi, Jakubowi de Roussayowi, a wizyta w kościele miała być tylko pretekstem.

Skierowała swe kroki do kaplicy, w której królował dosyć brzydki posąg Matki Boskiej Dobrej Nadziei i skwierczały płonące świece. Wzięła jedną, zapaliła i dołączyła do grupy świec, sama zaś uklękła na stopniach ołtarza i zatopiła się w żarliwej modlitwie, prosząc Matkę Boską, żeby pozwoliła jej uratować życie uwięzionego króla. Wkrótce zauważyła, że modli się za samą siebie, gdyż prosiła głównie, żeby wszystko szybko się skończyło, i żeby mogła jak najprędzej wrócić do Montsalvy.

Wydawało się jej, że całe wieki upłynęły, od chwili gdy wyruszyła z domu. W rzeczywistości było to tylko sześć miesięcy. Lecz dni nieobecności liczą się stokrotnie, kiedy się jest z dala od najbliższych.

Pokrzepiwszy się modlitwą i uczyniwszy ostatni znak krzyża skierowała się do wyjścia, kiedy w kruchcie jej uwagę zwróciła cicha skarga żebrzącego mnicha.

– Na dusze w czyśćcu i na zbawienie twej duszy, wesprzyj biednego, szlachetna pani! Będiesz błogosławiona na tej ziemi i sławiona w niebie!

Katarzyna machinalnie otworzyła sakiewkę, kiedy nagle jękliwy głos przeszedł w radosny szept.

– Błogosławione niech będą niebiosy, które sprowadziły tutaj najpiękniejszą panią Zachodu! Dostatek tego miasta opuszczonego przez Boga odrodzi się, jeśli pani de Brazey doń wróci!

Zdziwiona Katarzyna przyjrzała się uważnie pokręconej postaci odzianej w czarną derkę, niezwykle brudnej twarzy o wyoranych rysach, jasnym, żywym oczom, które wydały się jej dziwnie znajome... I z głębokich pokładów jej pamięci wydobyło się jedno imię:

– „Brat”... Jehan?...

Twarz żebraka, pomimo pokrywającej ją warstwy brudu, pokraśniała z ukontentowania.

– Twoja pamięć, pani, jest tak doskonała, jak wielka jest twoja uroda! O jakim szczęśliw...

– Ja również jestem szczęśliwa, że ciągle dobrze się miewasz, Jehanie. Boże, jak to dawno było...

Istotnie, dawno temu, jeszcze przed swoim pierwszym zamążpójściem, poznała Jehana Pieniążka, fałszywego mnicha i obieżyświata wyspecjalizowanego w żebraniu i przebierankach. Pojawił się także w ciemnym okresie jej życia, kiedy to wraz ze swoim przyjacielem Barnabą Muszelką próbował oddać jej wielką przysługę, tak wielką, że Barnaba zapłacił życiem za swoje poświęcenie.

– Chciałaś rzec – podjął Jehan z gorzkim uśmiechem – że moja zaskorupiała powłoka cielesna dawno już powinna zgnieć w fosach Morimont po odczepieniu jej z szubienicy czy wyjęciu z kotła z wrzącym olejem? W moim fachu nie jest łatwo przeżyć, lecz ja trzymam się życia, błękitnego nieba, dobrego wina i pięknych dziewcząt. Toteż robię wszystko, co należy: pilnuję się starannie. Ale, ale, nie odpowiedziałaś na moje pytanie, piękna pani: czyżbyś do nas wróciła?

Katarzyna pokręciła przecząco głową.

– Nie, przyjacielu. Nie jestem już dawno panią de Brazey. Moje życie toczy się teraz daleko stąd, w górach Owernii, i przyjechałam tu tylko na dwa dni. Zresztą ksiązę Filip zapewne nie pamięta już o mnie...

– Ksiązę Filip zapomniał o czasach młodości – wycedził fałszywy mnich przez zęby. – Zapomniał o tobie, jak zapomniał o swoim mieście. Mieszka we Flandrii, daleko od nas, a Dijon straciło dawno swoją świetność. Na twój widok, pani, pomyślałem, że wracają dawne, dobre czasy... ale widzę, że nic z tego... Jedyne zadanie naszego miasta to służyć za więzienie dla króla...

Katarzyna wyjęła z sakiewki złotą monetę i wcisnęła ją do brudnej dłoni żebraka.

– Co wiesz o uwięzionym królu, Jehanie? Co się o nim powiada na mieście?

– Nikt nic nie wie... albo bardzo niewiele! Powiada się, że jest lepiej strzeżony niż skarbiec Sainte-Chapelle, ot i wszystko! – Jehan zamilkł nagle. Przenikliwe oczy żebraka łypnęły badawczo na Katarzynę spod zakurzonego kaptura. – Interesujesz się nim? – wyszeptał. – Dlaczego?...

Katarzyna nie zastanawiała się wiele. Od dawna wiedziała bowiem, że można zaufać temu człękowi pomimo jego czarnej duszy i pokrętnych ścieżek, jakimi zwykł chadzać.

– Jestem damą dworu królowej Yolandy, jego matki, która przysłała mnie, bym się z nim zobaczyła, gdyż martwi się o niego. A ty, Jehanie, który zawsze wszystko wiesz, powiedz mi, czy żyje?

– Och! Co do tego nie ma wątpliwości! – odparł szyderczo Jehan – i jeśli przytrafi mu się jakieś nieszczęście, to nie z winy pana de Roussaya, który dobrze go strzeże, gdyż wart jest krocie, istne krocie, jak się powiada. Nasz ksiązę Filip spodziewa się uzyskać za niego królewski okup! A jednak w najbliższych dniach może przydarzyć mu się nieszczęśliwy wypadek...

– Mów jaśniej – nalegała Katarzyna.

W tym momencie drzwi kruchty otworzyły się i do środka wparowały trzy zażywe jejmości w plisowanych sukniach, bluzkach z cienkiego płótna i z modlitewnikami z pięknej skóry. Na ich widok fałszywy mnich powrócił do swych lamentów, lecz one przemaszerowały krokiem wojennym nawet nie zwróciwszy na niego uwagi. Jehan splunął na posadzkę z pogardą i podjął:

– Ano, że od trzech czy czterech dni w gospodzie Jaquota de la Mer przebywają dziwni goście.

– To on jeszcze się jakoś trzyma?

– Donoszenie od czasu do czasu szpiegom wicehrabiego pomaga żyć. Jaquot nie jest już taki biedny jak dawniej, gdyż dla niego każdy interes jest dobry, jeśli kryje się za nim złoto.

– Co wiesz o tych dziwnych gościach?

– Że szastają pieniędzmi, że namawiają się z Jaquotem, a jedna z jego dziewczek, która dobrze mi życzy, powiedziała mi w zaufaniu, że często powtarza się w ich rozmowach nazwa wieży Nowej... i że Jaquot ma krewniaka, który posługuje w kuchniach pałacowych...

– A ilu ich jest?

– Trzech. Jeden z nich musiał chyba urodzić się z drugiej strony Pirenejów... A teraz lepiej, żebyś stąd odeszła, pani. Ktoś mógłby zauważyć, że rozmawiasz ze mną. Powiedz mi tylko, gdzie stanęłaś w Dijon?

– U pani Morel-Sauvegrain...

– U mamki następcy? Świetnie... Jak tylko coś wyniucham, dam ci znać. Niech Bóg ma cię w swej opiece, piękna pani!

– I ciebie także... bracie!

Nad głową Katarzyny rozdzwoniły się dzwony, przepędzając zgromadzone na rzygaczach gołębie. Do kościoła zbliżały się grupki ludzi i pojedynczy wierni, a kościelny otworzył szeroko bramy. Odchodząc słyszała jeszcze głos Jehana Pieniążka, który podjął swoje zebracze zawołanie. Głos jego brzmiał jak zachęta do działania i dodał jej otuchy. Spotkanie tego starego, zapomnianego co prawda przyjaciela było istnym zrzędzeniem losu, gdyż dostarczyło jej cennych informacji. Tajemniczy goście podejrzanej gospody, którą dobrze знаła, nie mogli być nikim innym, jak tylko ludźmi Villandrado i Paniczyka, a większość ich ludzi musiała obozować gdzieś w pobliżu miasta. Jednak fakt, że mieli wspólników w Dijon, był więcej niż niepokojący...

Przyśpieszywszy kroku, ruszyła wzdłuż obwałowania Księżnej, rzucając pełne niepokoju spojrzenia na wieżę Nową, której kwadratowy zarys wznosił się ponad drzewami wyłocnymi przez jesień. Z wieżą tą w konkury stawała wyższa jeszcze i smukła Sainte-Chapelle, dosięgająca złoconym szpicem błędnącego nieba. Obszedłszy wokół niemą masę wieży, dotarła do wejścia pałacu, przy którym stróżowali uzbrojeni po zęby żołnierze książęcej straży z hełmami na głowach i halabardami w dłoniach.

Po długich rozmowach jeden ze strażników zgodził się zawiadomić kapitana Jakuba de Roussaya o przyjściu gościa. Nie było nawet mowy, żeby przeszła za linię straży. Jehan Pieniążek miał rację: pałac i więzień byli dobrze strzeżeni!

Przedłużające się godziny oczekiwania wypełniła badaniem okolicy. Wejście łączyło dziedziniec Sainte-Chapelle z wewnętrznym dziedzińcem pałacu otoczonym wysokimi murami. Wieża Nowa była tuż, tuż i łączyła się z rozległymi książęcymi apartamentami długą galerią, stanowiąc niesamowity z nimi kontrast. Wysokie, wysmukłe okna pałacu z lekkimi łukami i połyskliwymi szybami czyniły jeszcze bardziej tragicznymi kraty, za którymi kryły się nieliczne otwory okienne kwadratowej wieży.

Chyba nie uda mi się tam wejść bez zezwolenia, pomyślała Katarzyna starając się policzyć strażników stojących na straży królewskiego więzienia. Nieszczęśnik musi się tam czuć jak szczur w pułapce...

Miało to swoje złe i... dobre strony. Choćby nie wiem jak przebiegły był Paniczyk, to jego złe zamiary miały tak samo małe szanse dosięgnąć króla jak ona z listem od Yolandy. Jednak to, że był w zмовie z Jaquotem de la Mer, nie na żarty niepokoiło młodą kobietę. Przecież właściciel gospody miał jakiegoś kuzyna w pałacu... A tam gdzie człowiek się nie prześliznie, trucizna nie natrafi na żadne przeszkody...

Pogrążona w rozmyślaniach nie zauważyła, że wreszcie ktoś po nią przyszedł.

– Kapitan oczekuje na panią de Montsalvy – powiedział jej rozmówca z odcieniem szacunku, którego do tej pory nie raczył okazać. – Pozwolisz, pani za mną...

Strażnik zaprowadził ją do mieszkania kapitana, które zajmował, gdy miał

służbę w pałacu. Katarzyna dobrze je знаła. W czasach kiedy była damą dworu księżnej Małgorzaty, przyszła tu pewnego letniego, upalnego dnia i o mały włos nie wpadła w ramiona i do łóżka młodego wtedy kapitana.

Komnata, do której ją wprowadzono, niewiele zmieniła się od tamtego czasu: piękne meble, cenne tapety wokół łóżka, broń i części zbroi wystające z kufra, a na kredensie puchary i wiele butelek, z czego niektóre były puste.

Butelki musiano opróżnić niedawno, gdyż de Roussay miał czerwone policzki i wzrok raczej mętny. Mokra zaś włosy oznaczały, że niedawno obficie zmoczył sobie głowę w wodzie. Kiedy Katarzyna weszła do środka, kapitan pośpiesznie zapinał zielony żupan. Posłał jej radosny, lecz zarazem skrepowany uśmiech.

– Och! pani, zadałaś sobie trud, żeby przyjść aż tutaj! – Jakże mi wstyd!...

– Zupełnie niepotrzebnie, przyjacielu. A ponieważ bez skutku oczekiwałam pańskiej wizyty przedwczoraj cały wieczór i cały wczorajszy dzień, pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli sama przyjdę. Dlaczego nie zaszczyciłeś nas, panie? Czyżbyś nie lubił pani Simony?

– Wprost przeciwnie! Oprócz księżnej to chyba jedyna kobieta piękna i zarazem pełna cnót w tym eleganckim burdelu, jakim jest dwór naszego dobrego księcia!

– O! Cóż za surowy osąd!

– Skądże znowu! Prawdę mówiąc uważam, że rzeczywistość wygląda znacznie gorzej... Księżę zmienia kochanki jak koszule, płodzi bękarty na lewo i prawo i zachowuje się jak zwierz w swoim parku w Hesdin, gdzie, wystaw sobie, moja droga, kazał zainstalować ukryte fontanny, które zraszają niespodziewanie... pośladki dam pod ich spódnicami, kiedy przechadzają się alejkami... Ach! Wszystko się zmieniło, od kiedy nas opuściłaś, pani!...

– No, no, Jakubie, nie zrzedźże i nie bądź taki niesprawiedliwy! – odparła Katarzyna ze śmiechem. – To, o czym mi mówisz, jest co prawda nieco zaskakujące, lecz kiedy ja byłam u boku księcia, również nie pielęgnowaliśmy cnoty, jak mi się zdaje?

– Ponieważ byłaś jego kochanką? Ależ to nie to samo! Był wdowcem i uwielbiał cię! W waszej historii było coś wielkiego! Dzięki tobie piękno i urok wzniosły się na wysokość tronu, a wraz z nimi skromność i dyskrecja. Nie było nikogo takiego na dworze, kto potępiłby pasję księcia! Jak można było ci się oprzeć? Nawet malarze czynili z ciebie Notre Dame Zachodu!... Ale teraz...

– Ale teraz?

Jakub wzruszył ramionami ze zdenerwowaniem.

– A teraz?... Czy wiesz, pani, że wiele razy widziano naszego wielkiego księcia parzącego się ze służącymi na kufrach lub po ciemnych kątach? Wystarczy mu widok cycuszka czy ładnej krągłej dupki, a traci rozum! Co za upadek!

– A cóż na to wszystko księżna? – spytała Katarzyna.

– Księżna? Jest zbyt wielką damą, by poniżyć się robieniem scen czy choćby wymówek. Wychowuje syna, młodego księcia Karola, któremu stara się wpoić umiarkowanie... i modli się. Niestety, bez wielkiej nadziei na to, że zostanie wysłuchana. Kiedy się ma za męża kozła w rui, trudno jest żyć.

Zaległa cisza przerwana westchnieniem kapitana i kolejną jego wizytą w kredensie, gdzie nalał sobie pełny puchar wina, który opróżnił jednym haustem

śledzony uważnym zamyślonym spojrzeniem gościa.

– Kiedyś go kochałeś, panie... Dlaczego więc teraz?... – zarzuciła łagodnie.

Kapitan odwrócił się do niej gwałtownie, jakby go ucięła osa.

– Dlaczego mówię ci o tym wszystkim? Wnioskujesz, że go nienawidzę, czy tak? Otóż nie, to nie to. Wręcz przeciwnie, nadal jestem gotów oddać życie za niego dzisiaj, jutro, natychmiast! Lecz, na rany Chrystusa, niechże mi wreszcie da ku temu okazję! My Burgundczycy i cała nasza stara Burgundia pragniemy walczyć u jego boku, a nie gnić w zamkach jak stare, bezużyteczne przedmioty! Tymczasem on woli otaczać się tymi rozlazłymi, tłustymi i zarozumiałymi Flamandczykami! W Calais mieliśmy najlepszy dowód na to, jaki skutek przynoszą takie preferencje!

– W Calais? – spytała Katarzyna, której własne sprawy nie pozwoliły na zajmowanie się wewnętrzną polityką Burgundii. – Co tam się stało?

Jakub spojrział na nią z rozjątrzeniem.

– Góry w tej waszej Owernii muszą być bardzo wysokie, pani de Montsalvy, skoro nie wiesz nic o naszym wstydzie. Książę Filip chciał odebrać Anglikom Calais, popychany przez handlarzy z Gandawy i Brugii, których handel wełną ucierpiał od czasu zawarcia pokoju w Arras. I książę ruszył na spotkanie przygody ze swymi Gandawczykami i Brugijczykami, którzy przemysłiwali w swojej przebiegłości, by skorzystać z angielskiej siły. Za żadną cenę ludzie z Pikardii i Burgundii nie mieli być dopuszczeni do udziału w sprawie. Tylko sami „jaśniepanowie” z Gandawy i Brugii, jak ci zarozumialcy ośmielają siebie nazywać. Powód tego był prosty: liczyli na cenne łupy i nie zamierzali z nikim się dzielić. Ale skutek był godny pożałowania, gdyż widząc, że nie dadzą rady nieprzyjacielowi, „jaśniepanowie” dali dyla, nie słuchając próśb, słuchaj mnie dobrze, Katarzyno, tak... próśb – krzyknął nagle Jakub w porywie gniewu – swego władcy i wrócili do siebie wlokąc za sobą zrozpaczonego księcia, nie pozwoliwszy mu nawet poczekać na przyjazd księcia de Gloucestera! Oto, jak się mają rzeczy! Oto, dokąd prowadzą nas nierozważne preferencje Filipa Dobrego! Nie ma w Burgundii ani jednego rycerza, który nie zagryzałby zębów aż do krwi na myśl o Calais. A w tym czasie ja, Jakub de Roussay, dowódca stu lancy nie mam nic lepszego do roboty jak pilnować małego króla, który całymi dniami pisze wiersze, maluje obrazki albo przypatruje się ptakom. Ach, żyć się odechciewa!

Na zakończenie przemowy Roussay zaaplikował sobie kolejną porcję wina. Kiedy opróżnił puchar, Katarzyna wyszeptwała:

– Za króla René wyznaczono tak wysoki okup, że jest niczym skarb, przyjacielu Jakubie. Pilnowanie skarbu to przecież nie jest taka podła funkcja. Dowodzi przynajmniej zaufania, jakim obdarza cię książę. Sądzę też, że wywiązujesz się z zadania jak najlepiej.

– O, co do pilnowania więźnia, to dobrze jest pilnowany! – zaszydził kapitan. – Co najmniej jak jakiś złoczyńca, z tą tylko różnicą, że nie gnije w lochu, lecz ogląda słońce. Ale oprócz dobrego żołnierskiego jadła, materiałów do pisania i gryzmolenia, nie jest rozpieszczany, możesz mi wierzyć! Bo widzisz, dla mnie więzień to tylko więzień, choćby był nie wiem kim!

– Ależ to jest król! Nie możecie traktować go jak zwykłego przestępcy! – krzyknęła oburzona Katarzyna.

– Czyni się ze mnie strażnika, jestem strażnikiem! – ryknął Jakub waląc pięścią w stół. – Spełniam tylko rozkazy!

– I... nie zezwalasz mu na żadne odwiedziny?

– Żadne! Nawet żadnej służącej, choć bardzo się uskarża na swoją przymusową wstrzeźliwość. Chociaż... w grudniu zezwoliłem na wizytę wysłannika wielkiego i potężnego pana Filippo-Maria Viscontiego, księcia Mediolanu, który przybył dowiedzieć się, co nasz więzień sądzi o tajemnych planach księcia Filipa dotyczących okupu.

– Tajemne plany? – spytała Katarzyna z niepokojem. – Czyżby ekstrawagancka suma miliona dukatów w złocie była zbyt mała?

– Gdyby Andegawenia mogła ją zapłacić, tak – odparł de Roussay z jowialnym śmiechem – ale że nigdy jej nie będzie na to stać, nasz dobry księżę zadowolony się łaskawie... jego księstwem Bar... którego już nie potrzebuje, ponieważ jest królem Neapolu, Sycylii i innych miejsc...!

Katarzyna nie mogła uwierzyć własnym uszom. Ci Burgundzycy istotnie bardzo się zmienili! Znała od dawna apetyty terytorialne księcia Filipa oraz jego brak skrupułów politycznych, lecz takie praktyki, mające na celu wyrwanie uwięzionemu jego własnych ziem, były wprost skandaliczne... podobnie jak przeistoczenie się poczciwego dobrego chłopca, jakim był Jakub de Roussay, w groźnego Cerbera.

Podczas gdy gospodarz wychylał kolejną butelkę, ułożyła się z gracją na ławie wymoszczonej puszystymi, czerwonymi poduszkami, naprzeciw kominka. Ułożywszy fałdy brązowej sukni, podniosła zdecydowanie delikatną głowę, na której ciężkie, złote warkocze zwieńczone były kapturkiem z białego jedwabiu, i utkwiała spokojnie swe fioletowe źrenice w przekrwionych oczach przyjaciela.

– Jakubie – powiedziała zdecydowanym głosem – chcę się widzieć z królem!

Jej słowa z trudem przebiły się przez opary wina spowijające głowę kapitana.

– Chcesz, pani, widzieć się... z kim? Z królem?... – wybełkotał z niedowierzaniem.

– Wiem, że dobrze rozumiesz: chcę widzieć się z królem René... więźniem wieży Nowej, jeśli wolisz.

– Ależ to zupełnie niemożliwe!

– Jeśli było możliwe dla wysłannika z Mediolanu, to wystaw sobie pan, że ja też jestem wysłannikiem!

Jakub wybuchnął rubasznym głośnym śmiechem.

– Pani wysłannikiem? A czymże to?

Katarzyna bez zmruczenia oka wyciągnęła przed siebie lewą dłoń, gdzie na palcu wskazującym błyszczał duży kwadratowy szmaragd, który nigdy jej nie opuszczał.

– Wielkiej, mądrej i szlachetnej Yolandy, z łaski niebios księżnej Andegawenii, królowej Sycylii, Neapolu, Aragonii i Jerozolimy i największej damy Zachodu... niezależnie, co o niej myśli próżny lud burgundzki! Oto jej pierścień z wygrawerowanym herbem. Co do mnie, to jestem jedną z jej dwórek, którą ona przysłała do syna, bym mu przekazała ten oto list – dodała odpinając suknię na szyi, by wyjąć ukryty na piersi list. – List, który nie zawiera żadnego planu ucieczki, na to daję ci me słowo, lecz tylko czułość niespokojnej matki.

Przykuty poważnym tonem gościa, de Roussay odstawił swój puchar nie odpowiadając. Najwyraźniej był zakłopotany i nie wiedział, jak ma postąpić. Katarzyna nie zostawiła mu jednak wiele czasu do namysłu.

– No i jak będzie? – spytała po chwili. Jakub rozłożył bezradnie ramiona.

– Doprawdy, Katarzyno, sam nie wiem, co mam ci odpowiedzieć... Uznaję twoją misję, posłannictwo... lecz posłannik księcia Mediolanu miał specjalne pozwolenie wielkiego kanclerza Burgundii, pana Nicolasa Rolina...

– ...który ongiś zaliczał się do mych najlepszych przyjaciół i z pewnością by mi go nie odmówił. Lecz, drogi Jakubie, nie mam ani czasu, ani ochoty jechać poń aż do Flandrii. A oprócz tego ty jesteś również moim przyjacielem i znasz mnie od dawna, więc wiesz, że nie mogłabym ci zaszkodzić. W imię naszej starej przyjaźni, zaprowadź mnie do króla, błagam cię! Muszę się z nim osobiście spotkać i zobaczyć na własne oczy, czy jeszcze żyje!

– Jak to, czy jeszcze żyje? – zaperzył się Roussay. – Ależ oczywiście, że żyje! Za kogo ty mnie bierzesz, Katarzyno?

– Nie gniewaj się, przyjacielu! Źle się wyraziłam. Wierzę, że żyje... ale kto zapewni, co stanie się jutro lub jeszcze dziś wieczorem?...

– A dlaczego miałyby nie żyć, do diaska? Sam widziałem go dziś rano, i to w doskonałej kondycji. Na Boga, Katarzyno, co ci przychodzi do głowy? Już mówiłem, że jest dobrze strzeżony...

– Otóż właśnie w to śmiem wątpić. Czy możesz się uspokoić, usiąść tu przy mnie i posłuchać nie przerywając historii, którą chcę ci opowiedzieć? Nie będzie długa.

– Niech i tak będzie! Słucham cię – odparł kapitan i osunął się ciężko na poduszki zaścielające ławę.

Katarzyna nakreśliła pobieżnie ostatnie wypadki w Châteaouvillain, zauważając z zadowoleniem, że w miarę opowiadania de Roussay coraz bardziej natężał uwagę. Kiedy skończyła, roztargnienie i oburzenie kapitana minęły bez śladu, zamieniając się w skupienie i przejęcie.

– Czy podejrzewasz truciznę? – zapytał z niepokojem.

– Oczywiście! To pierwsza myśl, która mi się nasunęła, jako że Jaquot de la Mer ma kuchynia w kuchniach pałacowych.

– Ale to zbyt ryzykowne. A zresztą nie wszyscy kuchcikowie mają dostęp do przygotowywanych dań.

– To z pewnością łatwiejsze, niż ci się zdaje. Czy każesz kosztować dań podawanych królowi?

– N... ie... Nie wydawało mi się to konieczne. Są tu sami wierni słudzy księcia... przynajmniej tak zawsze sądziłem... Poza tym wszystkie przyrządzone dania są bardzo proste... bardzo!

– Nawet gdyby dostawał suchy chleb i wodę, łatwo mu zaszkodzić. A zresztą... oprócz trucizny są i inne sposoby. Ty, Jakubie, pewnie nie znasz Paniczyka?

– Tylko ze słyszenia i to mi zupełnie wystarczy.

– Wystaw sobie, że rzeczywistość przekracza opinię o nim: to wcielony diabeł. Chciałabym wiedzieć, co też by się stało z kapitanem Jakubem de Roussayem, gdyby przedwczesna śmierć zabrała jego cennego więźnia? Jak sądzisz, co zrobiłby książę Filip?

Roussay poczerwieniał na samą myśl.

– Zostałoby mi tylko jedno: polecieć swą duszę Bogu i przebić się szpadą, by uniknąć hańby publicznej egzekucji.

– W takim razie zrób co trzeba, by uniknąć takiego losu. Ja cię uprzedzałam. To chyba dostateczny dowód przyjaźni z mojej strony... a czy ty w zamian mógłbyś dać mi dowód swojej?

– Na przykład pozwolić ci na widzenie się z więźniem? – odparł Jakub tracąc rezon.

– Zawsze byłeś aniołem, mój przyjacielu! – rzuciła Katarzyna przymilnie.

Na takie dictum kapitan nagle zerwał się z ławy, chwycił ją w ramiona i zanim mogła uczynić choćby jeden ruch, wycisnął na jej ustach gwałtowny pocałunek.

– To raczej ty, pani, jesteś aniołem... no chyba, żebyś była diabłem! Tak czy inaczej uwielbiam cię!

Katarzyna powstrzymała grymas obrzydzenia. Kontakt z Jakubem nie był miły z powodu jego oddechu zalatującego winem, lecz nie odepchnęła go.

– Nawet jeśli jestem diabłem?

– Zwłaszcza jeśli nim jesteś, bo wtedy piekło wyda mi się bardziej pociągające od nieba. Dla ciebie poszedłbym jeszcze dalej i głębiej. Zresztą sama o tym wiesz od wielu lat, czyż nie? Nigdy niczego nie zazdrościłem księciu, ani jego ziem, ani skarbów, lecz ciebie, tylko ciebie! Szaleńczo i beznadziejnie... przez jedną noc miłości...

Katarzyna zdecydowanie wydobyla się z ramion kapitana, które coraz mocniej zamykały się nad nią.

– Jakubie! Sądzę, że za daleko odszedłeś od naszego tematu! Od dawna nie masz czego zazdrościć księciu, a ja zamierzam pozostać wierną żoną. Wróćmy więc do naszego więźnia.

Westchnienie Jakuba pełne zawodu mogłoby obalić mury.

– To prawda. Czy chcesz pani, bym poszedł się upewnić, czy jeszcze żyje?

– Nie. Wolałabym sama się o tym przekonać, – To niemożliwe... a przynajmniej nie o tej porze i nie w tym stroju... Czy masz możliwość zdobycia męskiego ubrania... i konia?

– Mam konia, a ubranie zdobędę bez kłopotu.

– Doskonale! A więc idź do siebie i wróć tutaj zaraz po zgaszeniu świateł, tak jakbyś dopiero co przeszła przez bramę przed zamknięciem. Powiedz strażnikom, że nazywasz się Alain de Maillet, jesteś moim kuzynem, że musisz pilnie ze mną mówić. Ja będę u króla, gdyż... czasem ucinam z nim partyjkę szachów, by go rozerwać – dodał zawstydzony. – Każę cię przyprowadzić do siebie.

Szczera, młodzieńcza radość kazała Katarzynie rzucić się na szyję Jakubowi i ucałować go z całych sił w oba policzki.

– Jesteś najwspanialszym człowiekiem na świecie, Jakubie! Nie obawiaj się! Odegram swą rolę nie wzbudzając najmniejszych podejrzeń.

– Nie wątpię w to... nie wątpię... Ach! Byłbym zapomniak! ten strój... czy mógłby być... elegancki? Nasz ród nie wypadł sroce spod ogona!

Katarzyna wybuchnęła śmiechem i stanąwszy przed zwierciadłem poprawiła fałdy sukni oraz nieco poturbowany od tych wszystkich całunków czepek. Spozrzegła wlepiony w swą szyję i ramiona płonący wzrok kapitana.

- Jak ty to robisz, że jesteś ciągle taka piękna? – wyszeptał z zachwytem.
- Kiedy stąd wyjdiesz, zabierzesz ze sobą całe światło.
- Ależ, Jakubie! Jesteśmy zbyt starymi przyjaciółmi na faszzerowanie się madrygałami. A do tego, skoroś taki szczęśliwy, że mnie widzisz, dlaczego nie było cię u pani Simony, jak obiecałeś? Czyżbyś był zajęty?
- Zaległa cisza, jakby to proste pytanie krępowало kapitana. Wreszcie zebrał się w sobie, rzucił gwałtownie:
- Tak... nie! Byłem zażenowany! Wściekły na siebie i moich ludzi!
- A dlaczegoż to, na Boga?
- Dlatego... że... Ach, muszę ci to w końcu wyznać: tego draba Filiberta wrzuciliśmy do lochu... lecz jego kobieta, Amandyna... czmychnęła na mieście. Nie udało się nam jej odszukać... i obawiałem się, że cię to rozgniewa.
- Katarzyna zmarszczyła brwi. Wiadomość ta nie sprawiła jej przyjemności. Niemiło było się dowiedzieć, że ta, która skazała dobrego wuja Mateusza na powolną i straszliwą śmierć, przebywa bezkarnie na wolności. Za bardzo jednak potrzebowała Jakuba, by okazywać mu swe niezadowolenie. Starając się więc zapomnieć, że ucieczka Amandyny dodawała jej jednego wroga więcej w mieście, wzruszyła ramionami z wymuszoną obojętnością.
- Macie brata, a to już coś. To pozwoli wam odnaleźć siostrę. Zresztą nie jest już groźna dla mego wuja. Jeśli nie wyleczył się z uczucia po tym, co mu zgotowała, to należy wątpić w mądrość mężczyzn.
- Żaden mężczyzna nie jest rozsądny, gdy chodzi o kobietę, której pożąda
- odparł Jakub tonem tak ponurym, że Katarzyna, w obawie, by znowu nie zebrało mu się na amory, udała, że nie słyszy, i skierowała się do schodów, a za nią podążył nie przestający wzdychać kapitan.

Rozdział czwarty

...I KRÓLEWSKIE ŁZY

Wieża nie była zbyt wysoka, jednak schody wydawały się nie mieć końca. Łuczywo niesione przez człowieka idącego przodem źle się paliło i wydzielało więcej dymu niż światła. Toteż młoda kobieta musiała pilnie uważać, by nie potknąć się na krzywych stopniach, kiedy w skąpym blasku ukazywał się kolejny zakręt.

Zapadła spokojna, jesienna noc, zimna i wilgotna, i to się czuło w wieży. Toteż Katarzyna błogosławiła swoje ciepłe odzienie i gruby płaszcz do jazdy konnej.

Zdobycie tego ubrania nie było rzeczą trudną; udawszy się wraz z Bérengerem do krawca kazała ubrać go w sposób odpowiedni, a ponieważ paż bardzo wyrósł, zakupione rzeczy wysmienicie pasowały na nią; opończa i getry w zielonym kolorze straży książęcej, do tego czarny płaszcz i zielony kapelusz. W takim przebraniu bez trudu wzięto ją za młodego Alaina de Mailleta, kuzyna burgońskiego kapitana.

Poza odgłosem kroków kobiety i jej przewodnika w wieży panowała grobowa cisza, potęgująca niepokój Katarzyny o Waltera, który do tej pory nie wrócił do pałacu Morelów. Zbyt dobrze знаła podziemia Dijon, by nie wiedzieć, że w środku dnia mógł w nich równie łatwo zginąć człowiek nie zostawiwszy najmniejszych śladów, jak na paryskich Dziedzińcach Cudów...

Przewodnik zatrzymał się wreszcie przed olbrzymimi drzwiami zamkniętymi na potężne żelazne sztaby i olbrzymie zamki, przy których siedząc na stołkach czuwali żołnierze oparłszy swe błyszczące lance o mury. Rzucił jakieś słowo przez zakratowanego judasza w drzwiach, po czym prawie natychmiast drzwi się otworzyły, ukazując dość obszerną komnatę o oknach zabezpieczonych tak grubymi kratami, że z ledwością przepuszczały światło.

Umeblowanie w niej było skromne: proste łóżko pokryte szarą serżą, szeroki stół, dwie ławy i kufer bez ozdób. Żadnych dywanów czy tapet. Jedyłą ozdobą był wąski, podobny do lejka kominek, na którym płonęło kilka polan, a jedynym zbytkiem szachownica leżąca na stole pomiędzy dwoma postaciami siedzącymi na ławach. Przed kominkiem spał pies z długą sierścią zwinięty w kłębek.

Silny głos de Roussaya powitał Katarzynę.

– Co za niespodzianka, kuzynie! Kiedym się dowiedział o twoim przyjeździe, nie chciałem wprost uwierzyć własnym uszom! Przebyłeś taki szmat drogi z twojego Poitou!

Jednocześnie kapitan zerwał się z ławy i walił przybyłego po plecach, że ten aż się zakrztusił.

– Przybywam w ważnych sprawach rodzinnych, drogi kuzynie – i mam bardzo mało czasu – odparła Katarzyna zniżając głos i nie mogąc oderwać oczu od osoby pochylonej nad stołem i całkowicie pochłoniętej uczonymi kombinacjami gry w szachy.

Wiedziała, że król ma dwadzieścia siedem lat, lecz w rzeczywistości nie

wyglądał na nie, choć był silnej budowy, a nawet nieco przysadzisty. Może powodował to kolor jego jasnych jak u dziecka włosów, może świeża cera, może porcelanowy błękit lekko wypukłych oczu.

Poza naturalną elegancją w jego wyglądzie nie było nic, co zdradzałoby królewskie pochodzenie: ubiór jego był zaniedbany, a broda długa. René Andegaweński nie zwrócił najmniejszej uwagi na gościa, bez wątpienia urażony w swej godności królewskiej tupetem jakiegoś tam Jakuba de Roussaya ośmielającego się przyjmować własną rodzinę w jego celi.

Aby przyciągnąć jego uwagę, Katarzyna dodała z naciskiem:

– Proszę usilnie o wybaczenie za moje nalegania, by cię zobaczyć, gdyż obawiam się, że jestem tu intruzem. Lecz, drogi kuzynie... czy nie mogłeś przyjąć mnie gdzie indziej?

– Właśnie rozpoczęliśmy z jego królewską mością partię, którą nieprzyjemnie byłoby przerywać. Zresztą chyba nie wątpisz, drogi Alainie, że poprosiłem króla o pozwolenie. Sire – dodał zwracając się bezpośrednio do więźnia – czy Jego Wysokość pozwoli, że przedstawię mu mego młodego kuzyna, Alaina de Mailleta, który przybywa prosto ze swej prowincji, jak już miałem zaszczyt poinformować?

René Andegaweński uniósł znad szachownicy zimne i obojętne spojrzenie.

– Nie przejmujcie się mną, panowie... zapomnijcie o mej obecności. Ja tu zastanowię się nad naszą partyjką, a wy rozmawiajcie spokojnie siedząc na kufrze na przykład. Dzięki temu – dodał z królewską wyższością – nie będziemy sobie nawzajem przeszkadzać!

– Jego Wysokość jest zbyt łaskawy. Hola, żołnierzu, idź no zobacz, dlaczego nie niosą jeszcze wina, które kazałem przysłać!

Zagadnięty żołnierz wyszedł, a Katarzyna, która nie została zaszczycona choćby jednym spojrzeniem więźnia, ruszyła wraz z Roussayem do wspomnianego kufra. Drzwi zamknęły się z okropnym szczękiem sztab i zamków.

Dla większej pewności Jakub de Roussay podszedł do judasza, po czym odwrócił się i uśmiechnął do Katarzyny, która wyczekiwała na tę chwilę z niecierpliwością...

Wtenczas jednym zrywem runęła do kolan więźnia, zrywając rękawicę z lewej dłoni, by uwolnić grawerowany szmaragd.

– Sire! Racz poświęcić mi chwilę rozmowy, gdyż przysłała mnie tu szacowna matka Waszej Wysokości!

René Andegaweński podskoczył. Ogarnął przerażonym spojrzeniem szczupłą zieloną sylwetkę nowo przybyłego i utkwivszy wzrok w kapitanie spytał:

– Co to znaczy? Kapitan uśmiechnął się.

– To, że nie ośmieliłbym się wprowadzać do Waszej Wysokości mego kuzyna, choć to dzielny szlachcic... i że oto masz u swych stóp posłańca od twojej pani matki, królowej Yolandy!

– Mojej matki?

– Tak, sire! – podjęła Katarzyna gorąco – od królowej, która zaszczyliła mnie swym zaufaniem, dając mi ten pierścień, na którym widać jej herb... a oto posłanie!

W jej dłoniach ukazał się list, który René chwycił chciwie, rzucił wzrokiem na pieczęć, zerwał ją i rozłożył kartkę, zbliżając ją do świecy.

Jego ręce drżały. Była to bowiem pierwsza wiadomość, jaką po wielu miesiącach dostał od matki, i jego wzruszenie było namacalne. Kiedy skończył czytać i złożył czuły pocałunek na podpisie, zwinął list i zatknął go za żupan. Potem zwrócił się do klęczącej Katarzyny i spoglądał na nią bez słowa, lecz z natarczywością, która stała się dla niej równie nieprzyjemna, jak i jej niewygodna pozycja.

– Sire – zaczęła nie zważając na etykietę, lecz to słowo wywołało magiczny efekt. René otrząsnął się jakby z długiego snu i poczerwieniał.

– Pani! Przebacz mi! – krzyknął do niej chwytając ją za ręce, by ją podnieść z podłogi. – Zachowałem się jak prostak – dodał z uśmiechem. – Pozwalam, by tak piękna dama klęczała u mych stóp!

– Czy wiesz, panie, kim jestem?

Król roześmiał się radośnie i cała ponura atmosfera wieży zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Moja matka anonsuje panią w liście, pani de Montsalvy... i opisuje dość dobrze, sądząc po tym, co mogę zgadywać pod twym przebraniem. Czy uczynisz mi łaskę i zdejmiesz płaszcz i kapelusz, bym lepiej mógł się tobie przyjrzeć. Tak dawno oczy moje nie napawały się widokiem pięknej kobiety, a matka powiada, że piękniejszej od ciebie nie zna...

– Sire – wtrącił z niepokojem de Roussay – niech Wasza Wysokość nie zapomina, że zaraz przyniosą wino i że pani Katarzyna musi pozostać w oczach wszystkich tą osobą, za którą się podaje: moim młodym kuzynem. Jeśli rozpuści włosy, oszustwo zaraz się wyda!

– A więc zaczekajmy na wino, ale potem... potem, och! błagam, niech moje oczy ujrzą prawdziwą twarz kobiety, prawdziwe włosy kobiety... Nie ma nic piękniejszego niż kobiece włosy!... Ale, ale, panie de Roussay, zastanawia mnie jedno: dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, by wprowadzić do mnie wysłanniczkę mojej matki, ty, który masz za zadanie pilnować więźnia, ty, który do tej pory spełniałeś swoje zadanie z niezwykłym poświęceniem... zasługującym na najwyższe pochwały twego pana?

Czując kpinę brzmiącą w słowach więźnia i ukryty w niej zarzut, kapitan nastroszył się jak kogut.

– Pani de Montsalvy to wierna i droga przyjaciółka, której nie śmiałbym odmówić niczego. Ponadto dobrze ją znam i wiem, że jest niezdolna mi zaszkodzić lub przyczynić się do zaniedbania przeze mnie obowiązków. Poza tym mogła poprosić o pozwolenie samego księcia Filipa, a on zgodziłby się bez zmużenia oka!

– A więc – zwrócił się król do Katarzyny z uśmiechem – to wielka pochwała i jak się zdaje, całkowicie zasłużona; wypijmy zatem za tę... tego, który jest jej autorem, bo oto i twoje wino, panie!

W istocie, strażnicy na nowo otworzyli drzwi, by wpuścić służącego niosącego z isticie nabożną ostrożnością cynową tacę zastawioną kubkami i omszałą, odkorkowaną butelkę.

– Za każdym razem kiedy król zgadza się zagrać ze mną partyjkę, czyni mi zaszczyt, próbując mego wina! – powiedział de Roussay z dumą.

– Kapitan zna się na winach, a to jest godne królewskiego podniebienia! –

potwierdził René.

Służący podszedł do stołu i postawił nań swój ciężar. Wzrok Katarzyny padłszy na jego twarz oświetloną blaskiem świec, zatrzymał się z dziwnym wrażeniem *deja vu*, jakie wywołują niektóre rzeczy i ludzie.

Podczas gdy człowiek nalewał ostrożnie gęstego burgunda, starała się przypomnieć na próżno, z jakim wspomnieniem związana jest ta prosta i bezbarwna twarz. Była pewna, że nie jest to wspomnienie przyjemne.

Gdy drzwi za służącym się zamknęły, Jakub podszedł do stołu, wziął jeden z kubków i czyniąc ukłon, podał go królowi, który go przyjął, lecz nie wypił od razu. Ogrzewał napój w zagłębieniu dłoni, obserwując odbłask świec w ciemnym wnętrzu naczynia i wdychając wydzielający się zapach słonecznego napoju.

– Bukiet jest isticie niebiański, lecz barwa pochodzi chyba z piekieł; to kolor krwi, jaką kiedyś widziałem spływającą po posadzce kościoła...

Obraz przywołany przez króla obudził w umyśle Katarzyny lawinę wspomnień. Zobaczyła nagle mały kościółek w leśnej osadzie w pobliżu Châteauvillain wydany na pastwę rzeźników Paniczyka, którymi dowodził kapitan Błyskawica, alias Arnold de Montsalvy. Ujrzała biedne nagie dziewczęta zmuszone do tańczenia pod ostrzami szpad, łupy zgromadzone na ołtarzu i jeszcze... tamtego człowieka siedzącego na ławie i liczącego zdobycze. Człowieka... tego samego, który przed chwilą, odziany w liberię książąt Burgundii, nalewał wina do królewskiego pucharu...

Spojrzała z przerażeniem na krwawy napój w swej dłoni, którego ani ona, ani de Roussay jeszcze nie skosztowali, czekając, aż król uczyni to pierwszy. Jej wzrok padł na króla, który zamknąwszy powieki, podniósł puchar do ust, by skosztować trunku...

I wtedy z krzykiem rzuciła się na niego, wytrącając mu z dłoni puchar, który potoczył się po posadzce opryskując królewskie szaty.

– Ten człowiek... który wyszedł!... Zatrzymajcie go! I przyprowadźcie tutaj!

– Czyżbyś, pani, oszalała? – spytał król patrząc z osłupieniem na czerwoną strugę spływającą w stronę kominka, przy którym poruszył się pies obudzony brzękiem cyny toczącej się po posadzce.

– Przebacz mi, sire!... ale to wino... jestem pewna, że kryje jakieś niebezpieczeństwo!

– Niebezpieczeństwo? Jakie poza upojeniem?

– Pani de Montsalvy widzi wszędzie truciznę i trucicieli! – wyjaśnił de Roussay przeproszającym tonem, który rozzłościł Katarzynę.

– Na co czekasz, panie? Dlaczego nie każesz schwytać tego człowieka? To jeden z ludzi Paniczyka! Jestem tego pewna! Rozpoznałam go! – To powiedziawszy chwyciła puchar stojący na tacy i wręczyła go kapitanowi: – Jeśli mi nie wierzysz, przyjacielu, to sam spróbuj tego wina! W końcu to twoje wino!

Jakub wziął wino, powąchał... i odstawił puchar, po czym bez słowa wyszedł z komnaty, wzywając strażników. Katarzyna została sam na sam z królem.

René wytarł spocone czoło i dłonie, nie patrząc na młodą kobietę, o której jakby całkiem zapomniał. Zmarszczył czoło i zdawało się, że nad czymś się

zastanawia.

– Rzekłś Paniczyk? – spytał po chwili. – Chyba nie ten z Commercy?

– Właśnie ten! Robert de Sarrebruck dla ścisłości.

– To niemożliwe! Jest uwięziony w Bar, w moich włościach za nieustanne rewolty i za zło wyrządzane moim Lotaryńczykom!

– Jeśli nawet był uwięziony, to już nie jest! Uwierz mi, sire, gdyż sama niedawno miałam z nim do czynienia w okolicznościach, które niełatwo przyjdzie mi zapomnieć. Uciekł więc albo został wypuszczony!

– To niemożliwe! Moja małżonka, królowa Izabela, nie zrobiłaby czegoś takiego. Poza tym trzymaliśmy także jego syna jako zakładnika...

– Dałabym głowę za to, że uciekł nie troszcząc się o los syna. Liczył cynicznie, że dzięki znanej dobroci Waszej Wysokości syn nie ucierpi z powodu jego ucieczki. Jeszcze niedawno oblegał Châteauvillain, skąd przybywam, a zachowywał się tam zgodnie ze swoją prawdziwą naturą: jak oczajdusza, rozbójnik, rzeźnik i bandyta! Poza tyra mam powody sądzić, że przebywa w... Dijon i spiskuje przeciwko swemu panu, licząc na śmierć króla, dzięki której chce uwolnić syna. A co do mnie...

Nagle jej słowa przerwało potworne charczenie. René i Katarzyna jednocześnie spojrzeli w stronę kominka; w kałuży wina dogorywał pies, tocząc pianę i przewracając oczami. Król z okrzykiem bólu rzucił się ku zwierzęciu.

– Ravaud... Piesku!... Co ci się stało...

– Musiał wychłęptać trochę tego przeklętego wina, sire – wyszeptała Katarzyna. – Obawiam się, że jednak miałam rację...

– Mleka! Niech ktoś przyniesie mleka! Pani, każ, by przyniesiono mi mleka natychmiast!

– To zbyt ciężkie, panie! Zobacz sam... to już koniec...

Istotnie, po ostatnim skurczu i ostatnim charczeniu ciało psa zesztyniało w ramionach swego pana. Nie żył.

Katarzyna zadrżała, a po jej plecach popłynął niemiły strumień zimnego potu. Gdyby Opatrzność nie pozwoliła jej rozpoznać przebranego służącego, w tej chwili trzy trupy leżałyby na posadzce królewskiego więzienia: ona i jej dwóch towarzyszy... Paniczykowi i jego sługusom najwyraźniej się spieszyło, gdyż trucizna miała oszałamiająco szybkie działanie. A i sam plan był diabelski, gdyż wszystkie podejrzenia o zabicie króla pilnowanego przez Jakuba de Roussaya padłyby na księcia Burgundii. To mogło stać się powodem zażartej wojny między Francją i Burgundią, wojny, której nic nie położyłoby końca...

Katarzyna spojrzała na króla, który klęczał nadal na posadzce trzymając psa w ramionach i ukrywający nos w sierści na szyi zwierzęcia łkał rozdierająco jak małe dziecko. Chciała go pocieszyć, pomóc mu, lecz nie ośmieliła się nawet położyć ręki na jego ramionach.

Jakub po powrocie jednym spojrzeniem ogarnął scenę, ujrzał zgiętego nad zdechłym psem króla i milczącą Katarzynę przy kominku. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, zauważyła, że jej przyjaciel poblądł gwałtownie. Było oczywiste, że Jakub w tej sekundzie wyobraził sobie, co mogło się zdarzyć.

– A więc, miałaś, pani, rację – wybełkotał.

– Czy schwytałicie tego człowieka? Jakub pokręcił głową z gniewem.

– Chyba rozpląnął się w powietrzu jak zjawa, bo nikt nie widział, żeby

wrócił do kuchni.

– Może wymknął się drzwiami od podwórca. Czy ludzie wiedzieli, kim jest?

– Nie. Kuchmistrz powiedział mi, że był tu dopiero od trzech dni, zastępował pewnego kuchcika, niejakiego Verjusa, który zranił się zarzynając gąskę...

– A ten cały Verjus jest oczywiście kuzynem Jacquota de la Mera, oberżysty, oczajduszy i donosiciela!

– Myślę, że... tak!

– A więc, przyjacielu, sądzę, że wiesz, co masz czynić? Masz przeszukać oberżę tego zatwardziałego zbira żyjącego na bakier z prawem od lat!

– Ale który oddaje mu często cenne przysługi... Nie, Katarzyno, posłałem tam już mojego sierżanta i dziesięciu łuczników wraz z jednym z kuchcików, żeby przeszukali dom i przyprowadzili do mnie podejrzanych. Lecz wątpię, by coś znaleźli...

– Ja także... Jacquot jest za sprytny. Kuzyn musiał celowo się poranić, a skoro nie można obarczyć go odpowiedzialnością za swego zastępcę, ci bandyci będą utrzymywać z całą siłą, że jest niewinny. Co do przeszukiwania oberży Jacquota, to tylko można tam zastać pijaków, graczy i sprzedajne dziewczki, ci zaś, których ukrywa, nigdy nie nawiedzają sali kabaretu!

Katarzyna nie dokończyła swej myśli, gdyż zbyt była przybita. Wydawało się jej, że cała energia de Roussaya zniknęła za sprawą bezczynnego trybu życia. Tamten dawny Jakub, którego знаła kiedyś, sam pognałby przewrócić tawernę do góry nogami, wróciłby stamtąd z dwoma czy trzema podejrzаныmi, należycie spętаныmi, których rzuciłby bez pardonu w objęcia kata, aby wyciągnąć z nich zeznania. Wydawało się, że obecnie jego dewizą stało się: „Zwłaszcza żadnych afer!...” A jednak gdyby coś się przytrafiło cennemu więźniowi, de Roussay bez wątpienia zapłaciłby głową. Lecz może on wcale nie miał ochoty żyć, skoro tak bardzo się nudził?...

Nie chcąc dłużej drażnić tej kwestii, uklękła przy René, który tkwił w bezruchu nad swym nieżyjącym psem. Gdyby nie szloch, można by sądzić, że jego życie także się zatrzymało.

– Sire... przestań płakać. Czynisz sobie krzywdę.

Uniósł zalaną łzami twarz i spojrzał pełnym boleści wzrokiem, wypełniając serce Katarzyny współczuciem.

– Pani, nie wiesz, ile dla mnie znaczył. To był mój przyjaciel, mój wierny towarzysz... To ja go wychowałem. Nie opuszczał mnie nigdy, a kiedy zostałem wzięty do niewoli w bitwie pod Bulgnéville, pozwolono mi go zachować, ponieważ... ponieważ... och! myślę, że pomagał mi żyć. Co się teraz ze mną stanie, kiedy go straciłem?

– Już wkrótce będziesz wolny, panie! Wiem, że we Francji wszyscy czynią wysiłki, by doprowadzić do twego uwolnienia.

– O tym właśnie pisze moja matka; starają się zebrać jak najwięcej złota i zmusić Filipa, żeby obniżył wysokość okupu... pisze też, że za żadną cenę, nawet za cenę życia, nie powinienem oddać mego księstwa Bar.

– A czy miałeś, panie, taki zamiar?

– Nie... nie, skądże znowu! Jednak przysięgam, że w tej chwili oddałbym wszystkie księstwa świata, by wskrzesić mego biednego Ravauda...

– Sire – przerwał Jakub – teraz muszę go zabrać, żeby go pogrzebać. René jednak, zamiast posłuchać kapitana, jeszcze mocniej objął swego psa.

– Nie, nie zabieraj mi go jeszcze! – prosił, a łzy na nowo trysnęły z jego oczu. Zostaw mi go jeszcze choć trochę...

– Im dłużej będzie trwało pożegnanie, tym więcej będziesz cierpieć, panie...

Przybita Katarzyna, czując się winna śmierci psa, gdyby bowiem nie cisnęła pucharem wina o posadzkę, Ravaud nie napiłby się go, zerwawszy z głowy kapelusz i kolczugę, uwolniła włosy z uwięzi, a ich ciężka masa opadła na ramiona złotym deszczem, przywracając jej kobiecy urok.

– Wasza Wysokość – wyszeptła – to prawda, że straciłeś przyjaciela, lecz zyskałeś nie tylko wierną poddaną, lecz i wierną przyjaciółkę... która wiele by dała, by złagodzić twój ból!

Król podniósł wzrok i jego oczy zogromniały na widok nadszpodziewanej urody gościa promieniującej w celi, jakby nagle runęły mury więzienia wpuszczając jasne słońce do ponurego wnętrza.

– Jakaś ty piękna!... – wyszeptał żarliwie, na co Jakub z najwyższym niezadowoleniem zmarszczył brwi, lecz nie śmiał się odezwać.

Król delikatnie złożył na posadzce sztywne ciało psa, ujął dłonie Katarzyny, by pomóc jej wstać, i nie wypuścił ich, kiedy już podniosła się z kolan. Przeciwnie, ścisnął je mocniej i przez długą chwilę kontemplował zjawisko z rosnącym zachwytem. Chybotliwe światło świec ożywiło złote runo, które przez wiele lat pobudzało zmysły i pamięć wielkiego księcia Burgundii i doprowadziło do utworzenia słynnego zakonu rycerskiego.

Korzystając z królewskiej ekstazy, Katarzyna spojrzała wymownie na Jakuba, potem na psa. Kapitan, pojawiwszy w lot, o co jej chodzi, wziął psa na ręce i z nasrożoną miną wyszedł z komnaty, rzucając w drzwiach podejrzliwe spojrzenie na parę. Obawiał się, że gdy ekstaza minie, król niechybnie rzuci się na Katarzynę...

W istocie, i ona obawiała się tego samego... René stał jak zamurowany, lecz jego wzrok przybrał taki wyraz, jaki widziała u niejednego mężczyzny. Wypuścił jej dłonie i zanurzył palce w żywy jedwab włosów z chciwością skapca, który odnalazł zrabowany skarb. Lecz kiedy jego ręce opadły na jej ramiona i uwięziły je w żelaznym uścisku, Katarzyna zaczęła się wrywać.

– Sire... Powiedziałam: przyjaciółką... Król uśmiechnął się zawiedziony.

– Przyjaciółki bywają różne! Czy nie zechciałabyś być moją małą, słodką przyjaciółką? Jesteś taka piękna, a moje serce jest takie osamotnione, takie spragnione!

– Czyż twoje serce może być osamotnione, skoro tyle miłości czuwa nad tobą z oddali; masz żonę, o której się powiada, że jest piękna i dobra, miłościwą matkę, masz siostrę, królową Francji, która jest ci wielce oddana, i te wszystkie kobiety i dziewczęta w twoich włościach, których twarzy nawet nie znasz, a które codziennie proszą Boga, żeby cię zwrócił ich uczuciu. Wszyscy wiedzą, że jesteś dobry, litościwy, rycerski i mało jest ludzi na świecie tak kochanych jak ty. Czyż więc twoje serce może czuć się osamotnione?

– Powiedzmy raczej, że jest puste i chciałoby wypełnić się tobą. A moje ciało zżera głód. Czy dasz mi w jałmużnie odrobinę twej miłości? Kiedy jest się tak piękną, można pozwolić sobie na wielkoduszność...

Zbliżał się zmuszając ją do cofania się pod mur, skąd nie było już ucieczki przed jego chciwymi rękami.

– Gdybym nie była mężatką, sire, sądzę... że okazałabym wielkoduszność, lecz mam dzieci i męża, którego kocham!

– Lecz czy nigdy go nie zdradziłaś? Przecież twoja uroda musiała niejednemu zawrócić w głowie!

Król przycisnął ją do siebie, opierając dłonie na murze. Czują jego twarde mięśnie, a na policzku gorący oddech i usta gorączkowo szukające jej ust.

– Sire! Błagam!... Kapitan zaraz powróci...

– Nie szkodzi! Pragnę cię! Jeden z nas będzie musiał zginąć, jeśli kapitan zechce cię ode mnie oderwać!

Katarzyna nie mogła mu się wyrwać ani krzyknąć, bo to sprowadziłoby strażę. Z siłą niezwykłą jak na mężczyznę średniej budowy opasał ją ramieniem, by jeszcze mocniej doń przywrzeć, i wpił się w jej usta zachłannie, jakby wracał z pustyni, a ona była konwią ożywczej, zimnej wody. I nagle, pod wpływem dotyku jego męskich ust, poczuła, że jej opór słabnie. Jej ciało, pozbawione od dawna miłości, uczyniło jej znowu psikusa, podobnego jak ongiś w ramionach Piotra de Bréze, potem w ogrodach Grenady czy w domu Jakuba Serce. Przypomniała sobie, jaki skutek wywołuje w jej ciele gorący pocałunek i kiedy jedna dłoń króla uwięziła jedną z jej piersi, zadrżała od stóp do głów. Nie miała ochoty dłużej go odpychać, lecz całą siłą swej młodości zapragnęła być kochaną.

Kiedy ręka króla ześlizgnęła się do brzucha kobiety, król wydał okrzyk złości.

– Do diabła z tym idiotycznym przebraniem! Zdejmuj to!

Za sprawą brutalnego rozkazu oczarowanie prysło w jednej chwili jak bańka mydlana, sprowadzając Katarzynę na ziemię. Król rozluźnił uścisk. Korzystając z okazji, wysliznęła mu się zwinnie i stanęła przy kominku, oddychając ciężko, by uspokoić gwałtowne bicie serca.

– To niemożliwe, sire! Pan de Roussay zaraz wróci; co powie, jak zastanie mnie nagą?

Jakby na potwierdzenie jej słów zachrobotyły zamki u drzwi, które otworzyły się z łoskotem i do środka wpadł Jakub de Roussay. Jeden rzut oka na zmieszaną i ciężko dyszącą Katarzynę oraz na czerwonego króla wystarczył mu w zupełności.

– Ach! – powiedział.

Ta jedna sylaba zdradzająca jego skryte pożądanie wzbudziła gniew króla.

– Wyjdź! – krzyknął... – Wyjdź stąd! Chcę zostać sam z tą kobietą!

– Wasza Wysokość jest w błędzie! Nie widzę tu żadnej kobiety, a jedynie mego kuzyna, Alaina de Mailleta! – odparł Jakub zimno. – Chodź ze mną kuzynie; już czas, by król udał się na spoczynek!

Zwinnie jak kot René rzucił się na kapitana i wyrwawszy mu zatknięty u pasa sztylet przyparł go do okna.

– Powiedziałem: wyjść! – ryknął. – Sam! Jeśli natychmiast nie wyjdiesz, zabiję się! – oznajmił z determinacją.

W obawie, iż naprawdę targnie się na swe życie, Katarzyna rozkazała;

– Zrób, co ci każe, Jakubie! Zostaw nas samych!

– Oszalałaś, Katarzyno? Chcesz przez to powiedzieć, że ustąpisz?...

– Co zrobię, to tylko moja sprawa, przyjacielu. Zostaw nas na chwilę, lecz nie odchodź daleko. Zresztą strażnicy zdziwiliby się.

Jakub zeszywniał z oburzenia, lecz czując się pokonany posłusznie wyszedł z komnaty. Kiedy drzwi się zamknęły, Katarzyna podeszła do króla i spokojnie odebrała mu broń, nie napotykając najmniejszego oporu. Położyła ją na stole, po czym odwróciwszy się w stronę króla, utkwiała weń spojrzeniem swych fiołkowych oczu i zaczęła odpinać żupan, zdjęła go i rzuciła na taboret. Lecz zanim rozchyliła szeroką, białą koszulę zatkniętą w zielonych getrach, skierowała do René uśmiech wyzwania i pogardy.

– Czy mam kontynuować, sire?... – spytała zimno. – Rozkazałeś, jak mi się zdaje, bym się rozebrała... zupełnie jakbym była swawolną dziewczką, którą ci przyprowadzono dla uciechy, a nie posłanniczką twej matki!

René patrząc na nią przekrwionymi oczami, wytarł drżącą ręką spocone czoło, po czym odwrócił się z takim wysiłkiem, jakby ten prosty ruch był ponad jego siły.

– Przebacz mi, pani... Zapomniałem, kim jesteś... To była chwila szaleństwa... Lecz dlaczego jesteś żywą pokusą? Dlaczego moja matka nie przysłała tu najszeptniejszej ze swych dwórek, lecz samą Wenus? Zna mnie przecież! Wie, że nie potrafię się oprzeć ładnej twarzy, zgrabnemu ciału... i że więzienie tylko wzmocniło moje pożądanie!

– Wysłała mnie, bo ma do mnie zaufanie, bo...

Nagle pewna myśl przyszła jej do głowy. Czy wysyłając ją do syna, królowa Yolanda po cichu nie liczyła, że dostarczy więźniowi chwilowego zapomnienia?

Na palcach podeszła do króla. Po policzkach spływały mu łzy. Położyła na jego ramieniu swą delikatną dłoń, na której jak oko czarownicy lśnił szmaragd.

– To ja powinnam prosić cię o przebaczenie, sire! Pańska matka wiedziała doskonale, co czyni. Jeśli taka jest twoja wola, nie będę się opierać...

Poczuła, że król zadrżał. W jednej chwili chwycił ją za ramiona i przyglądał się długo szczupłej sylwetce, krągłym biodrom uwydatnionym przez obcisłe getry, długim i smukłym nogom oraz aureoli złocistych włosów spływających na biel koszuli.

– Jesteś równie dobra co piękna, moja droga... lecz w moich oczach zdobyłaś teraz cenę zbyt wysoką, bym mógł skorzystać z twego przyzwolenia. Nie, nie zaprzeczam, że pewnego dnia poproszę cię o miłość... Od tej pory będę żył oczekiwaniem na tę chwilę, kiedy zgodzisz się do mnie przyjść, lecz z własnej woli, a nie powodowana odruchem litości. Być może troszkę mnie pokochasz...

Delikatnie pocałował ją w czoło, sięgnął po zdjęty żupan i podał go jej, sam zaś oparłszy się o komin, obserwował, jak spina włosy i chowa je pod kapeluszem. Następnie podał jej płaszcz, lecz przed zarzuceniem go na ramiona Katarzyny ujął jej dłoń i złożył pocałunek w jej wnętrzu.

– Oto i mamy znowu młodego pana de Mailleta – westchnął. – Sądzę, że możemy wezwać twego dzielnego kuzyna, Jakuba.

Kapitan musiał stać w pobliżu, gdyż na sam dźwięk swego imienia wyskoczył zza drzwi jak diabeł z pudełka. Wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca. Nieomalże wypchnął Katarzynę z komnaty, zaledwie zostawiwszy chwilę

czasu na pożegnanie z królem, i rzucił ją na schody. Widać było, że spieszo mu odejść jak najdalej z tego miejsca, by postawić pytanie, które cisnęło mu się na usta.

– Co się stało? – spytał za pierwszym zakretem, przytrzymując ją za poję płaszcz.

– Ależ nic, zupełnie nic, przyjacielu...

– Chyba nie... Wzruszyła ramionami.

– W dziesięć minut? Brak ci galanterii, drogi kapitanie! W każdym razie mam nadzieję, że wyleczyłeś się ze swych głupich pomysłów zbyt solidnego strażnika!

– Co masz, pani, na myśli?

– Że powinieneś od czasu do czasu przyprowadzić więźniowi jakąś ładną służącą, dość świeżą... i dość głupią... choćby po to, by posprzątała w tej norze, w której ośmielasz się więzić króla! Życzę ci przyjemnych snów, drogi kuzynie... Ale, byłabym zapomniała: czy mogę dać ci jeszcze dwie rady?

– Dlaczego nie, słucham.

– Po pierwsze, postaraj się znaleźć małe szczenię podobne do biednego Ravauda... po drugie, każ próbować wszystkiego, co podajesz swemu więźniowi!

– Uważasz, że sam bym o tym nie pomyślał? – rozgniewał się Roussay. – Doprawdy, masz mnie za kretyna... kuzynie!

Katarzyna wybuchnęła śmiechem, wskoczyła na konia, którego przyprowadził jej służący, i spiąwszy go ostrogami, ruszyła galopem opuszczając pałac książąt burgundzkich, by zanurzyć się w plataninę opustoszałych, ciemnych uliczek Dijon.

Po powrocie do pałacu Morelów zastała długo oczekiwanego Waltera. Najwyraźniej śmiertelnie znużony, siedział w towarzystwie Bérengera w kuchni i jadł pieczone kasztany, popijając słodkim winem.

– Dzięki Bogu wróciłeś! – krzyknęła Katarzyna z westchnieniem ulgi. – Gdzie się podziewałeś? Co ci się znowu przytrafiło? Nie znasz Dijon i pomimo to zaraz po przyjeździe...

– Może i nie znam Dijon, lecz... znam człowieka, którego śledziłem: to jeden z ludzi Paniczyka i chodziłem za nim przez cały dzień; muszę przyznać, że nabiegałem się nieźle. Lecz, pani Katarzyno, czy i tobie nie przydarzyła się jakaś przygoda? Sądząc po przebraniu, nie wracasz z balu?

Wzruszywszy ramionami zdjęła rękawiczki i zbliżyła się do kominka, by ogrzać nad płomieniami zmarznięte ręce. Czowała się zmęczona, lecz umysł miała jasny.

– Udało mi się... widzieć z królem... Na szczęście! Bo ja także spotkałam człowieka Paniczyka w wieży Nowej, i to podczas akcji; dziś wieczorem usiłował otruć René Andegaweńskiego!

Walter przestał na chwilę mieszać kasztany na patelni z wywierconymi otworami i uniósł brwi.

– W więzieniu?

– Właśnie! Podając mu zatrute wino. Dodam tylko, że gdybym go w porę nie rozpoznała, zginąłby nie tylko król, lecz ja również i także kapitan de Roussay. Śmierć szybka, chwalebna, ale i ostateczna! Po spełnieniu zadania

człowiek ten zniknął nie czekając na skutek i pomimo wysiłków nie udało się go odnaleźć... Nie wiem, co tak cię rozbawiło, Walterze, w tej historii – dodała widząc szeroki uśmiech na twarzy swego giermka nie przestającego obierać gorące kasztany, których zapach roznosił się po pomieszczeniu.

– Okazuje się, że diabeł często sknoci robotę, gdy w sprawę wmiesza się niebo. Jak wyglądał ten człowiek?

– Twarz jasna, płaska... niczego szczególnego, rudawe włosy. Pierwszy raz widziałam go w kościółku w Montribourgu, w miasteczku zniszczonym przez Rzeźników. Robił spis łupów zdobytych podczas rozboju i zdaje mi się, że nazywano go Rektorem. Może go sobie przypominasz?

– Przypominam doskonale i to właśnie jego śledziłem przez cały dzionek, a pod wieczór czekałem nań przed bocznymi drzwiami z podwórca pałacu i...

– Wiesz, gdzie się udał! – krzyknęła Katarzyna. – Ależ to byłoby zbyt piękne!

– Dlaczego? Usiądź, pani, wygodnie, weź kilka kasztanów i kubek wina, gdyż wyglądasz na wielce zmęczoną, i posłuchaj.

Walter opowiedział, jak po długim oczekiwaniu zobaczył człowieka opuszczającego pałac i w wielkim pośpiechu przemierzającego miasto na północ drogą, którą wydawało się, że zna na pamięć. Dotarłszy do murów, rzucił strażnikowi hasło i został wypuszczony za miasto. Niewiele się namyślając, Walter ruszył za nim i powtórzywszy usłyszane hasło, którym było słowo „Vergy”, również został wypuszczony za mury. Na szczęście noc była jasna i mógł dojrzeć, jak Rektor kieruje kroki w stronę budynków, nad którymi górowała wieża kaplicy wznoszącej się na uboczu w pobliskim zagajniku.

– Zobaczyłem, jak wchodzi do środka, więc wróciłem z powrotem zapamiętawszy drogę. Nie wiem, jak się nazywa to przedmieście, lecz zabudowania wyglądały mi na klasztor, a przy drodze, naprzeciw bramy, zauważyłem wielki, kamienny krzyż.

– Czy na swej drodze napotkałeś strumień? – spytała Katarzyna z ponurą miną.

– Tak, w rzeczy samej... Lecz dlaczego tak nagle pobladłaś?

– To nie klasztor... To Maladiere... inaczey przytułek dla trędowatych. Jeżeli to tam Jacquott de la Mer ukrywa swoich gości, wybrał najlepsze miejsce, gdyż żołnierze nie zechcą tam wejść. A Paniczyk musiał sownie opłacić swych ludzi, żeby zgodzili się na taką kryjówkę...

Katarzynie stanęły jak żywe okropne wspomnienia* [*Patrz „Piękna Katarzyna”]. By je odepchnąć, chwyciła kubek wina, który Walter postawił na obramowaniu kominka, i wychyliła jednym tchem. Wino popłynęło jak płomień, pozwalając odsunąć precz ponure cienie przeszłości. Przesunęła dłonią po czole, które wydało się jej dziwnie zimne, i spojrzała na chłopców: Walter utkwiał wzrok w płomieniach, a Bérenger splótł ramiona wokół swych chudych kolan...

– Przygotujcie się do wyprawy na Rektora! Ruszemy pod osłoną nocy...

– Lepiej zaskoczyć złoczyńcę za dnia; w nocy mógłby się prześlizgnąć, przeskoczyć przez mur, przeczołgać się w trawie i zniknąć nam z oczu. W dzień nikt nam nie umknie. Na dodatek zbrojny zastęp w nocy narobiłby hałasu. A teraz udamy się do twojego przyjaciela, kapitana, omówić...

Katarzyna ze zniechęceniem wzruszyła ramionami.

– To na nic się zda... Najdzielniejsi żołnierze tracą odwagę na samą

wzmiankę o Maladiere. To przeklęte miejsce, siedlisko zła. Żeby tylko wystarczyło je otoczyć, by wykurzyć złoczyńców, lecz tam należałoby wejść do środka...

– Przecież zbiegowie czy ludzie Paniczyka nie boją się wejść do środka, dlaczego więc twój kapitan miałby mniej odwagi niż oni? Może uda mu się przekonać kilku rycerzy. W każdym razie ja idę!

– I ja także – zawtórował nieśmiało Bérenger, próbując pokonać własny strach.

– Doskonale! Jeśli więc mamy zaatakować o świcie, musimy podjąć decyzję teraz. Chodźmy się przekonać, jak wielka jest odwaga twego przyjaciela, pani...

Na szczęście kapitan okazał się odważny i zdecydowany. Zdarzenie w wieży było zbyt poważne, by mógł dać wymknąć się złoczyńcy, czy też pozwolić by któryś z jego ludzi odmówił spełnienia obowiązku. Zresztą kapitan nie zostawił im wyboru.

– Który się wycofa, zostanie powieszony! – poinformował krótko i wężłowato swych żołnierzy, którym zrzędył miny na wieść, że trzeba przeszukać Maladiere. Rozdzielił kawałki płótna do zasłonięcia ust i ocet do nasączenia tamponów.

Dwie godziny później Rektor wraz z kilkoma kompanami, którzy pod osłoną nocy zamienili ulice Dijon w krwawe jatki, zostali schwytani, związani i osadzeni w więzieniu.

Tego dnia w oberży Jacquota de la Mera nie otwarto nawet okiennic. Tylko na drzwiach zawisł napis informujący, że z powodu wyjazdu właściciela na pogrzeb na prowincji przybytek będzie zamknięty przez parę dni. Nigdy nie za wiele ostrożności!

Rozdział piąty

ZEJŚCIE DO PIEKIEŁ

Plac Morimont w Dijon, tradycyjne miejsce egzekucji, był zawsze miejscem ponurym. Pośrodku szerokiego, skośnego jak ostrze gilotyny pasa ziemi zainstalowano na stałe okropne urządzenia.

W samym centrum, naprzeciwko pałacu opatów z Morimont, potężnej diecezji Langres, wzniesiono szafot właściwy, prostokątną platformę usytuowaną dwa metry nad ziemią, do której prowadziły dwie drabiny. Nad potężnym, poczerniałym od zaschniętej krwi, z grubsza ociosanym drewnianym kłosem stał wielki krzyż. Z każdej strony szafotu wznosiła się szubienica i koło, podobne do ponurych świeczników okalających katafalk. Lecz ta stała dekoracja nie robiła już wrażenia na mieszkańcach dzielnicy, którzy się do niej przyzwyczaili. Przeciwnie, stanowiła wyborną atrakcję, kiedy jednemu czy kilku skazanym przyszło odegrać nań główne role...

Tego szarego listopadowego poranka plac zaroił się od głów gawiedzi. Nawet dachy pobliskich domów zajęli widzowie. Oczekiwane przedstawienie zapowiadało się bowiem wyjątkowo interesująco i niecodziennie, ponieważ tego dnia mistrz Arny Signart, główny kat Dijon, nie miał użyć zwykłych swych narzędzi, by wysłać dwóch skazanych na tamten świat, lecz zamierzał ich ugotować żywcem!... Ta rzadko stosowana metoda zarezerwowana była dla fałszerzy i łupieżców. Nie należało więc uronić niczego z tak pasjonującego widowiska!

Cizba ludzka stłoczona za potrójnym kordonem uzbrojonych żołnierzy w hełmach wpatrywała się w kata i jego pomocników z fascynacją i przerażeniem. Mistrz Signart, w obcisłych czerwono-krwistych getrach, czarnych cizmach i skórzanej kamizelce, spod której wystawały silne, żylaste ramiona, z głową ukrytą pod czerwonym kapturem krzątał się wlewając wodę i olej do olbrzymiej, miedzianej kadzi, pod którą płonął już ogień.

– Czy... naprawdę wrzucą ludzi żywcem do tego kotła? – spytał z niedowierzaniem Bérenger, ciągnąc Waltera za rękaw. – Ja... ja nie jestem pewny, czy chcę to oglądać...

Obaj chłopcy zainstalowali się na małym kamiennym parapecie pobliskiej kamieniczki. Pozwalało im to, zwłaszcza Walterowi, znacznie wyższemu od przyjaciela, górować nad morzem głów, lecz uniemożliwiała ucieczkę, zapewniając co najwyżej upadek do śmierdzącego ścieku płynącego poniżej.

Dawny student przyjaźnie poklepał pazia po głowie.

– Ani ja – odparł z uśmiechem zachęty – ale tu nie chodzi o to, by patrzeć, jak się gotuje rosół dla kanibali, lecz by zobaczyć, czy coś innego się nie wydarzy i czy Paniczyk nie będzie próbował uratować swojego człowieka od diabelskiego kotła. Zresztą pan de Roussay właśnie na to liczy; sam popatrz w poblizę trybuny sędziowskiej! Nie dość, że podwoił liczbę łuczników, ale uzbroił ich po zęby, jakby szli na wojnę! Popatrz na jego groźną minę i na to, jak bez przerwy przeczesuje tłum wzrokiem. Szuka kogoś! Jeśli chcesz

wiedzieć, co o tym myślę, to jestem pewny, że on sam jak i ty nie ma ochoty wdychać okropnej woni oleju i że ma absolutnie w nosie, czy Rektor zostanie powieszony, obdarty ze skóry czy ugotowany, liczy jednak na to, że Paniczyk wyjdzie ze swej nory i że wreszcie będzie mógł się z nim rozprawić.

– Sądziś, że się pojawi?

– Tak, jeśli bardzo mu zależy na Rektorze. Ale, szczerze mówiąc, zdziwiłoby mnie to. Jesteśmy tu już dobre trzy tygodnie, a król René nadal dobrze się miewa w swoim więzieniu. Czyli do tej pory spisek się nie udał. Otóż nie sądzę, żeby piękny Robert łatwo pogodził się z przegraną... zwłaszcza gdy się doda jego niedawną porażkę w Châteauvillain. Pokazanie się tutaj graniczyłoby z szaleństwem... chyba że dysponuje znacznymi siłami.

– No to chodźmy stąd, skoro mówisz, że nic się nie wydarzy.

– Nie powiedziałem, że nic się nie wydarzy, powiedziałem, że nie mam pewności. Zresztą sam widzisz, że nie możemy się stąd ruszyć... chyba że damy nura do tej kloaki płynącej pod nami. Ale popatrz – nadchodzą skazani!

Istotnie, dzwony w pobliskim kościele Świętego Jana rozdzwoniły się, a przez tłum przeszedł złowrogi szmer. Bérenger skulił się w sobie, wetknął nos między kolana i otoczył je ramionami.

– Nie mogę na to patrzeć! Wystarczy, że będziemy słuchać.

Walter nie odpowiedziawszy mu wspiął się na palce. Na plac wjechały bowiem dwa popielatej maści konie pociągowe, otoczone łucznikami. Każdy z nich ciągnął plecionkę, na której stał na wpół nagi, związany człowiek...

Los czekający tych ludzi był tak straszny, że tłum zazwyczaj żądny widoku skazańców i nie szczędzący wyzwisk ani zgniłych pomidorów tym razem nawet nie drgnął i nie wydał ani jednego dźwięku. Słyszać było tylko bicie dzwonu, szuranie plecionek po bruku i trzaskanie ognia pod kotłem...

Walter odszukał wzrokiem kapitana de Roussaya. Ten, siedząc sztywno na koniu, nie zwracał najmniejszej uwagi na skazanych, lecz obserwował tłum... Jeśli Rektor miał skończyć w kotle, to właśnie dzięki niemu, gdyż wskazując na rację stanu, tak pokierował wyrokiem sędziów, by lud myślał, że obaj skazani byli fałszerzami. Nie mogło wyjść na jaw, iż chodziło o próbę zgładzenia króla, w dodatku bliską powodzenia. Połączono więc sprawę Rektora ze sprawą Filiberta Verne'a; jak się okazało, naprawdę nazywał się Długi Colin i niedawno cudem uniknął kotła w Lyonie, do którego doprowadził go jego talent podrabiania pistoli, popularnie nazywanych „kocimi florenami”.

Konie zatrzymały się nie opodal kotła, w którym bulgotała woda z olejem, pryskając naokoło. Pomiędzy plecionkami stał mnich, który trzymał w złączonych dłoniach krucyfiks i recytował modlitwy za umierających, podczas gdy pomocnicy kata rozwiązywali skazanych. Jeden z nich, Filibert, szlochał i zaklinał się, że jest niewinny, drugi zaś, otepiały czy jakby na coś oczekujący, nie stawiał oporu ani się nie modlił.

Nagle wzrok Waltera padł na czyjś profil oddzielony od ramion kapiszonem i poznał Amandynę, która przyszła uczestniczyć w mecie kochanka; nie płakała, lecz jej blada twarz, zaciśnięte usta i płonący wzrok ziały nienawiścią. Walter pomyślał, że musiała naprawdę kochać swego pseudobrata, żeby tu się zjawić z prawie odkrytą twarzą, będąc wciąż poszukiwana. Jednak za nic w świecie młodzieniec pomimo jej zbrodni nie wydałby teraz kobiety, na którą spadała tak ciężka kara...

Amandyna widocznie poczuła na sobie ciężar jego spojrzenia, gdyż odwróciła głowę i na moment jej kamienny wzrok spotkał się z oczami chłopca. Musiała go poznać, gdyż błyskawicznie naciągnęła kapiszon na twarz i prześlizgnąwszy się za swego sąsiada, zniknęła za jego wielkim czerwonym kapturem, podobnym do dojrzałej tykwy.

Nagle dzwony przestały dzwonić i dało się słyszeć przeraźliwe, nieludzkie wycie: Arny Signart wraz z pomocnikami wrzucili nieszczęsnego Filiberta do kotła...

Tłum zamarł. Koń Roussaya poruszył się, gdy kaci zabierali się do drugiego skazańca.

Teraz lub nigdy – pomyślał Walter spocony jak mysz kościelna, jakby czuł na sobie płomień paleniska.

Nic jednak nie nastąpiło. Doszedł ich drugi, jeszcze bardziej przerażający ryk i okropna woń spalenizny: Robert de Sarrebruck widać nie uznał swego współnika za wystarczająco ważnego, by spróbować wyrwać go ze szponów tak potwornej śmierci.

Kiedy nieludzkie krzyki umilkły, Walter zszedł ze swego piedestału i klepnął pazia w ramię.

– Już po wszystkim. Możemy odejść... Tak, tak, synku, to nie takie proste stać się twardym jak mężczyzna – dodał widząc, że twarz pazia pozieleniała z wrażeń. – Ale jak zostaniesz rycerzem i ruszysz na wojnę, zdążysz się przyzwyczaić.

– Na wojnie nie gotuje się jeńców!

– Czasem postępuje się z nimi o wiele gorzej; zapomniałeś o kapitanie Błyskawicy?

Bérenger udał, że nie słyszy. Wiedział, że Walter nie znosi Arnolda de Montsalvy, którego on sam uważał za swego pana i ubolewał nad jego obecnym prowadzeniem się, nie ganiąc go jednak zbyt. Lepiej było zmienić temat i paż zmusił się do uśmiechu.

– Jestem gotów! – powiedział wstając. – Chodźmy stąd. Łatwiej było powiedzieć, niż wykonać, gdyż tłum uparcie tkwił w miejscu, spektakl bowiem jeszcze się nie skończył. Należało przecież zobaczyć, jak mistrz Signart i jego pierwszy pomocnik wyjmą skwierczące szczątki nieszczęśników i zawieszą je przy drodze za miastem na szubienicy, by szezły na wietrze ku większej przestrodze przechodniów.

W tej chwili lunął deszcz, powodując zamieszanie i przepychanki wśród tłumu, który zablokował chłopców na parapecie, gdzie nie mieli żadnej możliwości schronienia. Znalazłszy się w tak niewygodnej sytuacji, nie zauważyli kilku ludzi przedzierających się w ich stronę pod osłoną kamiennego murku...

Gdy tłum wokół nich nieco się rozluźnił, obaj chłopcy zostali pochyceni niewidzialnymi, silnymi rękami. Chwilę później, nie zwracając niczyjej uwagi, zostali uniesieni w jakimś nieznanym kierunku...

Kiedy nadeszła noc i chłopcy ciągle nie wracali, Katarzyna zaczęła poważnie się niepokoić. Otworzyła okno, lecz pomimo to miała wrażenie, że się udusi. Wiedziała, że nie zaśnie, dopóki nie upewni się co do losu swoich młodych sług, a zwłaszcza Bérengera, który był jeszcze prawie dzieckiem i

którego otaczała miłością nieomalże matczyną. Usłyszawszy, że strażnicy od Świętego Jana dzwonią na gaszenie świec, schyliła się, by zdmuchnąć świecę, a wtedy nagle coś świsnęło obok niej w powietrzu i upadło z głuchym łoskotem na podłogę.

Schyliła się i podniosła kamień, który był owinięty w papier. W trakcie rozwijania kartki jej serce zaczęło walić młotem, przeczuwając jakieś nieszczęście.

List napisany dużym, niezgrabnym pismem był krótki. Zawierał tylko kilka linijek. Tak strasznych, że aż musiała usiąść, by pojąć ich sens.

„Jeśli chcesz, pani, ujrzeć swoich chłopców żywych i całych, pójdź za posłańcem, który czeka na ulicy. Wyjdź z domu dyskretnie, nie uprzedzając nikogo, a zwłaszcza nie każ schwytać posłańca i ciągnąć go za język. Jest niemy i nie umie pisać. Jeśli za godzinę nie przyjdiesz, utniemy dłoń każdemu chłopcu, potem drugą, jeśli się spóźnisz... a potem głowę. Pośpiesz się!”

Katarzyna poczuła, że zasycha jej w gardle. W tym przyjaznym domu poczuła się nagle sama, zupełnie sama i bezbronna wobec świata rządzonego przez mężczyzn. Czego zażądają od niej za życie chłopców? I kim byli nieznajomi?

Chwiejnym krokiem podeszła do okna, starając się dojrzeć jakiś cień w gęstniejących ciemnościach. W rzeczy samej coś zamajaczyło nie opodal, poruszając czymś na kształt białej chusty... Była widziana, więc dała znak, że schodzi, zarzuciła czarny płaszcz z kapturem, owinęła się nim szczelnie i zgasła świecę.

Walter pokazał jej, jak wyjść z domu przez kuchnię bez zwracania uwagi mieszkańców, kiedy razem udawali się do Jakuba de Roussaya przed ekspedycją do Maladiere.

Nie wiedząc, czy wróci żywa z niebezpiecznej wyprawy, zostawiła bilecik na widocznym miejscu, po czym ściskając poły płaszcza wyszła na ulicę.

Wiatr przepędził chmury i noc zdawała się mniej czarna, toteż bez trudu zobaczyła czekającą na nią postać z białą chustą. Była to jedyna rzecz, jaką zauważyła, gdyż nieznajomy zakutany był w ciemne szmaty wydzielające okropny smród.

Kiedy zbliżyła się do niego, posłaniec schował chustę i dał znak, by szła za nim. Ruszyli wzdłuż domów, starając się nie wpaść na góry odpadków, które zamieniały główną ulicę handlową Dijon w istną kloakę, po czym skierowali się do Morimont. Jego ponura sylwetka była niebezpiecznym zwiastunem tego, co ją czeka.

Na wysokości młyna Carmes nieznajomy skręcił w stronę wybrzeża Suzon i kazał jej wsiąść do barki ukrytej pod łukiem małego mostu. Szybko zrozumiała przyczynę tej nocnej żeglugi po śmierdzącym ścieku, kiedy ujrzała, że krata zamykająca tunel pod bramą Ouche została otwarta.

Barka prześliznęła się bezszelestnie pod ociekającym wodą sklepieniem, pod którym trzeba było pochylić głowy, i wypłynęła na świeże powietrze, w miejscu gdzie Suzon wpadał do rzeki, zasilającej miejskie fosy. Człowiek bez twarzy skierował się w górę rzeki Ouche w kierunku rzędu młynów zbudowanych na jej prawym brzegu.

Wielkie koła z łopatkami mieszały wodę z odgłosem kaskady, wyrzucając odpryski białej piany.

Jeden z młynów, stojący bardziej na uboczu, na wpół zrujnowany i otoczony zdziczałą roślinnością, nazywano Spalonym Młynem.

Jak wszyscy w Dijon, Katarzyna wiedziała, że podobno w nim straszy. Budynek stojącej obok starej fermy służył na wypadek dżumy za szpital. Szpital to zresztą zbyt wiele powiedziane jak na mizerne schronienie, które znajdowali w nim dotknięci straszliwą chorobą, wypędzeni z domu przez bliskich, mogący tu spokojnie czekać na śmierć, choć przeważnie dżuma zwałała z nóg jak rażenie gromem.

Kiedy barka dobiła do brzegu, tajemniczy przewoźnik wyskoczył, chwycił łańcuch zwisający z pnia wierzby i przywiązał barkę. Wtedy zza drzewa wyłoniła się druga czarna sylwetka. Nowo przybyły bez słowa chwycił Katarzynę za ramię, ona zaś poczuła woń smaru do broni, a pod płaszczem ujrzała błyszczącą broń.

– Puść! To boli! – syknęła starając się wyrwać z żelaznego uścisku. Odpowiedział jej kpiący rechot, a uścisk wokół ramienia wzmocił się podczas gdy człowiek przyśpieszył kroku, tak że ledwo mogła za nim nadążyć. Teren był nierówny i kilka razy potykała się o kępy suchych traw. Wreszcie pojawiły się jakieś schody znikające pod ziemią, gdzie w oddali widać było migotliwe światło, podobne do odbicia w głębokiej studni.

Schodzenie nie trwało długo. Jednak przerażonej Katarzynie wydawało się, że trwa bez końca jak zejście do piekieł, i tym razem błogosławiła żyłastą dłoń miażdżącą jej ramię, gdyż bez niej ani chybi skreśliłaby kark na śliskich schodach. Jej towarzysz był rodzajem włochatego, leśnego stwora z olbrzymią kurczawką na czubku nosa. Otworzywszy kopniakiem sklecone byle jak drzwi, człek wepchnął Katarzynę do wielkiej, niskiej, zalatującej saletrą i pleśnią piwnicy, której białawe mury oświetlały płomienie strzelające z szerokiego, żelaznego kosza stojącego na podłodze.

W środku kłębiło się od podejrzanych typów uzbrojonych w sztylety i noże z ponuro lśniące stali. W głębi, przy długim stole oświetlonym kapiącymi świecami, siedziało trzech mnichów w czarnych habitach z rękami ukrytymi w rękawach.

Na widok wchodzących człowiek siedzący pośrodku wstał. W tej samej chwili silny cios przewodnika powalił Katarzynę na rozmiękle klepisko.

– Witaj, piękna Katarzyno! Rozsądnie zrobiłaś, nie każąc nam długo czekać! – mówiąc to odrzucił kaptur i czerwone płomienie kosza żarowego padły na czyste rysy, błękitne oczy i jasne włosy Paniczyka...

Siła obrzydzenia, nienawiści i gniewu poderwała ją z ziemi. A ponieważ strażnik zamierzył się, by na powrót rzucić ją na kolana, uskoczyła w bok i z całej siły uderzywszy go w twarz, odwróciła się w stronę Paniczyka.

– Mogłam przypuszczać, że tylko ty, panie, zdolny jesteś do zastawienia tak podłej pułapki! A moi biedni chłopcy i tak już pewnie nie żyją!

– Nie żyją?... Ależ nie!... Wykazałaś dosyć rozsądku, żeby byli cali i zdrowi! Zaraz każę ich przyprowadzić!

– Czego więc żądasz za ich uwolnienie?

Usta Paniczyka rozszerzył powolny uśmiech, odsłaniając białe, spiczaste zęby.

– Ja? Ależ nic...

Uśmiechając się ciągle, fałszywy mnich wyjął z przepastnych zakamarków habitu małe, złote puzderko i wyjąwszy zeń goździk jął go wolno żuć, by nadać swemu oddechowi przyjemny zapach.

– Dlaczego więc kazałeś mi tu przybyć?

– Aby została oddana sprawiedliwość komuś, kto wiele wycierpiał z twojej przyczyny...

Strzelił palcami i na ten znak z ciemnej masy zbirów tłoczących się w piwnicy oddzieliła się czarno odziana kobieta, która wolno podeszła do Katarzyny. Jej podkrążone oczy płonęły nienawiścią. Amandyna La Verne wyglądała strasznie i Katarzyna poczuła, że jest stracona.

Paniczyk obserwował obie kobiety ze złośliwym uśmieszkiem, po czym palcem, na którym krwawo lśnił olbrzymi karbunkuł, wskazał na Katarzynę i spytał:

– Oto ta, o którą mnie prosiłaś, kobieto! Czy teraz dotrzymasz danego mi słowa?

– Dotrzymam, panie, pod warunkiem że oddasz mi całkowicie tę ladacznicę, przez którą zginął mój chłop! Oddasz mi ją, panie?

– Co chcesz z nią zrobić? Zabić ją?

– Ma się rozumieć!... Lecz nie tak od razu!... Musi stokrotnie zapłacić za to, co ja przeżyłam dziś rano na placu Morimont!

Krzyk Katarzyny przerwał jej słowa.

– Ta kobieta jest szalona! Dziś rano jej kochanek nie zapłacił za torturowanie Mateusza Gautherina, lecz za całą swą złodziejską przeszłość, za zbrodnie i fałszerstwa i ty o tym wiesz, Robercie de Sarrebruck! Wiesz o tym dobrze, podobnie jak wiesz, kim ja jestem! A jednak w imię nie wiem jakiej niegodziwej umowy chcesz wydać mnie tej furii! I ty śmiesz zwać się rycerzem?

– Rycerstwo? – odparł Paniczyk śmiejąc się histerycznie. – Nie wmawiaj mi, że wierzysz jeszcze w te bzdury, naiwna niewiasto! W naszych czasach rycerstwo to tylko ozdoba, nieco przestarzała, lecz wciąż pociągająca. To sprawia wrażenie i rozmarza dziewczęta. Ot co!

– Och! Dobrze wiem, jaki z ciebie rycerz! Widziałam cię, jak walczyłeś z bezbronnymi kobietami, dziećmi, starcami i wieśniakami! Lecz respektowałeś... co nieco podobnych sobie. Czyżbyś zapomniał, że jestem żoną jednego z twoich kamratów?

– A ty zapomniałaś, że ten wspaniały kamrat publicznie nazwał cię ladacznicą i zapowiedział, że każe cię poszczuć psami, jeśli ośmielisz się wrócić do waszej osady? Jeszcze mi podziękuje, że uczyniłem z niego wdowca. Ale dosyć tego gadania, czas nagli. A więc masz czy nie, kobieto, to, co mi obiecałaś? Oddaj mi to, a potem rób sobie, co chcesz! Dosyć mam tej cuchnącej nory!

Ponury uśmiech zawitał na bezbarwnej twarzy Amandyny. Cofnąwszy się w głąb piwnicy, wyciągnęła z kąta młodego chłopca, który na pierwszy rzut oka przypominał Bérengera, gdyż miał na sobie jego piękny zielony kostium, z którego paż był taki dumny. Katarzyna krzyknęła z przestraszeniem.

– Co zrobiliście paziowi??

– Tylko go rozebraliśmy i jedyna rzecz, jaka mu grozi, to katar –

parsknęła Amandyna. – Kapitanie – dodała zwracając się do Paniczyka – ten chłopiec, a zwłaszcza jego strój, pozwolą ci wejść do wieży Nowej! Dasz mu konia, a twoim ludziom pozostanie iść za nim. Wie, co ma robić...

– Ale ja nie znam planu! – rozłościł się Sarrebruck – a nie mam zaufania do nikogo. Poczujesz to na własnej skórze, jeśli mnie zdradzisz... Co ma robić?

– Ma stanąć u bramy zamkowej i oznajmić, że jest kuzynem kapitana de Roussaya, że zwie się Alain de Maillet i że ponownie musi zobaczyć się z wujem, by zdać relację z pewnej misji, którą on mu zlecił. Ponieważ niedawno widzieli kogoś podobnego, wpuszczą go bez wahania. Twoi ludzie wedrą się za nim i bez trudu dadzą sobie radę ze strażnikami w wieży, tym łatwiej że ten bubek de Roussay ma tej nocy schadzkę z przyjaciółką!

Katarzyna nie mogła powstrzymać okrzyku oburzenia.

– Skąd masz te wszystkie informacje?

Amandyna, kręcąc biodrami pod swym mnisim strojem, podeszła do niej i spojrzała wyzywająco.

– Powinnaś wiedzieć, hrabino, że potrafię uzyskać od mężczyzn wszystko, co chcę! Zresztą ja zawsze umiałam dobierać sobie kochanków. Od dłuższego czasu sypiam z pewnym sierżantem z wieży, dokładnie od kiedy sprowadzono tam więźnia. Pomyślałam, że to może mi się przydać pewnego dnia... Na dodatek jest przystojny i zna się na rzeczy jak nikt...

– W takim razie doskonale udajesz zrozpaczoną wdowę! – zakpiła Katarzyna.

Błada twarz Amandyny wykrzywiła się ze złości.

– Ladacznico! Jesteś taka głupia czy udajesz? Zanim zabrałam się za tego starego capa, Mateusza, byłam dziewczką publiczną. Mój kram był tylko zasłoną wygodnej alkowy. Miałam stałą, dobrą klientelę, ale to ciężka praca. Tylko Colin się liczył! Kombinowałam z mężczyznami więcej dla niego niż dla siebie. On był dla mnie wszystkim, moim sercem, moją krwią, moimi flakami...

Jej głos załamał się i przeszedł w szloch, lecz Amandyna szybko się opanowała i ciągnęła dalej głuchym głosem.

– A teraz do końca mych dni będę słyszała jego krzyki, kiedy wrzucono go do kotła! Przez ciebie, ladacznico, i przez tę twoją tępą siostrunię nie zaznam spokoju za życia!... Ale nie ciesz się! Już wkrótce zapłacisz mi za to i to on sam cię ukarze, mój jedyny Filibert!

Chwyciwszy Katarzynę za ramię z siłą zadziwiającą u tak niewielkiej kobiety, pociągnęła ją za stół, z którego przechodząc porwała świecę, po czym pochyliła się nad bezkształtną masą leżącą na podłodze pod przykryciem i zerwała je...

Oniemiała z przerażenia Katarzyna daremnie starała się cofnąć na widok okropnego trupa Filiberta La Veme. Ale Amandyna nie popuszczała.

– Przypatrz się dobrze, do jakiego stanu go doprowadziłaś! Mam nadzieję, że podoba ci się teraz twoje dzieło, gdyż do ostatniego tchnienia będziesz go miała przed oczami! Za chwilę zaślubię was!

– Co masz na myśli, szalona kobieto? Wypuść mnie!...

Rysy mścicielki wykrzywił skurcz dzikiej radości. Każdą cząstką swego ciała smakowała przerażenie, którego Katarzyna nie potrafiła ukryć, czyniąc próżne wysiłki, by wyrwać się z imadła ściskającego jej ramię.

– A to mam na myśli, że za chwilę – ciągnęła wolno Amandyna, cedząc

każde słowo, tak by wszyscy mogli dobrze usłyszeć – kiedy uczynisz, co trzeba, by podziękować tym chłopcom za to, co dla mnie zrobili od chwili naszego aresztowania, zostaniesz przywiązana do ciała biednego Colina i zostaniecie razem pogrzebani! Będzie to dla niego słodka pociecha móc legnąć z nałożnicą wielkiego księcia Zachodu! Potem... jak już wyzioniesz ducha, zostaniesz odkopana i rzucona na gnojowisko, gdyż mój Colin nie potrzebuje nierządnicy, by spoczywać w spokoju!

Nadludzkim wysiłkiem udało się Katarzynie wyrwać z uścisku. Rozpaczliwie szukała wzrokiem pomocy wśród masy nieznanym osób, pragnąc dostrzec w którychś oczach choć iskierkę nadziei. Lecz otaczające ją twarze wyrażały okrucieństwo lub obleśną radość. Niegodziwcom ciekła ślina na myśl o czekającym ich przedstawieniu. Dostrzegłszy Paniczyka stojącego o kilka kroków i obserwującego scenę, podbiegła do niego i rozpaczliwie uczepliła się jego rękawa.

– Błagam cię, panie... uratuj mnie przed tą wariatką! Jeśli chcesz, zabij mnie, lecz nie pozwól, bym miała znosić zemstę tej kobiety! Noszę przecież nazwisko twego towarzysza broni, jestem szlachetną damą, a mój mąż ma ze mną dzieci. Nie pozwól chorej na umyśle zhańbić mnie.

Paniczyk niecierpliwym gestem uwolnił się od czepiających się go palców.

– Historie kobiet nigdy mnie nie interesowały – odparł chłodno, wzruszając ramionami. – Poza tym obiecałem... A ty, Amandyno, nie masz dla mnie nic więcej? To doprawdy niewiele...

– Mam, panie! Oto klucz do więzienia zrobiony z odcisku woskowego przez mego przyjaciela. Dzięki niemu bez kłopotu dostaniesz się do więzienia!

– A ty podle zabijesz króla w jego ciemnej celi! – rzuciła Katarzyna tak przejęta, że zapomniała na chwilę o własnym położeniu.

– Nie wiesz, o co chodzi, piękna pani – odparł Paniczyk ważąc w dłoni wielki klucz, który mu wręczono. – Nie chodzi o morderstwo... lecz o ucieczkę, która musi się udać! My, wierni króla Karola, będziemy ryzykować życie w celu uratowania jego szwagra i wyrwania go ze szponów Filipa! Opuści miasto tą samą drogą, którą ty tutaj przybyłaś... Oczywiście natychmiast zostanie schwytany i wtedy nieszczęśliwy wypadek ponownie uczyni wątpliwą sukcesję królestwa Sycylii!...

Szybkim ruchem rzucił klucz jednemu ze swych ludzi noszącemu podobnie jak on mnisi habit.

– Zrozumiałeś, Gerhardzie? Pośpiesz się! Dołączysz do nas w drodze do Langres... wiesz gdzie!

– Tak jest, kapitanie! – odparł człowiek z silnym germańskim akcentem. – Hej, wy tam! Ruszamy! A ty, mój chłopcze – dodał klepiąc po ramieniu chłopca przebranego w kostium Bérengera – spraw się, jak należy, jeśli ci życie miłe!

Około dziesięciu ludzi oddzieliło się od zgromadzenia. Byli uzbrojeni po zęby, a na dodatek przywdziali stroje w kolorach Burgundii, by nie zwracać na siebie uwagi na ulicach miasta...

Pragnąc tylko śmierci, pragnąc, by ugodził ją jakiś sztylet, Katarzyna rzuciła się na nich, lecz dziesiątki rąk opadło na nią, unieruchomiło ją i doprowadziło przed oblicze Roberta de Sarrebrucka, który odchyliwszy swoją suknię i ukazawszy nogi osłonięte zbroją, usiadł niedbale na rogu stołu.

Sięgnawszy po kolejny goździk, uprzejmie, jakby spotkali się na przyjęciu, uśmiechnął się do Katarzyny, która przez łzy zalewające jej twarz nie widziała już niczego.

– Mam nadzieję, moja droga, że podziwiasz mój genialny plan: moi oddani słudzy wyrwą więźnia z wieży, lecz ci okropni Burgundczycy odbiją go i podle zabiją! Na nas spłyną honory i sława, a na Filipa Burgundzkiego cała odpowiedzialność za zbrodnię i wreszcie wojna, wspaniała wojna rozgorzeje pomiędzy Francją i Burgundią na wiele długich lat... Wreszcie pozbedziemy się królika, który był niewygodny dla wielu.

– I nikt nie ośmielił się trzymać cię w więzieniu ani twego młodego syna!
– poparła go ochoczo Amandyna.

– Słusznie! Tymczasem, ponieważ nie lubię nie spłaconych długów, dlaczego czekasz, kobieto, ze swą zemstą? Żałuję, że będę musiał was opuścić przed końcem spektaklu, lecz chciałbym przynajmniej widzieć początek... wraz z moimi ludźmi przed wyruszeniem w drogę.

– Czekałam tylko na twój rozkaz, panie! Hej, wy tam! Rozebrać ją! W okamgnieniu ręce przytrzymujące Katarzynę zabrały się do dzieła.

Ostry nóż rozciął sznurówki jej sukni i wkrótce pozbawiono ją odzienia z pośpiechem mówiącym wiele o przyjemności, jaką musieli odczuwać oprawcy, szczypiąc i miętosząc gładką skórę. Istna burza śmiechów i przekleństw zagłuszyła jej krzyki i błagania... Znajdowała się w samym środku obleśnych gąb żołnierzy i oczajduszów walczących o to, kto będzie pierwszy.

Nad rozgardiaszem zagrzmiał głos Paniczyka.

– Przywiążcie ją do stołu, bando kretyńców! I nie bijcie się! Dla każdego starczy!

– To nie może być! – zaprotestował ktoś. – Wyzionie ducha wcześniej! Za dużo nas jest! Ale my, żołnierze, powinniśmy mieć pierwszeństwo! Dlatego, że nam się śpieszy!

Katarzyna poczuła, że pętają jej nadgarstek, najpierw jeden, potem drugi i że zakładają pętle z konopi wokół kostek u nóg. Na rozkaz Amandyny zakneblowano jej usta i rzucono na stół... Nie mogąc krzyczeć, jęczała jak zwierzę i błagała niebiosy, by nagła śmierć oszczędziła jej tego, co miało nastąpić. Usłyszała tuż obok siebie gwizd podziwu Paniczyka.

– Na rogi tego bałwana, jej męża, kobitka niczego sobie! Szkoda byłoby nie skorzystać! Pozwólcie, przyjaciele, że będę pierwszy!

Jednogłośnie wycie aprobaty odpowiedziało jego słowom wraz ze stekiem obleśnych słów zachęty. Wtedy powoli Paniczyk zbliżył się do nagiej, nieruchomej kobiety z szeroko otwartymi udami umocowanymi sznurami, spojrzął na jej złote runo, pieszczone ongiś przez samego księcia i czuła, ukrytą w nim dolinę... Jego ręce w żelaznych rękawicach chwyciły ją za ramiona i Paniczyk jednym brutalnym ruchem, który ofierze wyrwał przeciągły jęk bólu, wszedł w nią...

Atak był bolesny, lecz krótki. Po nim nastąpił drugi, trzeci i czwarty... Po pachnącym goździkami Paniczyku przyszła kolej na jego cuchnących potem i brudem kamratów. Rozdzierana, maltretowana, obolała, na wpół świadoma nie mogła nawet płakać. Pod kneblem, który ją dławił i ranił kąciki ust, jęczała coraz ciszej. Jej ciało, cała jej istota była jednym cierpieniem. Kolejny atak okrutniejszy niż poprzednie spowodował, że straciła przytomność.

Paniczyk i jego eskorta opuszczali Spalony Młyn, zostawiając ją w szponach bandy, którą Amandyna rzuciła na zbezczeszczone ciało, by dokończyć dzieła upodlenia i destrukcji. Mścicielka była tak zaślepiona nienawiścią, że nie rozumiała, iż wydając bezbronne ciało Katarzyny na pastwę swych ohydnych towarzyszy, skazuje ją na śmierć.

Własny jęk i uczucie przenikliwego chłodu wyrwały Katarzynę z omdlenia. Dręczyło ją palące pragnienie. Ogień w brzuchu oraz poranione od powrozów nadgarstki i kostki stóp sprawiały nieopisany ból... Lecz to nie było jeszcze dno piekła.

Powoli i z trudem wracała do rzeczywistości. Leżała na jakiejś szorstkiej derce... Bez wątpienia jeszcze żyła, chociaż wszystkie demony przewaliły się przez jej ciało... Po chwili przypomniała sobie, co obiecała jej Amandyna: pogrzebanie żywcem z rozkładającym się trupem Filiberta... Gdzieś w pobliżu oprawcy kopali grób. Słysząc było niepokojące dźwięki, trzeszczenie, opętańcze wycie... ale ona tak cierpiała, że już nawet przestała się bać. Pragnęła tylko jednego: pozbyć się swego ciała sprawiającego jej tyle bólu.

Czyjaś dłoń uniosła jej głowę. Poczowała na wargach zimny dotyk naczynia.

– Dopóki nie odzyska przytomności, nie uda ci się jej napoić – usłyszała pełen przejęcia, znajomy głos Bérengera. – Obawiam się, czy żyje...

– Zamknij się i rozetrzyj jej stopy! Są lodowate.

Nie chcąc wierzyć własnym uszom, otworzyła oczy... Ujrzała pochyloną nad sobą twarz Waltera. To on podtrzymywał jej głowę i starał się wlać trochę wody do ust, podczas gdy paż masował jej stopy ciepłymi dłońmi. Instynktownie, pchnięta nieodpartą potrzebą powrotu do życia, które nagle przestało być piekłem, zaczerpnęła łyk wody. Nie była zbyt dobra, lecz ugasiła pragnienie.

– Pije! – krzyknął Walter triumfalnie. – Wraca do siebie! Niech będą pochwalone niebiosy!

– Nareszcie! – rzekł tuż obok jakiś męski głos, który wydał się jej znajomy. – Te wściekłe psy rozerwałyby ją na strzępy!

– Nie wiem, jak mamy ci dziękować, panie! – rzucił Walter. – Gdyby nie ty, zgnilibyśmy w tej norze, a nasza biedna pani umarłaby. Boję się tylko, czy zbyt jej nie nadwerężyli. Jest taka wymęczona.

– Kobieta to silne stworzenie! Znam niejedną, przez którą przeszła cała kompania, i nic się jej nie stało... Ach! Oto płonie młyn. To ją powinno rozgrzać.

Ponad brzegiem miski, z której teraz piła chciwie, Katarzyna zobaczyła czerwieniejącą łunę nad rzeką. Równocześnie rozległy się krzyki i hałasy, wśród których dominowało skrzypienie ramion wiatraka.

Ujrzała półnagiego pazia płaczącego rzewnymi łzami u jej stóp i człowieka o znajomym głosie, który nie opodal przyglądał się pożarowi. Był nim żebrak z Notre Dame, Jehan Pieniążek...

Odwróciwszy nieco głowę zobaczyła strzelające płomienie, które lizwały bezkształtną masę dawnego młyna, i czarne sylwetki żołnierzy wywijających łuczywami i bronią. Łucznicy ustawieni w równym szyku obrzucali strzałami uciekających z pożaru.

– Jak się czujesz, pani? – cicho spytał Walter.

– Jak po łamaniu kołem. Nie ma ani kawałka ciała, którego bym nie czuła.
– Jak tylko pan de Roussay dokończy dzieła, zanieśmy cię do pani Simony.

– Pan de Roussay? Powiedz, co się stało i skąd się tu wzięłam?

– Dzięki temu człowiekowi – odparł wskazując na Jehana Pieniążka, który przyglądał się pożarowi młyna jak Neron pożarowi Rzymu. – Właśnie udawał się do młyna na spotkanie z kamratami, kiedy cię przywleczono. Widząc, co się święci, szybko wrócił do miasta i o wszystkim opowiedział panu de Roussayowi. Na szczęście kapitan przybył na czas i uratował ciebie, pani, i... nas.

Spojrzenie Katarzyny napotkało pełen litości wzrok fałszywego mnicha. Musiała być w strasznym stanie, skoro tak na nią patrzył, lecz starała się do niego uśmiechnąć, wdzięczna za to, co dla niej uczynił.

– Zawdzięczam ci życie... przyjacielu Jehanie. Ale dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego nasłałeś de Roussaya na własnych kompanów?

Jehan wzruszył ramionami.

– Wśród żebraków przyjaźń obowiązuje, dopóki trzymają się razem. Przyjmując złoto Paniczyka i przechodząc na jego usługi, przestali być mymi braćmi i kompanami. A poza tym wydać ciebie tej ścierce Amandynie... tego już nie mogłem znieść! – Nagle jego głos zachwiał się i Jehan dokończył z żalem: – Ja... ja... myślę, że zawsze cię kochałem, moje dziecko, jeszcze wtedy, gdy jako niewinny kwiat wydawano cię na siłę za wielkiego skarbnika Burgundii...

– A król? Co z królem? Schwytaliście Paniczyka?

– Nie... Właśnie odjechał, kiedyśmy przybyli.

– Szybko! Odszukajcie pana de Roussaya! Oni zabiją króla!

– Masz gorączkę, pani – odparł Walter dotykając rozpalonego czoła.

– Ja pójdę – krzyknął bez wahania Bérenger i pobiegł w stronę pożaru ile sił w nogach. Katarzyna próbowała podnieść się walcząc z Walterem.

– Później zajmiecie się mną... Wiem, że mam gorączkę... ale król René... oni zamierzają go porwać i zaprowadzić w pułapkę, gdzie ludzie przebrani za żołnierzy burgundzkich mają go zabić!

– Więc to tak – burknął Jehan Pieniążek. – Kiedyśmy przechodzili przez most na Ouche, zdawało mi się, że widzę barkę naładowaną ludźmi sunącą wzdłuż murów...

W tej chwili nadciągnął Jakub de Roussay wraz z paziem. Katarzyna w kilku słowach opowiedziała kapitanowi o katastrofie wiszącej nad jego głową. Padło kilka pytań na temat liczby ludzi, czasu, jaki upłynął od wyjazdu Paniczyka, i kapitan ruszył w drogę krzycząc:

– Zostawiam dwóch ludzi, którzy pomogą ci, pani, wrócić do pałacu Morelów... Jeśli przeżyję, odwiedzę cię tam po powrocie!

Katarzyna usłyszała, jak przywołuje żołnierzy od płonącego młyna, w którym zamknęli złoczyńców i Amandynę. Linia łuczników załamała się. Pobiegli do koni przywiązanych do drzew w pobliskim zagajniku. Wszyscy wskoczyli na koń i za Jakubem de Roussayem, który dziko spał rumaka ostrogami wyjąc: „Burgundio, naprzód!”, ciężki zastęp ruszył przed siebie z kopyta, że aż zatrzęsła się ziemia.

Katarzyna ponownie straciła świadomość. Dręczyły ją koszmary

wywołane wysoką gorączką. Nie pomagały starania pani Simony i Bertylki ani wygodne łóżko, które dla niej wymościły.

Nie mogła więc wiedzieć, że nad ranem wrócił de Roussay zakurzony, poturbowany i z otwartą raną na policzku, by zawiadomić, że René Andegaweński żyje i że wrócił do wieży Nowej.

– Z własnej woli, zresztą! – powiedział do pani Simony. – Kiedyśmy wpadli na bandę Paniczyka, mógł uciec pod osłoną walki. Ale nie uczynił tego. Przeciwnie, walczył wraz z nami, a kiedy szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę, powiedział do mnie: „Sądzę, kapitanie, że uratowałeś mi życie! A teraz pozostaje ci zabrać mnie do Dijon”. Ponieważ wyraziłem zdziwienie, dodał: „Byłbym niewdzięcznikiem posyłając cię na szafot za ucieczkę króla. Ponadto przypominam ci, że jestem bardziej więźniem słowa honoru niż waszych zamków. Rycerz ma tylko jedno słowo honoru. Zwłaszcza gdy jest królem...”

– A co z Paniczykiem? – spytał Walter. Zakrwawiona twarz kapitana pojaśniała uśmiechem.

– Pojman! Związany jak pularda. Przywieźliśmy go do Dijon, lecz jutro pod dobrą eskortą posyłam go w zamkniętym wozie do Lotaryngii.

– Dlaczego aż do Lotaryngii? Czy wasze więzienia są dla niego niewystarczające?

– Paniczyk uciekł z więzienia królewskiego, więc chcę zwrócić go królowi. A teraz, pani Simono... puchar wina sprawiłby mi największą przyjemność... zwłaszcza że nie znajdziesz lepszego od tego, które podaje się w twoim domu!

– Wybacz, kapitanie, że o tym nie pomyślałam! Lecz twoja opowieść była taka pasjonująca! Zaraz każę podawać! Zajmę się też twoją raną.

W tej chwili z łoża Katarzyny doleciał szloch. W okamgnieniu Walter i Bérenger znaleźli się przy swej pani. Jej usta były spierzchnięte i palące. Walter zwilżając je naparem lipowym usłyszał cichą skargę:

– Arnoldzie... nie odchodź... poczekaj na mnie, mój miły... Chcę wrócić do domu...

Z półprzymkniętych oczu trysnęły łzy, a chora zaczęła walić głową na wszystkie strony, jakby chciała przepędzić złe demony. Bérenger spojrzał na przyjaciela.

– Czy ona wróci kiedyś do Montsalvy... i do dzieci? – wyszeptał paż zdławionym głosem.

Były student wzruszył ramionami z przygnębieniem.

– Jeden Bóg to wie... lecz co do mnie, to obawiam się, że dużo czasu upłynie, zanim wróci do zdrowia. A zima za pasem...

Jakby na potwierdzenie jego słów na Dijon zaczął padać pierwszy śnieg...

CZEŚĆ DRUGA

HURAGAN NAD FLANDRIĄ

Rozdział szósty

FALSZYWA JOANNA

Nadeszła sroga zima. Miasta i wioski przyoblekły się w nieskazitelną biel śniegu. Wiatr hulał wśród drzew, zrywając ostatnie jesienne liście. Niebo przesłoniła mgła, łącząc je z ziemią...

Bramy domów naznaczonych szarym dymem z kominów pozamykały się przed chłodem. Okna zostały uszczelnione i każdy zasiadł przy płonącym palenisku, by czekać w uśpieniu ciała, spokoju serca i bojaźni ducha przed Stwórcą, aż śpiew pierwszego skowronka obudzi przyrodę i powróci czas zasiewów. Lecz w chatach i norach biedaków nędza stała się jeszcze czarniejsza, a śmierć cierpliwie stanęła na czatach...

Katarzyna mogłaby pozostać w przytulnym domu Simony Sauvegrain i czekać na wiosnę, by ruszyć w dalszą drogę. Mogłaby powoli leczyć boleści umęczonego ciała, lizać rany duszy toczonej rakiem wstydu i obrzydzenia... Mogłaby... lecz tego nie uczyniła. Dwa tygodnie po okropnych wypadkach w Spalonym Młynie opuściła Dijon w towarzystwie Waltera de Chazaya i Bérengera de Roquemaurela, kierując się drogą na północ...

Ostra gorączka, która nią zawładnęła po strasznych wypadkach, trwała tylko dwa dni. Ku niesłychanemu zdziwieniu przyjaciół, a zwłaszcza medyka sprowadzonego przez Simone, trzeciego dnia otworzyła oczy i spojrzała trzeźwo na arabski szronu na szybie.

Jej pierwszym uczuciem była błogość. Czowała jednocześnie ulgę i zmęczenie, jakby po długiej walce z szalejącą burzą obudził ją cichy, spokojny poranek na brzegu, na który wyrzuciła ją ostatnia, szalejąca fala sztormu. Wraz ze świadomością wróciła niestety pamięć.

Odgłosy szlochania obudziły Waltera, który po całonocnym czuwaniu spał na poduszkach ułożonych przy kominku. Zerwany ze snu, rzucił się do chorej i z niedowierzaniem patrzył, jak zalewa się łzami. Chwycił jej nadgarstek, by zmierzyć puls, a czując, że stał się regularny, krzyknął z radością:

– Jesteś uratowana, pani! Bóg nas wysłuchał!

Widząc jednak, że nie przestaje szlochać, położył jej dłoń na czole.

– Nie... nie trzeba płakać... Trzeba się cieszyć, gdyż byłaś jedną nogą na tamtym świecie... na szczęście życie zwyciężyło!

– Moje życie jest skończone... Walter upadł na kolana przy jej łóżku.

– Nie wolno ci tak mówić! Doprowadzisz nas do rozpacz, mnie i Bérengera, bo to przez nas przeszłaś to wszystko! Błagam cię, pani, spróbuj o tym zapomnieć.

– Nigdy nie zdołam zapomnieć...

Odwróciła się do ściany, gdyż każde nawet przyjazne spojrzenie było dla niej nie do zniesienia. Czowała się zbrukana aż po samą duszę, trędowata, nędzna, jakby jej rozdarte ciało wciąż jeszcze było wystawione na widok publiczny. Odpychała od siebie litość, życie, a zwłaszcza obraz swych dzieci i męża, którego zbrodnie zapomniwała, czując tylko własną hańbę.

Ponieważ odmawiała pożywienia licząc na to, że stopniowe osłabienie sprowadzi śmierć, która jej nie chciała, pewnego dnia pani Simona, nie mówiąc nic nikomu, przyprowadziła kobietę w starszym już wieku o twarzy przyjemnej i pogodnej jak rzadko, w haftowanym czepku ukrywającym piękne, siwe włosy.

Wyprosiwszy z pokoju smętne cienie pazia i giermka, pani Morel podeszła do łóżka i pochyliła się nad chorą.

– Katarzyno... przyprowadziłam przyjaciółkę... przyjaciółkę zdolną cię zrozumieć. Jest akuszerką i powinna cię zbadać, by stwierdzić, co z twoimi damskimi sprawami. Gdyż domyślałam się, że to cię dręczy?

Katarzyna odwróciła zmienioną, bladą i pooraną przez łzy twarz ku ścianie. Jej opuchnięte wargi drżały, a powieki pozostawały uparcie zamknięte, jakby bała się ujrzeć odbicie swej hańby w oczach przyjaciółki.

– Moje damskie sprawy? – wybełkotała. – Simono, jak możesz?...

– Powiedz jej, pani, dlaczego właśnie ja potrafię ją zrozumieć – przerwała nieznamoma. – Powiedz jej, że pochodzę z Sabie i że dwadzieścia lat temu, kiedy Anglicy weszli do mego miasta, zostałam zgwałcona przez całą kompanię. Ledwo uszłam z życiem, lecz miałam szczęście napotkać pewną matronę dobrego serca. Zajęła się mną i zachęciła do niesienia pomocy wszystkim tym niewiastom, które ucierpiały od brutalnej siły męskiego plemienia. A sam Bóg wie, ile w naszych czasach podobnych nieszczęść!

– Ale ja nie chcę żyć, ja chcę umrzeć...

– Dlaczego? Dla kogo? Twoje życie nie należy do ciebie! Nie masz prawa dowolnie nim dysponować!

– Bóg mi wybaczy...

– Nie mieszaj w to Pana Boga! Masz rodzinę i do niej należysz, jak mi się zdaje?

– Moja rodzina... – wyszeptała Katarzyna z goryczą, powstrzymując łzy. Z głębi swej rozpaczki dobra Montsalvy, jego dzielny i pracowity ludek, ziemia, dom i wszyscy, których kochała, wydały się jej rajem utraconym, którego bramy na zawsze zatrzasnęły się przed nią. Anioł z błyszczącą szpadą broniący doń wstępu miał twarz Arnolda...

Jednakże nie chcąc sprzeciwiać się Simonie, pozwoliła się zbadać nieznamomej o imieniu Prudencja, której ręce jak i głos okazały się niezwykle łagodne.

Wynik badania był bardziej zadowolający, niż można się było spodziewać. Następnie Prudencja ze zręcznością dobrej gospodyni za pomocą nitki jedwabnej zaszyła rozdartą skórę i choć operacja była bolesna, Katarzyna wytrzymała ból bez słowa skargi, szczęśliwa, że cierpienie choć w części pozwoli jej odkupić okropny grzech, do którego wszakże sama się nie przyczyniła.

Co do ran i swędzenia wewnętrznego, zastosowanie balsamu z baraniego łożu i ziół macerowanych w winie przyniosło jej znaczną ulgę...

Szybko wracała do zdrowia, lecz jej dusza odmawiała uzdrowienia. W miarę odzyskiwania sił coraz trudniej było jej żyć wśród ludzi. Szczególnie nie mogła znieść myśli o widzeniu się z Jakubem de Roussayem, który tamtej okropnej nocy widział ją nagą, wydaną na pastwę gwałcicieli jak zwierzę na stole rzeźnickim. Napisała do niego list pełen przyjaźni i wyrazów

wdzięczności, lecz nie pozwoliła mu się odwiedzić. Jedynymi osobami, których obecność była w stanie znieść, był Walter, Bérenger i wuj Mateusz.

W dniu Saint-Eloi Simona Morel po powrocie z mszy, w której zgodnie z tradycją uczestniczyła wraz ze swymi rolnikami, przyszła zawiadomić ją o rychłym wyjeździe do Flandrii prosząc, by jej towarzyszyła w celu spędzenia świąt Bożego Narodzenia na dworze Burgundii. Miała także w zanadrzu dobrą nowinę: książe Filip rozkazał, by król został doprowadzony przed jego oblicze w Lille, gdzie chciał rozmawiać o uwolnieniu więźnia. Jakub de Roussay miał prowadzić eskortę, do której pani Simona zamierzała się przyłączyć ze względu na niebezpieczeństwa mogące czyhać po drodze i ciężką porę roku.

Katarzyna jednak odmówiła. Powiedziała, że woli pozostać w Dijon z wujem Mateuszem i Bertylką, których wzajemne uczucia miały zostać pobłogosławione następnego dnia w Notre Dame. Ucałowała przyjaciółkę, obiecała, że gdy się lepiej poczuje, przyjedzie do Lille i do Brugii, i dwa dni później potężny orszak z Simoną i królem ruszył w drogę.

Dopiero gdy miasto zatopiło się na dobre w zimowej ciszy, dała rozkaz Walterowi, by zaczął przygotowania do drogi.

Na tę nowinę Mateusz i Bertylka oburzyli się zgodnie.

– Jak możesz nam to zrobić! Obiecałaś, że zostaniesz z nami aż do wiosny!

Uśmiech, jaki im posłała, był smutniejszy od łez wypełniających oczy starego wuja.

– Skłamałam – przyznała. – Wybaczcie mi, lecz gdybym wyjawiała, dokąd mam zamiar się udać, Simona nie wypuściłaby mnie.

– A myślisz, że ja ci pozwolę?

– Tak, ponieważ znasz mnie od dawna, kochasz mnie i tam, gdzie się udaję, mam nadzieję spotkać spokój, którego tak mi potrzeba... może znowu stanę się sobą. Proszę was o jedno: nie zadawajcie mi więcej pytań!

W rzeczy samej, jak wyjaśnić wujowi dziwny plan, który zakiełkował w jej udręczonym i chorym umyśle: dotrzeć do Lotaryngii, odszukać fałszywą Joannę i Arnolda, którego omotała awanturnica. Tym jednak razem nie chodziło jej o odzyskanie męża. Nie było to już możliwe po tragedii, jaka ją spotkała. Wszystko, czego pragnęła, to zobaczyć go ostatni raz... zdemaskować awanturnicę i wyrwać Arnolda z jej szponów, potem opowiedzieć o tym, co zdarzyło się w Spalonym Młynie, ukazując okropieństwo w całej rozciągłości. Wtedy... Arnold z pewnością zabije ją! Zginie z jego ręki, z tej ukochanej silnej ręki, której pieśczęt tak bardzo pragnęła jeszcze niedawno. Śmierć zadana przez człowieka, którego kochała nad życie, wyda się jej słodka, uspokajająca i świetlista...

O tym myślała, kiedy odgłos kopyt dzwonił pod czarnym sklepieniem bramy Świętego Mikołaja i kiedy zagłuszył go świeży śnieg na drodze do Langres.

– Dokąd jedziemy? – spytał Bérenger, który na widok wszechpotężnej i wrogiej przyrody zaczął żałować przytulnego ciepła domu Morelów.

– Prosto przed siebie! – odparła krótko.

Paź niezbyt zadowolony z uzyskanej odpowiedzi otworzył usta, by zadać następne pytanie, lecz otrzymawszy sójkę w bok od Waltera zamilkł i dalej już posuwali się w ciszy.

Przez całą drogę do Lotaryngii Katarzyna jechała na przedzie z oczami utkwionymi w białym, bezkresnym horyzoncie i ani razu nie obejrzała się do tyłu. W miarę upływu czasu wzrastało zaniepokojenie Waltera i smutek pazia, który gubił się w domysłach, dlaczego pani przestała lubić jego piosenki i jego samego. Lecz Katarzyny nie obchodziło już nic ani nikt.

Poprzez Langres i dolinę Mozy dotarli do Neufchâteau, gdzie wreszcie Katarzyna postanowiła przerwać milczenie i zaczęła rozpytywać nielicznych spotykanych ludzi o fałszywą Joannę. Czy słyszeli o kobiecie podającej się za Dziewicę Orleańską?... Czy wiedzieli, gdzie się teraz obraca?...

Ale nie dowiedziała się niczego. Ludzie kręcili jedynie głowami i spoglądali na nią z bojaźnią, jakby była niespełna rozumu, niektórzy czynili znak krzyża, wszyscy zaś szybko umykali swoją drogą...

Jeszcze gorzej było w Domrémy, rodzinnym miasteczku Joanny, z którego Dziewica wyruszyła na swą cudowną i tragiczną przygodę. Okryte grubym płaszczem śniegu miasteczko wyglądało jak umarłe. Drzwi domów nie chciano otworzyć ze strachu przed bandami. Jedynie proboszcz zgodził się przyjąć podróżnych i wskazać dom rodziny d'Arc, która zresztą sąsiadowała z jego kościołkiem.

– Lecz nie zastaniecie w nim nikogo – przestrzegł. – Ojciec umarł. Matka i dwaj bracia mieszkają w Orleanie... na wyspie, jak mi się zdaje. Powiada się, że tamtejsi mieszkańcy podarowali im wyspę i że wypłacają im pensję.

– A czy nie słyszałeś, ojcze, żeby Joanna cudownie uratowana ze stosu wróciła w te strony?

Ksiądz szybko się przezegnał, a w jego spojrzeniu pojawił się strach.

– Och! Ileż to głupstw się opowiada. Ja nic nie wiem!... Nic nie widziałem, nic nie słyszałem!... Tutaj nikt nic nie widział!

On również się bał. Ale kogo? Czego?... Nie nalegając, Katarzyna podziękowała i ruszyła w dalszą drogę. W Vaucouleurs ludzie okazali się mniej bojaźliwi, lecz nie odpowiadali na jej pytania, a oberżysta omal nie wyrzucił ich za drzwi.

– Joasia? Myśmy ją kochali! Nie pozwolimy, by szkalowano jej pamięć! Jeżeli szukacie awanturnicy, to nie tutaj: już dawno byśmy taką powiesili!

– A kto ci mówi, że chcemy jej dobra?

– Czy chcecie jej dobra czy nie, nic mi do tego! Ja wiem tylko jedno: Joasia nie żyje, w przeciwnym razie nie bylibyśmy tacy nieszczęśliwi!

Podczas gdy trzej wędrowcy spożywali skromny posiłek, który karczmarz podał im bardzo niechętnie i tylko dlatego, że w tych ciężkich czasach każda srebrna moneta była dobra do wzięcia, Walter, który przez całą drogę pozostawił Katarzynę jej gorzkim myślom, zdecydował się przerwać ciężącą chłopcom ciszę.

– Czy możesz mi powiedzieć, pani, dlaczego poszukujesz tutaj kobiety, która udaje Joannę d'Arc? Przecież oberżysta powiedział, że gdyby tu się pojawiła, to zostałaby powieszona!

– Oberżysta gada, co mu ślina na język przyniesie! Lecz ja dobrze pamiętam słowa mego męża!

– Czy możesz mi je powtórzyć?

– Tak. Powiedział: „Widziałem ją, kiedym dobił do Roberta w

Neufchâteau. Przybyła do Grange aux Hornes niedaleko Saint-Privéy...”

– A skąd wywnioskowałaś, że Saint-Privéy i Neufchâteau sąsiadują ze sobą?

– To oczywiste!

– Niestety, mylisz się! Saint-Privéy leży niedaleko Metz... Mieszkał tam mój wuj. Dlatego sądzę, że jeśli chcesz odnaleźć tę kobietę, musisz udać się do Metz! Tutaj jej nie znajdziesz z tej prostej przyczyny, że nigdy tu nie była.

Spokojna logika chłopca wzniciła u jego pani gwałtowny gniew.

– Mogłeś powiedzieć mi o tym wcześniej! Dlaczego milczałeś przez cały czas?

– Ależ... od kiedy opuściliśmy Dijon, pani, ja i ten chłopiec odnosiliśmy wrażenie, że przestaliśmy cię zupełnie obchodzić. Dawniej lubiłaś nas... i udowodniłaś to, poświęcając się dla nas... Ale obawiam się, że próba była zbyt ciężka i że tak jak kiedyś nas kochałaś, tak samo teraz nas nienawidzisz.

Pierwszy raz coś poruszyło czułą strunę w lodowatym sercu Katarzyny. Ponad stołem spojrzała na giermka, potem na pazia. W żółtym świetle świecy, której cierpka woń wypełniała jej nozdrza, ujrzała na twardym obliczu Waltera smutek zmieszany z wyrzutem, a na dziecinnej jeszcze twarzy Bérengera oznaki bezkresnej rozpacz.

– Skąd wam to przyszło do głowy?... – wyszeptała głęboko wzruszona słowem „pani” tak uroczyście wymówionym przez giermka.

– Twoje zachowanie, pani... Dawniej pozwalałaś, bym się tobą opiekował, chronił cię, nawet decydował za ciebie. Pozwalałaś mi być giermkim... nie szczędząc przy tym dowodów przyjaźni... W tej chwili mam wrażenie, że ja i Bérenger jesteśmy dla ciebie tylko zwykłym bagażem... uciążliwym bagażem...

– Ależ to niedorzeczność! – zaprotestowała Katarzyna.

Wstała, podeszła do Bérengera i otoczywszy jego szyję ramionami przytuliła policzki do krótkich, rosnących we wszystkie strony ciemnych włosów pazia.

– Wybacz mi, moje dziecko, i nie wierz w to, co powiedział Walter... Wcale nie żałuję, że uratowałam was od śmierci... Zresztą... to jedyna rzecz, która pozwala mi nie oszaleć: wasze uratowane życie. Sądzę nawet, że kocham was obu jeszcze bardziej niż dawniej. Tylko że...

– Tylko że nie jesteś taka jak dawniej!

Podczas gdy Bérenger, pokonany wzruszeniem, szlochał z radości i zdenerwowania w ramionach Katarzyny, Walter oparłszy się pięściami na stole, dał upust swej złości.

– I nareszcie powinnaś znowu stać się sobą! Gdzie jesteś, Katarzyno tamtych dobrych i złych dni? Gdzie podział się twój uśmiech? Gdzie podziela się twoja odwaga? Co stało się z tamtą panią de Montsalvy, która potrafiła stawić czoło całej armii czy oszalałemu tłumowi?

Katarzyna odwróciła głowę, nie mogąc znieść gniewnego spojrzenia swego zazwyczaj tak spokojnego giermka.

– Gdybym to ja wiedziała...

– Ale ja wiem! Teraz tamta Katarzyna waha się pomiędzy życiem i śmiercią. Życiem, do którego, ku własnej rozpacz, jest jeszcze przywiązana, i śmiercią, której pragnie ze wszystkich sił! Czyżbym się mylił? No, Katarzyno,

powiedz prawdę! Jeśli żywisz do mnie jeszcze trochę dawnej przyjaźni, odpowiedz mi, co teraz ci przyświeca i co tobą kieruje. Dokąd zmierzasz? Do czego? Powiedz mi na przykład, dlaczego tak ci zależy na odnalezieniu awanturnicy, zamiast myśleć tylko o jednym: o powrocie do dzieci?

– Walterze... Walterze... – westchnęła ze zmęczeniem. – Sam dobrze wiesz dlaczego! Wiesz, że chcę odnaleźć przy niej mego pana... mego męża...

– Czy po tym, co cię spotkało, to właśnie jego masz największą ochotę odnaleźć?... Czy mogę ci powiedzieć, pani, co ja o tym myślę?

– Mów!

– Że masz ochotę go zobaczyć... lecz tylko go zobaczyć... i to ostatni raz, gdyż przez całe życie kochałaś go nad życie. I że potem znikniesz, tak iż nikt, nawet my, nie będzie mógł powiedzieć, co się z tobą stało! Pewnego ranka po prostu znikniesz... Nieprawdaż?

– Być może...

Zaległa cisza przerywana jedynie trzaskaniem ognia. Po chwili Walter, wyjąwszy sztylet zatknięty u pasa, wbił go z impetem w drewniany blat stołu. Po czym, wyciągnąwszy w geście uroczystym dłoń nad tym zaimprovizowanym krzyżem, rzekł wielkim głosem:

– Ja, Walter-Gotran de Chazay, syn Piotra-Gotran de Chazaya i Mari Adelajdy de Saint-Privey, giermek największej i najszlachetniejszej pani Katarzyny de Montsalvy, klęę się na ten tu krzyż, że w dniu, kiedy moja pani opuści ten świat z własnej woli... czy z każdego innego powodu, ja również przerwę nic mych ziemskich dni, by móc nadal służyć jej z honorem na tamtym świecie! Pana Boga i Świętą Dziewicę Maryję biorę na świadków mych słów!

Gwałtownym ruchem,omalże nie przewracając Katarzyny, Bérenger wyrwał się z uścisku swej pani i on także wyciągnął swą małą dłoń nad sztyletem.

– I ja również przysięgam! Ja również!

Katarzyna jak ścięta padła na taboret i ukrywszy twarz w dłoniach rozplakała się.

– Dlaczego mi to robicie? – jęknęła wśród łez. – Przed wami całe życie, a moje jest już skończone! Na co mogę liczyć po tym, co mi się przytrafiło?

Chłopcy rzucili się przed nią na kolana.

– Pozwól nam działać, pani! Zwróć nam swoje zaufanie! Chcemy naprawić zło, któreśmy niechcący ci wyrządzili. Sama przed chwilą powiedziałaś: nie jesteś sobą, cierpisz...

– Brzydę się sobą!

– Nie ma żadnego powodu. Jesteś ofiarą. A czy sądzisz, że my nie cierpimy, iż to przez nas doznałaś straszego upokorzenia, okrutnych mąk? Pozwól, byśmy cię z tego balastu uwolnili! A w dniu, w którym odzyskasz dom i szczęście, zapominając o ciężkich chwilach, dopiero wtedy będziemy mogli zaznać spokoju sumienia...

Następnego dnia rano oberżysta, stojąc po kostki w śniegu przed wejściem do swego przybytku, przyglądał się z wyraźną ulgą, jak Walter pomógłszy Katarzynie wsiąść na konia, bez żadnych wstępów stanął na czele małej trupy i poprowadził ją na północ.

Zgodnie z przewidywaniami Waltera, po przyjeździe do Metz natrafiono

na szereg informacji dotyczących fałszywej Joanny, która stała się tam znana w czasie lata. Pod koniec maja przybyła do Grange aux Hornes w towarzystwie dwóch czy trzech zbrojnych ludzi, żeby oczekiwać na przyjazd swoich „braci”. Bracia po przyjeździe oznajmili, że to ich ukochana siostra, Joanna d’Arc du Lys, którą już oplakiwali, a która cudownie się odnalazła! Następnie wezwali najważniejszych panów w Metz, którzy byli w Reims w dniu sakrum, aby uznali cud i podzielili ich radość! I wszyscy jak jeden mąż uznali fałszywą Joannę...

– A czy wiesz, pani, ilu z nich widziało prawdziwą Joannę? – spytał Walter, który wziął na siebie zbieranie informacji. – Tylko jeden: pan Nicole Louve... i to z daleka...

– Zapominasz o braciach...

– Ponieważ uważam, że nie są to prawdziwi bracia, lecz zwykli współnicy!

– W każdym razie podobieństwo musi być uderzające, skoro mój mąż, który znał Joannę, walczył u jej boku, również jest przekonany, że to najprawdziwsza Dziewica... choć widział na własne oczy, jak spłonęła na stosie!

– Zdarzają się zadziwiające podobieństwa... a tym bardziej ludzie umierający z chęci uwierzenia w cud! Być może i ty, pani, dałabyś się zwieść, gdybyś ujrzała tę kobietę!

– Z całą pewnością nie! Joannę znałam jeszcze lepiej niż mój mąż! Jestem pewna, że mogłabym zdemaskować awanturnicę! Cała sprawa w tym, żeby ją dopaść... co wydaje się trudniejsze, niż przypuszczałam...

Istotnie, nadzieja na spotkanie „Joanny” w Metz spełzła na niczym. Mieszkańcy miasta okazali się bardzo rozmowni w sprawie cudownego wypadku, lecz nie byli w stanie powiedzieć, gdzie obecnie przebywa ich bohaterka. Wiedzieli, że udała się do Arion, do księżnej Luksemburga, gdzie została jak najlepiej przyjęta, i że dwa miesiące później widziano ją w zbroi wśród hałaśliwego zastępu rycerzy.

Wiadomość budziła najwyższe zdumienie: księżna była ciotką Filipa Dobrego, a także kuzynką słynnego generała burgundzkiego, Jana Luksemburskiego, pana de Beaurevoir, który wydał Joannę d’Arc Anglikom, trudno więc było pojąć, czego szukała u księżnej ta, która podawała się za Joannę...

– Ta cała historia nie trzyma się kupy – podsumował Walter.

A jednak w Metz, które sprawiło taki zawód Katarzynie, dowiedziała się dobrej nowiny, pierwszej od długiego czasu: podczas swoich poszukiwań Walter natrafił na ślad Arnolda de Montsalvy w oberży przy kościele Świętego Thiebaulta. Dwa miesiące temu mieszkało tam przez trzy czy cztery dni dwóch ludzi; jednego z nich posługaczka określiła jako „na wpół wiarusa, na wpół służącego”, co odpowiadało dosyć dobrze wyglądowi Cornisse’a. Opis jego pana „bardzo wysokiego, czarnego, władczy i pięknego, pomimo szerokiej szramy na policzku” spowodował szybsze bicie jej serca: bez wątplenia nie mógł to być nikt inny jak Arnold! Otóż ludzie ci pewnego jesiennego poranka ruszyli prawdopodobnie w kierunku Luksemburga...

Nie pozostawało nic innego jak jechać ich tropem. Wkrótce zatem Katarzyna wraz ze swymi towarzyszami podróży opuściła niebieskie wody Mozy, by zagłębić się w gęstych, sosnowych lasach Ardenów pełnych jeleni, dzikich świń, czarownic i wróżek. Nieliczne siedliska ludzkie były tu biedne i

wystawione na pastwę lodowatego wiatru, a zalegająca nad krainą cisza zimowa zdawała się tak głęboka, że można było słyszeć umykające zające i wiewiórki, przestraszone głuchym odgłosem końskich kopyt...

21 grudnia, w dniu świętego Tomasza, wędrowcy dotarli do Arion rozłożonego na wzgórzu, nad którym górował potężny zamek książąt luksemburskich o grubych murach i wysokich basztach, strzeżony przez licznych rycerzy. Na szczycie wieży obronnej łopotała flaga książęca, na której czerwony lew luksemburski w koronie sąsiadował z czarnym orłem Cesarstwa.

Po trudach wędrówki błotnistymi lub zaśnieżonymi drogami miasto uprzątnięte na święta Bożego Narodzenia wydało się wędrowcom niezwykle czyste. Wszędzie suszyło się pranie na wietrze, gdyż zwyczaj zakazywał prania pomiędzy Bożym Narodzeniem a Trzema Królami. Można było sobie wyobrazić, jak w domach, z których dolatywały zapachy gorącego chleba i ciast, krzątają się gospodynie, a twarze napotkanych ludzi wyrażały zadowolenie, którego podróżni dawno już nie widzieli. Arion, dobrze chronione za swymi potężnymi murami i strzeżone przez silne oddziały księżnej, sprawiało wrażenie cieplej wyspy na oceanie lodowym.

Oberże były na podobieństwo miasta. Ta, którą wybrała Katarzyna, niedaleko kościoła Świętego Donata, miała świeżo wymalowane drzwi ukryte w nagich gałęziach dereni. Pokoje były czyste i wygodne, a gościom dostarczono ciepłej wody do mycia się i gorącego kapuśniaku, jak też dobrego mozelskiego wina. Łóżka były wygodne, pościel zaś biała i pachnąca suszonymi ziołami. Od czasu wyruszenia w drogę podróżni po raz pierwszy spali jak zabici.

Następnego dnia przed południem udali się do zamku. Katarzyna po spokojnej nocy czuła się inną kobietą. Włożyła fioletową suknię i płaszcz z szerokimi rękawami podbity futerkiem z łasicy, a na głowę toczek z tegoż futra ozdobiony długim piórem przypiętym złotą broszką z ametystami. Walter i Bérenger wyszczotkowani i wypucowani jak należy jechali za nią. Na widok tak dostojnego towarzystwa żadnemu z łuczników trzymających straż przy barbakanie nie przyszło do głowy, by zabronić wstępu do zamku nieznanym przybyszom.

Obyczaje w Luksemburgu odznaczały się wielką prostotą i Katarzynie bez trudu udało się uzyskać zgodę na audiencję u księżnej. Po krótkim oczekiwaniu w holu z szerokimi, kamiennymi schodami, służący wielki jak szafa i brodaty jak sam Noe wskazał Katarzynie drogę, nakazując paziowi i giermkowi, by zaczekali. Zaprowadziwszy ją do przedpokoju, przekazał gościa tęgiej kobiecie ubranej jak zakonnica z tą jednak różnicą, że suknię miała w ostro-czerwonym kolorze, a na szyi kilka złotych łańcuchów.

Kobieta zmierzyła Katarzynę od stóp do głów z taką podejrzliwością, że ta powzięła obawę, czy aby za chwilę jej nie przeszuka. Widocznie jednak egzamin wypadł pomyślnie, gdyż uśmiechnęła się uprzejmie i uczyniła znak, by nieznaną szła za nią. Kobiety ruszyły przez salę udekorowaną sztandarami i wkrótce weszły do kaplicy, gdzie za sprawą żółtych i różowych witraży oraz setki płonących świec panowało przyjemne, złociste światło.

Księżna klęcząca na poduszkach z niebieskiego weluru przed pięknym obrazem Matki Boskiej pędzla Klause Slutera oczekiwała na gościa oddając się modlitwie.

W wieku czterdziestu sześciu lat Elżbieta z Gorlitz, córka Jana Luksemburskiego, księcia Gorlitz, i wnuczka cesarza Karola IV, nie zachowała śladów dawnej piękności. Przytyła od zbyt obfitego jedzenia i z ledwością mieściła się w sukience z fioletowego aksamitu.

Ta tłusta kobieta była bardzo ważną osobistością, prawie o znaczeniu strategicznym, w tym zakątku Europy. Jej pierwsze małżeństwo z Antonim Brabanckim, bratem księcia Burgundii, Jana bez Trwogi, uczyniło z niej ciotkę Filipa Dobrego. Jednak jej drugie małżeństwo z bratem Izabeli Bawarskiej, dawnym biskupem Liege, Janem bez Litości, uczyniło z niej ciotkę króla Karola VII. Co zaś do jej księstwa, wciśniętego pomiędzy Francję i Burgundię, wiedziała doskonale, że ksiązę Filip się nim interesuje, ten sam Filip, który bez żadnych skrpułów oskubał jej kuzynkę Jacqueline Bawarską, hrabinę Holandii, i doprowadziwszy ją na skraj nędzy stał się przyczyną jej szybkiej śmierci. Elżbieta starała się więc utrzymywać z nim dobre stosunki, chociaż wcale go nie lubiła, gdyż był jedynym wystarczająco silnym człowiekiem mogącym zagrozić drogę apetytom drugiej gałęzi Luksemburgów, hrabiów Saint-Pol, i ich bratu, groźnemu panu de Beaurevoir, którego nienawidziła z całego serca.

Katarzyna złożyła ukłon, a księżna przeżegnawszy się wstała i spojrzała na nieznajomą bez większego zainteresowania.

– Powiedziano mi, że jesteś hrabiną de Montsalvy – rzekła wreszcie. – Mieliśmy tu kogoś ostatnio o tym nazwisku... Czy jesteście krewnymi?

Katarzyna zamarła.

– Sądzę... pani... że chodzi o mojego męża. Jest ranny i chory... i muszę go odnaleźć! To przyczyna audiencji, o którą śmiałam cię prosić. Czy Wasza Cesarska Mość może mi powiedzieć, gdzie mam go szukać?

Elżbieta zachnęła się.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Był tutaj kilka tygodni temu, lecz nie zagrzał miejsca dłużej niż trzy dni. Potem wyjechał po pewnym dosyć przykrym zajściu. To prawda, że przybył w samą porę, by wziąć udział w zaślubinach...

– W zaślubinach?... W czyich zaślubinach? – krzyknęła Katarzyna zapominając o etykecie, która zabraniała indagować księżniczkę. Lecz ta nawet tego nie zauważyła, bowiem piękna kobieta szukająca męża zaczęła ją intrygować.

– Ależ... mojej siostrzenicy, Dziewicy Francji... Joanny d'Arc du Lys, która niedawno wyszła za pana Roberta des Armoises!

Katarzyna nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Czy mogę prosić Waszą Cesarską Mość, by zechciała powtórzyć, co miałam honor przed chwilą usłyszeć? – spytała odzyskawszy dech.

– Co takiego? Że święta Dziewica, cudownie uratowana od stosu, połączyła się z dzielnym rycerzem i że...

– Wydawało mi się, że Wasza Wysokość rzekła: „moja siostrzenica” – przerwała Katarzyna zuchwale.

Księżna zareagowała na tę bezczelność z wyraźnym niezadowoleniem, lecz nieoczekiwanie z niezwykłą uprzejmością jąła dawać wyjaśnienia.

– Powiedziałam to i mogę powtórzyć, ile razy zechcesz, pani! To biedne dziecko, które ledwo opuściło więzienie, dokąd wpędziła je ludzka niegodziwość, powierzyło mi sekret swego urodzenia... sekret wyjaśniający wszystko: przyjęcie króla w Chinon, powierzone jej armie, jej wielkość i

autorytet...

– Ach!... Więc to wszystko wyjaśnia?...

– Oczywiście! Oto co szeptęła na ucho królowi w czasie ich pierwszego spotkania: że jest jego siostrą, co prawda z nieprawego łoża, lecz prawdziwą siostrą!

– Jego siostrą! Tak zwyczajnie! – oburzyła się Katarzyna, której nagle zachciało się śmiać z powodu głębokiego przekonania brzmiącego w słowach rozmówczyni.

– Po prostu! Córką królowej Izabeli i pewnego wielkiego pana, wychowywaną potajemnie przez dobrych ludzi na zlecenie ich władcy! W tym czasie królowa nie utrzymywała żadnych stosunków z tym biednym, szalonym Karolem VI. Czuła się samotna i znalazła pocieszenie bez trudu. Nie mogła jednak przyznać się, jaki był owoc związku. Wtedy...

Nie!... Tego nie można było dalej spokojnie słuchać!

– Joanna córka Izabeli? – wybuchnęła Katarzyna. – Tej ładacznicy Izabeli? Anioł zrodzony z błota? I ta awanturnica uważa się za Dziewicę, najświętszą istotę, jaką Bóg kiedykolwiek stworzył oprócz Maryi? I Ludzie wierzą w te podłe kłamstwa, w tę niegodną mistyfikację? Ludzie tacy jak ty, pani?

– Hrabino! Ja zabraniam!...

– Niczego nie możesz mi zabronić! Nie jestem poddaną Waszej Wysokości! Jak taka wielka księżna jak ty, pani, wnuczka cesarza mogła dać wiarę podłej infamii?

– Dałam wiarę prawdzie! Joanna przybyła tu w eskorcie ludzi, którzy dawniej ją znali i zaręczyli o jej osobie! Dlaczego miałam im nie I uwierzyć? Jesteś, hrabino, wielce nieostrożna przychodząc tu, by rzucić mi bezczelne dementi i zasiać niezgodę!

– Nie jest moim celem sianie niezgody, księżno! Widzę jednak, że ta kobieta potrafiła wspaniale cię omotać, Lecz mnie, klnę się przed Bogiem, nie zdoła przekonać! Powiedz mi jeno, gdzie się znajduje, a ja już wyduszę z niej całą prawdę!...

Księżna pokraśniała na twarzy z oburzenia. Katarzynie przeszło przez myśl, czy nie wydaje na siebie wyroku śmierci, lecz w tej materii nie miała już nic do stracenia. Tymczasem Elżbieta rzekła podniesionym głosem:

– Nie musisz daleko jej szukać! Joanna jest tutaj! Lecz przysięgam, że nie wyjdiesz stąd, zanim nie oświadczysz, że skłamałaś, że starałaś się oszkalować moją protegowaną, i to przez zwykłą zazdrość opuszczonej żony! Twój mąż...

– Wasza Wysokość! Zostawmy hrabiego de Montsalvy w spokoju! – przerwała Katarzyna – i pozostawmy przy tej kobiecie. Jeśli jest tutaj, błagam Waszą Wysokość, każ ją tu przyprowadzić, w to miejsce przeznaczone dla modlitwy, niech przede mną powtórzy, co tobie mówiła!

– Niech tak będzie!

Elżbieta de Gorlitz klasnęła w dłonie. W drzwiach kaplicy ukazała się tęga kobieta, która przyprowadziła wcześniej Katarzynę.

– Pani des Armoises powinna być w zbrojowni – rzekła do niej po francusku. – Przyprowadź ją tutaj, Batyldo!

– Czy mogę prosić o jedno? – spytała Katarzyna. – Czy mogę mieć nadzieję, że moje nazwisko nie zostanie wymienione w jej przytomności? To

mogłoby ją ostrzec!

– Zgoda. Lecz wiedz, że córka Boga nie musi się strzec! – odparła księżna z mieszaniną wyższości i pogardy.

W kaplicy zapadła cisza. Księżna porzuciwszy swego gościa, ponownie uklękła przed ołtarzem i zagłębiła się w modlitwie. Katarzyna patrzyła na nią z uczuciem zawodu. Czego innego spodziewała się po tej tak wpływowej kobiecie. Z jaką łatwością, z jaką straszną naiwnością księżna dała wiarę awanturnicy! Uczyniła z prostej wiejskiej dziewczyny księżniczkę! Co za brak wiary, co za szaleństwo!

Odgłos energicznych kroków za drzwiami wyrwał ją z gorzkich rozmyślań. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich młodzieńcza postać odziana po chłopięcemu w niebieskie aksamity i białe satyny. Kiedy jednak postać ta stanęła w kręgu światła, Katarzyna cofnęła się i przeżegnała po trzykroć, nie chcąc wierzyć własnym oczom: twarz przybyłej była twarzą Joanny d'Arc!

Elżbieta de Gorlitz wstała i podeszła do dziewczyny, która przyklękła na kolano. Schyliła się, by ją pocałować i rzekła do niej z niezwykłą słodyczą:

– Moja droga, jest tu ktoś, kto chciałby się z tobą widzieć.

– Doprawdy? A kto taki?

Nagle podejrzenia Katarzyny powróciły; głos dziewczyny nie był głosem Joanny! Zbliżywszy się spostrzegła, że odcień jej oczu też jest inny. Oczy prawdziwej Joanny miały kolor czystego lazuru, a niebieski nieznajomej wpadał w zieleń! Poczowała, że wracają jej siły i pewność siebie.

– No i? – spytała księżna tonem zwycięzcy. – Co teraz powiesz, pani? Katarzyna uśmiechnęła się i rzuciła nieznajomej pytanie:

– Czy poznasz mnie? Kobieta roześmiała się.

– Myślałam, że to ty chciałaś mnie rozpoznać? A dlaczego to ja miałabym cię poznać?

– Dlatego, że jeśli jesteś prawdziwą Joanną, to dobrze mnie znasz!

– Ja?... rzeczywiście... o jaki ze mnie głuptas! Oczywiście, że się znamy! Spotkałyśmy się na dworze króla Karola?

– Brawo! – przyklasnęła księżna. – Oczywiście, że poznałaś panią de Montsalvy na dworze i...

Nagle ugryzła się w język, bo złamała dane Katarzynie słowo, lecz było już za późno. Kobieta zbliżała się do Katarzyny, by ją ucałować.

– Och! Spotkałyśmy się nie tylko na dworze, lecz w wielu innych okolicznościach, czyż nie? W Rouen, gdzie uczyniłaś wszystko, by mnie uratować...

Katarzyna przeklinała niepowściągliwy język swego męża. To on, bez wątpienia, tak dokładnie poinstruował fałszywą Joannę... Ciekawe tylko, jak daleko posunął się w swoich zwierzeniach i wywoływaniu starych wspomnień...

– W istocie – odparła spokojnie – ja i mój mąż próbowaliśmy uratować Joannę, lecz ona nie mogła nas wtedy widzieć! Ja natomiast widziałam na własne oczy, jak ją przywiązali do słupa, widziałam, jak się pali jej sukienka, jak jej ciało krwawi! Słyszę jeszcze jej ostatni krzyk, ostatnie błaganie skierowane do Boga!

Księżna zmieszana wibrującym w głosie Katarzyny wzruszeniem podeszła do ołtarza, by szukać pomocy, lecz fałszywa Joanna pozostała nieporuszona.

– Kapitan de Montsalvy także był wtedy przy stosie, a jednak on mnie rozpoznał!

– Bo miał ogromną na to ochotę! – nie dawała za wygraną Katarzyna. – Od dawna wierzył, że „ona wróci”! Dla dobra królestwa i przeżytej przygody pod jej sztandarami, dla radości służenia Bogu, wreszcie dla wojaczki, która jest całym jego życiem!

– I odnajdzie to wszystko! Na nowo będziemy walczyć ramię w ramię! Gorzki uśmiech Katarzyny zamienił się w pogardę.

– Kogo chcesz o tym przekonać? Jaki rodzaj sławy czeka pana de Montsalvy pod twym kłamliwym przywództwem? A jeśli tak, to dlaczego nie ma go przy tobie?

– Dlatego, że zbiera zastępy w moim imieniu i że...

Tym razem przerwał jej okrzyk księżnej, w którym niedowierzanie mieszało się z oburzeniem.

– Joanno! Ależ to, co mówisz, jest kłamstwem i sama wiesz o tym dobrze! A ja myślałam, że ty nigdy nie kłamiesz, że nawet nie wiesz, co to jest kłamstwo!

– Prawdziwa Joanna nie wiedziała! – podjęła Katarzyna. – A ta tu kobieta jest wcieleniem kłamstwa! Sądzę jednak, że znam sposób, by to udowodnić. Powiedz no, moja panno, gdzie spotkałaś mnie po raz pierwszy? – spytała zwracając się do przeciwniczki i licząc w duchu na to, że Arnold nie wspominał przy niej wejścia Joanny do Orleanu, kiedy to Dziewica uratowała Katarzynę od szubienicy, na którą posłał ją on sam przez swą obłądną zazdrość. Takie wspomnienia zostawia się w spokoju...

Fałszywa Joanna zachnęła się ze zniecierpliwieniem.

– Już raz mówiłam: spotkałyśmy się w Reims z okazji sakrum.

– Nie było mnie tam wtedy!

– Jak się przeżyło to co ja, trudno spać wszystkie twarze! – odparła ze złością. – Myślę, że mogło to być w Orleanie... Tak, w Orleanie.

– A w jakich okolicznościach, za pozwoleniem?

Serce Katarzyny waliło jak oszalałe, lecz uspokoiło się widząc, że kobieta na próżno wysiła umysł, by wymyślić coś sensownego.

– Orlean... Tłumy ludzi, krzyki... Właśnie zdobyliśmy twierdzę des Tourelles... Pani zbliża się do mnie...

– Nie! Nie! Nie! – Krzyk Katarzyny zabrzmiał jak trzaśnięcie bicia. Jednocześnie hrabina rzuciła się do stóp Elżbiety. – Błagam, niech Wasza Wysokość rozsądzi! W chwili wjazdu do Orleanu Joanna d’Arc uratowała od szubienicy kobietę skazaną na kaźń. Tą kobietą byłam ja sama!

Księżna zeszywniała z wrażenia.

– Pani?...

– Ja sama! Nazywałam się wtedy Katarzyna de Brazey, lecz przybyłam do Orleanu za ukochanym człowiekiem, Arnoldem de Montsalvy, który następnie został moim mężem. Aresztowano mnie i skazano, ponieważ podejrzewano, że jestem szpiegiem Filipa Burgundzkiego.

– ...którego byłaś wtedy kochanką! – uzupełniła księżna. – Zaczynam rozumieć... Wstań, pani, teraz zaczynam ci wierzyć...

– Musisz mi uwierzyć, pani! Przed Bogiem, który nas widzi, i na zbawienie mej duszy przysięgam, że ta kobieta nie jest Joanną d’Arc!

Nieoczekiwanie w oczach księżnej pojawiły się łzy. Wróciła do ołtarza wolnym, osowiałym krokiem, jakby ciążył jej tren sukni.

– Jaka szkoda... A tak wierzyłam w ten cud... Tyle nadziei na nic... widocznie przekleństwo wisi nad naszym rodem, ponieważ on wydał człowieka, który sprzedał Joannę Anglikom!

– To nieprawda! – krzyknęła pani des Armoises czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by odzyskać utracony grunt. – Ta kobieta łże! Ja jestem prawdziwą Joanną i zapewniam cię, pani, że dom luksemburski jeszcze zawładnie Europą!

Jednak próżne były już jej wysiłki. Czar prysł i awanturnica straciła całą moc nad łatwowierną księżniczką, która jak rozkapryszone dziecko odrzuciła w jednej chwili przedmiot tak jeszcze przed chwilą pożądanym, ponieważ stracił swą doskonałość...

– Wiesz dobrze, że mnie oszukałaś! Powinnam wrzucić cię do lochu, ale nie zrobię tego ze względu na twego małżonka, Roberta des Armoises'a, który jest dzielnym rycerzem. Lecz ty natychmiast opuścisz Arion i udasz się do swojej Lotaryngii, żebyśmy mogli zapomnieć o naszym błędzie!

Fałszywa Joanna nie wydała się ani zawstydzona, ani przybita wygnaniem. Przeciwnie, dumnie się wyprostowała, a w jej wzroku czaiło się wyzwanie. Pokonana księżna wyszła z kaplicy, zostawiając dwie kobiety sam na sam.

Przez chwilę przyglądały się sobie w napięciu.

– Kim jesteś naprawdę?... – nie wytrzymała pierwsza Katarzyna.

– Jestem córą Francji, a moja matka jest królową!

– Jeśli jesteś córką tej ladacznicy Izabeli, nie jesteś córą Francji... Ale to nie wyjaśnia twego podobieństwa z Joanną...

– Może jestem jej siostrą?

– Joanna miała tylko jedną, młodszą od siebie siostrę, Katarzynę... Ale kobieta nie słuchała. Spojrzała w okno i wydawało się, że w jednej chwili jej myśli uleciały daleko stąd i że zapomniała o wszystkim, co się przed chwilą zdarzyło.

– Teraz... nazywam się Claude! Powinnam mieszkać w pałacu... o wiele piękniejszym od tego, mieć damy do towarzystwa, paziów, klejnoty... a żyłam w nędznej chacie w głębi lasu, wychowywali mnie prości chłopcy, których nie mogłam znieść! Kiedy dorosłam, uciekłam po dzieleniu ich pałką. Znalazł mnie w lesie jeden żołnierz. Został moim kochankiem i nauczył mnie, jak należy się bić. Ja też walczyłam jak Joanna! Kocham wojaczkę! Można się nią upić jak młodym winem!...

– A kim był twój ojciec?

– Czy to ważne?... Może był księciem, może nawet królem... królem czworga królestw... a może był tylko zwykłym służącym. Może ja wiem, a może nie...

Umysł Katarzyny pracował na pełnych obrotach. Ta awanturnica zadała jej zagadkę, której nawet nie będzie próbowała rozszyfrować. Oczywiście, Izabela Bawarska, smętna małżonka szalonego Karola VI, wydała ostatnie swe dziecię na świat 10 września 1407 roku i z pewnością trudno było królowej ukryć stan błogosławiony. Lecz w przypadku Izabeli nie było to niemożliwe. Po pierwsze dlatego, że była bardzo tęga i cały czas sylwetkę miała zdeformowaną i zwalistą, po drugie od dawna nie prowadziła życia publicznego, pędząc smutne

dni w swym zamku lub w pałacu Barbette, polegając w łóżku, sama lub w towarzystwie, napychając się słodyczami i jadłem wszelakim. W chwili śmierci księcia orleańskiego, jej oficjalnego kochanka, miała zaledwie trzydzieści sześć lat i nie należała do kobiet potrafiących obejść się bez mężczyzny... Swoją urodą zaś wielkiej lwicy o rudej grzywie, przyciągała niejednego amatora. A ta kobieta wspomniała o królu czworga królestw... Czy to możliwe, aby Ludwik Andegaweński, mąż Yolandy, ojciec króla René dał się wciągnąć do łóża królewskiej rozpustnicy, którą jego własna małżonka otwarcie pogardzała? Mężczyźni bywają doprawdy dziwni...

Katarzyna spojrzała nagle z litością na tajemniczą kreaturę. Czy kiedyś ktoś odgadnie sekret jej pochodzenia, tajemnicę jej anielskiej twarzy i nieprzeniknionej duszy pełnej ciemnych zakamarków?...

– Dlaczego nie chcesz zadowolić się godnym życiem u boku kochającego męża? Po co ci szukać przygód, kiedy znalazłaś spokojną przystań?

– Być może posłucham twej rady – odparła kobieta uśmiechając się zagadkowo.

– Zrobisz, jak zechcesz... Lecz zanim się rozstaniemy na zawsze, powiedz mi tylko jedno: gdzie jest mój mąż?

– A dlaczego miałabym to uczynić?

– Być może dlatego, że sama jesteś mężatką. Arnold ma dzieci, lenno, wasali, którzy go potrzebują. On musi wrócić do Montsalvy!

Zaległa cisza, przerywana lekkim brzękiem złotego łańcucha, którym wojownicza kobieta zaczęła się bawić. Śledzona niespokojnym spojrzeniem Katarzyny, powoli ruszyła ku drzwiom kaplicy. Zdawała się nie słyszeć błagalnych słów przeciwniczki. Katarzyna bojąc się, że wyjdzie nie udzielwszy odpowiedzi, miała je powtórzyć, gdy nagle na samym progu Claude des Armoises odwróciła się i rzekła:

– On wraca do domu!

– Jesteś pewna?

– Ranny wilk potrzebuje swej nory, by lizać rany. Arnold de Montsalvy wierzył we mnie... może nawet mnie kochał... Lecz dowiedziawszy się o moim zameściu, przestał we mnie wierzyć... gdyż zrozumiał, że nie jestem Tamtą! Odjechał przeklinając moje imię! Możesz wracać do domu, pani! Tam go odnajdziesz...

Claude otworzyła drzwi i wyszła z kaplicy. Wszystko się skończyło. Zwycięstwo Katarzyny było całkowite, toteż jak na skrzydłach ruszyła w drogę powrotną za kobietą w czerwonej sukni, która pojawiła się w kaplicy niczym wróżka. Jej radosna mina uderzyła dwóch chłopców smętnie siedzących na schodach pod uważnym okiem służącego. Z dziecinną lekkością ucałowała jednego i drugiego ku wielkiemu oburzeniu służącego.

– Czy to znaczy, że wygraliśmy? – spytał Walter, poczerwieniawszy jak burak od pocałunku swej pani.

– Całkowicie! Wracamy do domu! Pan Arnold na nas czeka! Nowina ta spowodowała wybuch entuzjazmu pazia, który od dawna tęsknił za swoimi owerniackimi górami, swoją rodziną... i swą śliczną kuzynką Hauvette. Ale Walter, którym kierowały inne emocje, powstrzymał grymas niezadowolenia. Myśl o spotkaniu pana de Montsalvy, za którym nie przepadał, wcale nie była mu miła. Był jednak zbyt oddany i przywiązany do Katarzyny, by myśleć o

rozstaniu z nią, o powrocie do studenckiego życia i do przerwanych studiów w Paryżu. Uśmiechnął się kwaśno, zostawiając dla siebie niezbyt wesołe refleksje. Pan Arnold może i na nich czekał... nie wiadomo tylko, w jakim nastroju... Ostatnie stosunki z żoną nie pozwalały spodziewać się dobrego przywitania...

– Czy wyruszymy jeszcze dzisiaj? – spytał Bérenger z cichym westchnieniem nadziei.

– Zatrzymamy się tu jeszcze trzy lub cztery dni, by podziękować Bogu, że pozwolił nam doprowadzić do końca nasze misje, i nabrać sił przed ruszeniem do domu. Droga do Montsalvy jest długa i ciężka...

W Wigilię Katarzyna udała się do katedry, by błagać Boga o przebaczenie za grzechy. Wylanie potoku okropieństw, goryczy i historii nocy w Spalonym Młynie do anonimowego ucha księdza, do którego należał niewyraźny zarys profilu i dychawiczny oddech, zrobiło jej tak dobrze jak zbyt pełnemu żołądkowi zwymiotowanie przepelniającej go treści. Z lżejszym sercem udała się ze swymi chłopcami na pasterkę. Uczestniczył w niej cały dwór Elżbiety Luksemburskiej, do którego fałszywa Joanna już nie należała...

Lecz ani przepych odświętnych strojów, ani blask klejnotów nie przyciągał jej wzroku. Pragnęła tylko jednego: odnaleźć spokój domowy, śmiech dzieci i cieniste ostępy Lasu Kasztanowego, kryształowe strumienie i ostre zbocza ukochanej Owernii... tylko tam ciężące wspomnienia mogły ulecieć porwane wiatrem od gór...

Ale Bóg widocznie postanowił nie zakończyć jeszcze jej udręki. Kiedy bowiem następnego dnia raniem chciała wstać z łóżka słysząc Anioł Pański, nagle zrobiło się jej niedobrze, w głowie się zakręciło, serce zaczęło walić jak szalone i straszliwe mdłości zawładnęły jej ciałem...

Kiedy nieomaganie minęło, usiadła na łóżku jak porażona gromem, nie mogąc się poruszyć i wybuchnęła szlochem.

A więc jednak nie było jej dane wrócić do Arnolda!... Ani teraz... ani nigdy!... Potworne zajścia zaaranżowane przez Paniczyka w Spalonym Młynie zostawiły swój ślad. Katarzyna znajdowała się w stanie odmiennym...

Rozdział siódmy

WYŚLANNIK NIEBIOS

Łagodnie i z pewnym rodzajem czułości Katarzyna wyciągnęła sztylet z aksamitnej pochwy. Krogulec wyrzeźbiony na rączce odnalazł swe miejsce w zagłębieniu dłoni. Był to jej stary przyjaciel... wierny towarzysz czarnych dni i niebezpiecznych chwil. Często, gładząc u paska jego znajomy kształt, przepędzała strach odzyskując odwagę, gdyż był jej ostoją, jej ostatnią szansą... Jednak tamtej okropnej nocy w Spalonym Młynie nie miała go u boku, ponieważ go zapomniała... Dzisiaj przyszło jej prosić go o największą... ostatnią przysługę, której wtedy nie mógł jej oddać...

Blady promień słońca, jak gwiazdka śniegowa, tego dnia Bożego Narodzenia rozblęsnął na błękitnym ostrzu, którego dotknęła drżąca dłonią. Nie bała się. Ze śmiercią spotkała się już wiele razy w życiu i stała się jej znajoma. Zadając sobie śmierć, uniemożliwiła zbawienie duszy, lecz to już jej nie obchodziło. Nieskończona sprawiedliwość, Bóg, czyż nie jest równocześnie nieskończonym miłosierdziem? Poza tym ginąc z własnej ręki, ochroni Arnolda przed dokonaniem zbrodni, a była przekonana, że pan de Montsalvy nie oszczędzi żony zbrukanej do tego stopnia. Być może – i taką żywiła nadzieję – przebaczyłby gwałt, lecz nie przebaczy jego żywego dowodu...

O ileż łatwiej byłoby umierać w Montsalvy.. Ale jak tam wrócić z owocem hańby, który załagał się podstępnie w jej ciele? Jak ucałować Michała i małą Izabelę ustami zbezczeszczonymi przez tyle plugawych ust?... Jak spojrzeć w oczy mężowi i tym wszystkim poczciwym mieszkańcom Montsalvy, którzy z czułością nazywali ją „naszą panią” i szanowali ją jak prawdziwego anioła?...

Najlepiej będzie, jeśli odejdzie teraz... natychmiast, tego bożonarodzeniowego poranka, najpiękniejszego i najradośniejszego dnia w roku... Jej dusza uleci do Boga... do Boga, który zna jej cierpienia i nie odepchnie jej na pewno!...

Spokojnie uklękła na posadzce do ostatniej żarliwej modlitwy, polecając Panu wszystkich, których kochała bardziej niż siebie samą. Następnie rozczesała włosy i napisała list do Waltera, zaklinając go, by nie podążał jej śladem, po czym, odziana jedynie w białą koszulę z surowego lnu, rozciągnęła się na łożu, chwyciła sztylet pewną ręką, zamknęła oczy i uniosła dłoń...

Gwałtowne pukanie zawiesiło w powietrzu śmiertelny gest, zatrzymując dłoń gotową zadać cios prosto w serce...

– Katarzyno!... Pani Katarzyno!... Obudź się!... Ktoś chce się z tobą widzieć!... Otwórz, proszę!...

Nie odpowiedziała od razu, lecz jej ramię powoli opadło wzdłuż ciała. Życie, za pośrednictwem tego młodego i wesołego głosu, wzywało ją tym mocniej, iż zdawało się zwiastować dobrą nowinę... I choć nie wiedziała, co dobrego mogło ją spotkać w chwili obecnej, zapomniała, że pragnie umrzeć...

Może dlatego, że tak naprawdę wcale nie chciała umierać, że śmierć traktowała jak zło konieczne, a umiłowanie życia, jakie nosiła w sobie, kazało

jej mieć nadzieję aż do ostatniej chwili, że stanie się cud... cud, którego wzywała podświadomie.

Chciała przemówić, spytać, kto przyszedł, lecz żaden dźwięk nie dobył się z jej gardła. Tymczasem Walter naciskał niecierpliwie:

– Pani Katarzyno!... Pani Katarzyno!... Nie słyszysz? Jeszcze śpisz? Przyprowadziłem przyjaciela...

Przyjaciela?... Skąd tu przyjaciel?... Jednak to magiczne słowo tak na nią podziało, że wyskoczyła z łóżka upuszczając sztylet, który z tępym łoskotem upadł na posadzkę, podbiegła boso do drzwi i otworzyła je z rozmachem.

– No, wreszcie! – powitał ją giermek. – Zobacz sama, Katarzyno! Mam nadzieję, że nie skłamałem! To chyba przyjaciel?...

Na widok człowieka stojącego w ciemności korytarza, którego czarną sylwetkę i skomplikowane nakrycie głowy widać było w świetle rzucanym przez szparę w drzwiach, Katarzyna zamarła...

Nowo przybyłym był Jan Van Eyck...

Oboje równocześnie rzucili się sobie w ramiona, ściskając się z braterskim entuzjazmem, który nie pozostawił najmniejszej wątpliwości młodemu de Chazayowi co do intensywności wzajemnych uczuć tych dwojga.

– To naprawdę pani?...

– To naprawdę pan?...

Tylko takie okrzyki słyszał giermek.

Słynny malarz, pokojowiec księcia Filipa Burgundzkiego, a najczęściej jego nieoficjalny wysłannik w delikatnych sprawach, Jan Van Eyck był istotnie jednym z najstarszych przyjaciół Katarzyny. Poznała go będąc królową Brugii i uwielbianą kochanką Filipa...

W tamtych czasach Jan namalował wiele portretów Katarzyny, lecz ostatni namalował niedawno... z pamięci. Było to wyborne Zwiastowanie, które ozdabiało kaplicę pani de Montsalvy...

Ich poprzednie spotkanie odbyło się dwa lata temu w pewną burzową noc w przytulisku w Roncevaux, gdzie Katarzyna i jej towarzysze pielgrzymi zatrzymali się w drodze do Compostelli. Wtedy Jan Van Eyck przybył, by porwać Katarzynę do księcia Filipa. Lecz ona, tropiąc swego kapryśnego męża, wymknęła się staremu przyjacielowi, który zagroził jej wolności.

Malarz nie miał jej tego za złe i teraz czule ścisnął ją w ramionach jak ojciec, który odnalazł dziecko marnotrawne.

– Kiedym usłyszał na dole, jak ten młody człowiek prosi o gorące mleko dla pani de Montsalvy, nie mogłem zrazu uwierzyć własnym uszom! – krzyczał śmiejąc się i płacząc zarazem, co było niespotykane u tego spokojnego i zimnego mężczyzny. – Co porabiasz w Luksemburgu? Pozwól, niech ci się przypatrzę!

Cofnąwszy się, trzymał ją za ramiona, toteż ślady jej łez nie uszły jego uwagi. Powtórzył więc swoje pytanie marszcząc brew.

– Co robisz u popieczniczki Burgundii? Czyżbyś znowu przypadkiem poszukiwała swego niepoprawnego męża?

– A co ci pozwala o tym sądzić, panie?

– Twoje czerwone oczy...

– Wiem, że nigdy go nie lubiłeś – przerwała Katarzyna. – Lecz nie tylko on potrafi wycisnąć z mych oczu łzy. Zresztą wiem, gdzie jest: u nas w

Montsalvy! W Montsalvy! I właśnie dzisiaj miałam do niego wyruszyć!...

Mówiła szybko i z przekonaniem, lecz Walter, który wszedł do pokoju za malarzem, zauważył sztylet leżący na grysowej posadzce, zauważył list oparty o żelazny świecznik, a ponieważ był adresowany do niego, wziął go, przeczytał... z jego ust dobył się okrzyk gniewu.

– A więc, chciałaś to zrobić! Pomimo danej mi obietnicy!... Panie!

– krzyknął, rzucając się w stronę Van Eycka i wciskając mu list Katarzyny w dłoń. – Przeczytaj, panie, i dowiedz się, w jaki sposób twoja przyjaciółka chciała nas opuścić!

– Walterze! – burknęła Katarzyna. – Oddaj mi list, a chyżo! Jak śmiesz?...

– A ty, pani, jak śmiałaś? I dlaczego?... Dlaczego?...

– Skoro przeczytałaś list, to już wiesz...

– Nie mogę jednak uwierzyć!... To nierozumne... nie zasługujące...

– bełkotał nieszczęsny giermek z przejęciem, chwyciwszy się za głowę.

– Tymczasem artysta szybko przeczytawszy list spojrział na Katarzynę z niedowierzaniem.

– To niemożliwe... Chyba nie zamierzałaś?... Spuściła wstydliwie głowę.

– Nie miałam innego wyjścia... Gdybyście nie przybyli w porę, byłoby już po wszystkim...

– Dzięki Bogu! – westchnął z ulgą Jan. – Widzę, że Bóg przysłał mnie tu specjalnie, muszę więc znaleźć sposób, by ci pomóc! Opowiedz mi całą historię, mój chłopcze! Zejdziemy napić się grzanego wina i zamówimy posiłek. W tym czasie twoja pani ubierze się. Obiecuj mi jednak, Katarzyno, że nie będziesz próbować... Zresztą, zabieram sztylet!

– Nie trzeba, Janie... Masz moje słowo. Za chwilę zejdę do was. Powiedz mi jednak, skąd się tutaj wzięłaś. Nie mogę uwierzyć, że zjawiasz się z rozkazu Boga, żeby mnie uratować?

– Jestem tutaj z rozkazu Filipa, by donieść księżnej, że więcej nie pożyczysz jej pieniędzy. Ta kobieta to istny worek bez dna. Ma same długi i jeśli tak dalej pójdzie, to zostanie tylko jedno rozwiązanie...

– ...sprzedać księstwo księciu Burgundii, czy tak? – domyśliła się Katarzyna. – No, no, księżę ciągle taki sam – dodała z półśmiechem. A ty, Janie, jak zwykle podjąłeś się niewdzięcznego posłannictwa.

Po wyjściu obu mężczyzn Katarzyna zrobiła pośpieszną toaletę i ubrała się. Odkryła ze zdziwieniem, że jest jej zimno, że jest głodna... i że chce jej się żyć. Nie wiedziała, jaką pomoc miał na myśli Van Eyck, lecz знаła jego mądrość, ostrożność i spryt, które to zalety, prócz wielkiego talentu, czyniły zeń jednego z najcenniejszych sług Filipa.

Po niedługiej chwili odświeżona, starannie zaczesana i ubrana dołączyła do dwóch panów oraz Bérengera siedzących przy suto zastawionym stole nie opodal kominka.

Zabrano się do biesiady. Choć Katarzyna nie była łakoma, to jednak tego poranka wszystkie potrawy smakowały jej wyśmienicie. Odkrywała na nowo smak szynki z Ardenne, wspaniałej kiszki świątecznej z ziołami, pianistego mleka i rozpluwających się na języku bułeczek ledwo co wyjętych z pieca.

Na koniec smakowano wódkę z borówek, a kiedy napój rozgrzał umysły, biesiadnikom rozwiązały się języki. Van Eyck z niedowierzaniem wysłuchawszy opowieści o tym, co zdarzyło się w Spalonym Młynie, zasepił się

i wreszcie zabrał głos.

– Myślę, Katarzyno, że powinnaś udać się do Brugii. Mieszka tam pewna Florentynka, poddana mego klienta i przyjaciela, bogatego kupca Arnolfini. Kobieta ta zyskała potajemną sławę... wybawiając z kłopotu niejedną dwórkę księżnej, którą jaśniepan raczył zaszczycić swymi względami. Jest droga, lecz można oddać się w jej ręce bez obawy.

– Nie możesz teraz wracać do Montsalvy – poparł malarza Walter. – Musisz jechać do Brugii. Kilka tygodni zwłoki nie zaszkodzi sprawie!

– A poza tym drogi górskie są w zimie nie do przebycia – podsumował Bérenger, który nagle zapalał chęcią ujrzenia słynnej Flandrii, o której podróźni opowiadali istne cuda.

– I co ty na to, Katarzyno? – spytał Van Eyck.

Katarzyna ogarnęła całą trójkę spojrzeniem pełnym wdzięczności.

– Co za szczęście mieć takich przyjaciół jak wy!... Pojedziemy do Brugii, i to jak najszybciej!

Dwa dni później czwórka podróżnych opuściła Arion i po tygodniu dotarła do Lille.

– Nareszcie! – westchnął Van Eyck, którego w drodze męczył nieznośny katar.

– Myślałem już, że nigdy nie dojedziemy!

– To przecież jeszcze nie koniec naszej wędrówki – odparła Katarzyna spoglądając na niego podejrzliwie. – Jesteśmy zaledwie w Lille, nie w Brugii!

– Wiem, wiem... Lecz czy nie moglibyśmy się zatrzymać dwa dni... w przeciwnym razie dojadę do domu na noszach i z zapaleniem płuc!

– Dobrze, przyjacielu, chociaż boję się pobytu w Lille i chciałabym jak najszybciej stąd wyjechać.

– Dlaczego? Myślałem, że lubisz panią Simone Morel i że ucieszysz się ze spotkania z nią.

Ruchem głowy Katarzyna wskazała na wielkie chorągwie z herbem Burgundii, które łopotały na wieżach pałacu, obwieszczając obecność księcia.

– Z nią tak... lecz nie z księciem! Nie chciałabym, by dowiedział się o moim przyjeździe!

– Skąd taki pomysł? – odburknął Van Eyck.

– Bo obawiam się, że ty sam mu o tym powiesz, oczywiście przez przypadek!

Van Eyck poczerwieniał aż po czubek głowy i zdawał się wielce obrażony.

– Czy sądzisz, że byłbym zdolny do takich machinacji?

– Nie wiem, lecz przestańmy się kłócić. Obiecuj mi tylko, że uczynisz wszystko, bym nie spotkała się z księciem!

Van Eyck mruknął coś przez zęby, szczerzej owinął się płaszczem postanawiając się poddać.

– Dobrze, już dobrze... Masz moje słowo... lecz pozwól sobie powiedzieć, że to nierozsądne!

Po przejechaniu bramy miasta skierowano się do domu Morelów, który znajdował się niedaleko książęcego pałacu. Pomimo że zapadła noc, miasto nie zamierzało udać się na spoczynek. Wręcz przeciwnie: przygotowywało się do

ostatniego święta znaczącego czas Bożego Narodzenia: do obchodów święta Trzech Króli, które miały odbyć się następnego dnia.

Serce miasta oświetlało mnóstwo koszuw żarowych. Zewsząd rozbrzmiewały dzwony, wzywając ludność do katedry na wielką, wieczorną uroczystość. W wąskich uliczkach zamieciono śnieg i rozłożono słomę, po której za chwilę miała przejść procesja książęca. Grupki dzieci, które przebrane za króli biegały od domu do domu śpiewając kolędy, obdzielano ciastkami i słodyczami, chętnie wkładanymi przez gospodynie do ich koszyków.

– Oto i dom twojej przyjaciółki – powiedział nagle Van Eyck, wskazując na piękny budynek z rzeźbionymi oknami i czerwono-złotym dachem.

W chwili gdy mieli przebyć przestrzeń, która ich od niego oddzielała, niedaleko odezwała się fanfara trąbek. Katarzyna odwróciła głowę i ujrzała, że bramy pałacu książęcego otworzyły się, uwalniając morze światła i dźwięków, po czym zobaczyła pochód trębaczy dmających w długie, srebrne trąbki, ubranych w aksamitne stroje z wyszywanym herbem książęcym, udających się do Notre Dame, by uczestniczyć w poświęceniu wody, na pamiątkę chrztu Chrystusa, oraz złota, kadzidła i mirry na pamiątkę Trzech Króli.

Zgromadzony tłum oddzielił Katarzynę od towarzyszy i zepchnął w róg placu, skąd mogła oglądać rzekę złota, purpury i światła, zastępy paziów, giermków, panów i dam, a wśród nich samego księcia Filipa.

Szedł pieszo trzymając księżną Izabelę za rękę. Jak zwykle odziany był na czarno, a na jego piersi lśnił łańcuch z diamentów, pereł i rubinów dopasowany do wielkiej agrafki błyszczącej przy berecie. Katarzyna pomyślała, że nic się nie zmienił od czasu ich dramatycznego spotkania pod murami Compiègne. Może trochę schudł... wydawał się bardziej wyniosły, bardziej pewny siebie i swojej władzy. Wtedy miała przed sobą tylko księcia Burgundii. Teraz był księciem, którego na dworach Europy nazywano coraz częściej wielkim księciem Zachodu. Patrząc zaś na jego małżonkę, Izabelę Portugalską, odnosiło się wrażenie, iż nosi książęcą koronę, jakby to była korona cierniowa.

Wybuch entuzjazmu powitał książęcą parę. Człowiek stojący nie opodal Katarzyny, zbudowany jak drwal, wykrzyknął gromkie „Hura”, a po nim „Niech żyje nasz dobry książę, niech żyje nasza dobra księżna!”, że aż zadrzało powietrze. Filip odwrócił głowę, szukając właściciela tak mocnego gardła.

Ale nie dane mu było nigdy go poznać, gdyż jego zimne spojrzenie, błędząc nad falującym morzem głów, zahaczyło o konia i jeźdźca... i nagle zamarło, a przez jego plecy przebiegł dreszcz. Katarzyna, nie mogąc się ani ruszyć, ani odwrócić własnego wzroku, zobaczyła, jak lodowato-niebieskie oczy ożywiło zaskoczenie i niedowierzanie, a potem radość. Wtedy zrozumiała, że została rozpoznana, wpadła w panikę, chciała uciec, lecz tłum naciskał coraz gęściejszy i nie mogła się ruszyć pożerana wzrokiem księcia, który kiedyś tak ją kochał...

Zaskoczony książę mimowolnie zatrzymał się, wypuszczając dłoń małżonki, która z kolei starała się odgadnąć przyczynę jego zachowania. Katarzyna, czerwona aż po czubek głowy, musiała znieść ciężar dwóch spojrzeń, a potem wielu innych.

Wśród tłumy rozległy się szmery, nad którymi i wziął górę pogardliwy

głos księżnej:

– Chodźmy, panie! Czeka ją na nas!

Książę z żalem ujął dłoń żony i oddalił się, a jego śladem ruszył błyszczący, różnokolorowy pochód, który wkrótce zniknął Katarzynie z oczu. Za książecą parą przeszli król René i konetabl de Richemont, który przybył pertraktować na temat okupu za królewskiego więźnia.

Dopiero kiedy zniknął ostatni tren, ostatni dworzanin i tłum rozstąpił się, Katarzyna mogła dołączyć do towarzyszy. Oczywiście przenikliwemu spojrzeniu Van Eycka nie uszło niedawne zajście.

– Rozpoznał cię, czyż nie?

– Bez wątpienia! Nie mogę tu zostać, Janie! Wolę las, wilki, zimno, niż zostać tu minutę dłużej! Pomóż mi opuścić miasto, przyjacielu!

– Jakże ja miałbym pomóc ci wyjść? Bramy są zamknięte i wierz mi, że rozkazy są ścisłe, by pozostały zamknięte przez cały czas trwania uroczystości! Chcesz narażać niewinnych ludzi, bo obawiasz się... właśnie, czego właściwie się obawiasz? Że zostaniesz zatrzymana? Nie zrobiłaś nic złego! Że książę będzie próbował się z tobą spotkać? Przecież nie wie, gdzie zatrzymasz się na noc! Uwierz mi! Pozwól, bym zaprowadził cię do twej przyjaciółki, Simony Morel. Znajdziesz tam odpoczynek, którego zarówno ty, jak i ci chłopcy potrzebujecie nade wszystko. Ja zaś po ceremonii udam się do pałacu zdać relację z mej misji. A jutro, skoro tylko otworzą bramy, opuścimy Lille...

– Nie powiesz mu o mnie? Przysięgasz? Malarz uśmiechnął się smutno i odparł:

– Mógłbym się pogniewać, lecz widzę cię tak przerażoną! Przysięgam! Nie dowie się, że przybyłem tu wraz z tobą. A teraz chodźmy...

Widocznie jednak nie było pisane Katarzynie dotrzeć do domu Simony Morel, gdyż w tej chwili podbiegł do nich młody człowiek w jedwabnym stroju, skłonił się z wielkim szacunkiem i zwrócił się do Van Eycka.

– Jeśli ta dama, panie, jest, jak przypuszczam, panią de Montsalvy, uczyn mi zaszczyt i przedstaw mnie jej.

Widząc, że za młodzieńcem zbliża się oddział uzbrojonych strażników, Van Eyck, chcąc nie chcąc, przystał na prośbę nieznanego.

– Jeśli tak ci na tym zależy... Droga przyjaciółko, pozwól, bym ci więc przedstawił pana Roberta de Courcelles'a, giermka Jego Wysokości księcia... Czy życzysz sobie jeszcze czegoś, panie Robercie?

– Nie, dziękuję, panie Van Eyck! Pani – dodał zwracając się do Katarzyny – mój pan, książę Filip, przysyła mnie do ciebie z prośbą, byś zechciała mi towarzyszyć, gdyż pragnie, po skończonej ceremonii, rozmawiać z tobą!

– Towarzyszyć ci, a gdzie to? – spytała z wyższością.

– Do pałacu, pani, gdzie zostaniesz przyjęta z wszelkimi honorami i gdzie dużo czasu nie zabawisz, jak mnie zapewniono...

– Dokąd nie pójdę, panie! – ucieła. – Przekaż swemu panu, że go pozdrawiam i oddaję hołd godny jego urodzeniu i randze, lecz dziękuję za zaproszenie, przybywam bowiem z długiej drogi, jestem zmęczona i niczego nie pragnę bardziej w tej chwili, jak odpocząć przy ciepłym kominku...

– Nie zabraknie ci tam kominków, pani – przerwał de Courcelles zdradzając oznaki zdenerwowania – a dostałem rozkaz, by nie wracać bez ciebie!

– Czy to znaczy, że jestem aresztowana?

– W żadnym razie... lecz księżę pragnie chwili rozmowy i wiesz dobrze, że nie pozwala, by podważać jego rozkazy... czy zaproszenia. Chodź więc, nie dając się dłużej prosić... lub jeśli chcesz odpocząć przed audiencją, mam rozkaz towarzyszyć ci tam, gdzie się udasz, poczekać na ciebie... a następnie zaprowadzić cię do pałacu!

Van Eyck przysłuchiwał się przemowie giermka z coraz większym zaniepokojeniem. Kiedy Katarzyna spojrzała nań pytającym wzrokiem, pokręcił głową i wycedził przez zęby:

– Obawiam się, że nie możesz tego uniknąć, w przeciwnym razie...

– Narażę na niebezpieczeństwo tych, którzy udzielą mi gościny, czyż tak? Doskonale zrozumiałam! A więc – dodała zwracając się do księżęcego giermka – sądzę, że nie pozostaje mi nic innego, jak pójść z tobą. Uczynię to jednak pod dwoma warunkami!

– Jakimi?

– Oddalisz zbrojną eskortę nadającą twojemu posłannictwu nieprzyjemny charakter. Sądzę, że nie jest potrzebna, skoro przyjąłam zaproszenie.

– To naturalne! A co dalej?

– Moi towarzysze pojedą wraz ze mną i będą czekali do zakończenia audiencji, żeby zaprowadzić mnie tam, gdzie się udaję.

– Ja również pójdę z tobą, pani! – zawołał Van Eyck.

– Lepiej nie. Wolę, byś udał się do Simony i prosił ją o gościnę na tę noc. Tak więc, panowie, nie odpowiedzieliście na moje pytanie: czy mogę zabrać z sobą giermka i pazia?

Courcelles wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem.

– Na ten temat nie dostałem rozkazów, lecz sądzę, że zwyczaje dworu zezwalają na to.

– Tak więc, ruszajmy! Do rychłego zobaczenia, mistrzu Janie!

I nie czekając nawet na Roberta de Courcelles'a, pani de Montsalvy skierowała konia do siedziby dawnego kochanka, zdecydowana, że wyjdzie stamtąd z tarczą lub na tarczy.

Rozdział ósmy

NOC KRÓLÓW

Filip Burgundzki pojawił się w wąskiej galerii oświetlonej wysokimi, czerwonymi świecami, gdzie zostawił Katarzynę de Courcelles, i nagle czas stanął w miejscu.

Książę praktycznie się nie zmienił. Co prawda minęło tylko siedem lat od ostatniego spotkania. Ciągłe był szczupły i dumny... tylko być może w kącikach ust pojawiło się kilka zmarszczek.

Zginając kolano, Katarzyna trwała w głębokim ukłonie, który pozwalał na zachowanie dystansu.

– Jaśnie Panie...

Lecz książę trzema szybkimi susami był przy niej, chwycił ją za ramiona, by ją podnieść, i trzymał na wyciągnięcie ramion, chcąc lepiej się jej przypatrzeć zadziwiając ją tą gwałtowną zmianą, jaka w nim zaszła w ciągu kilku chwil: z zimnego i wyniosłego księcia zmienił się w szczęśliwego człowieka.

– A więc jednak cuda istnieją! – wykrzykiwał. – Ileż to już lat błagam niebiosa, by mi ciebie zwróciły! Kiedym cię ujrzał w tłumie, pomyślałem, że moje prośby zostały wysłuchane!

– Nie wysłuchały cię, panie... Ja nie wróciłam do ciebie... Książę, próbując ją do siebie przyciągnąć, zmarszczył brwi.

– W takim razie co robisz we Flandrii... i to w tym męskim przebraniu?

– Wiesz dobrze, książę, że zawsze używałam do jazdy stroju nieporównanie wygodniejszego od sukni, a zatrzymałam się w Lille jedynie na jedną noc...

– Nie przyjechałaś więc odwiedzić swego księcia?...

Filip zdawał się powrócić do poprzedniej sztywnej postawy. Katarzyna zastanawiała się, jaką wymyślić przyczynę swego przyjazdu do Lille;

przecież nie mogła opowiedzieć księciu o swojej hańbie i nocy w Spalonym Młynie ani wyjawić celu swego wyjazdu do Brugii... Po chwili jednak uśmiechnęła się, gdyż pewna myśl przyszyła jej do głowy.

– Przybyłam, by odwiedzić serdeczną przyjaciółkę! – odparła bez wahania.

– Jak się nazywa?

– Pani Morel-Sauvegrain. W jej domu w Dijon spędziłam całą jesień.

– No proszę! Cóż to musi być za przyjaźń, zdolna wyrwać hrabinę de Montsalvy z jej gór Owernii, z dworu króla Karola, od ukochanego męża! Chyba że ta przyjaźń jest tylko pretekstem do ciekawości... płatnej ciekawości!

Uśmiech Katarzyny zniknął. Wyprostowała się dumnie i utkwiała wzrok pełen oburzenia w zimnych oczach księcia.

– Wybacz, że ci przerwę, książę! Za chwilę nazwiesz mnie szpiegiem!

– Przyznam, że to właśnie miałem na myśli! – potwierdził książę z niemiłym śmiechem. – Czyż nie należysz duszą i ciałem do nieprzyjaciela?

– Nieprzyjaciela? Książę Burgundii zdaje się lekceważyć traktat z Arras,

tak okrutny dla każdego dobrego poddanego króla Karola! Słyszałam, że wrogowie Waszej Wysokości znajdują się teraz z drugiej strony la Manche i że kwiaty lilii Francji i Burgundii mają teraz prawo rosnać obok siebie. Czyżbym się myliła?

– Nie, skądże? Traktat przedstawia zbyt wiele zalet, bym go nie doceniał.

– Całe szczęście.

– Wydaje mi się, że nic a nic się nie zmieniłaś, hrabino – roześmiał się Filip, słysząc sztywny ton Katarzyny. – Masz dar odwracania ról i wpadania w ton oskarżycielski, by samej uniknąć oskarżenia. A jednak nie wywiniesz się tak łatwo. Chcę wiedzieć, po co jeździłaś do Dijon i dlaczego przyjechałaś za panią Simoną aż tutaj.

– A czy Jakub de Roussay, który eskortował aż tutaj króla Sycylii, nie opowiedział ci, co zdarzyło się kilka tygodni temu w wieży Nowej? Nie opowiedział ci o próbie zabójstwa króla?

– Owszem! Ale skąd ty o tym wiesz?

– Królowa Yolanda, księżna Andegawenii i matka króla René, której jestem damą dworu, zleciła mi, ponieważ w tym czasie udawałam się do Burgundii do łóżka umierającej matki, bym sprawdziła, czy jej syn jest dobrze traktowany w więzieniu i czy nie cierpi z jakiego innego powodu oprócz pozbawienia wolności. Niebiosa sprawiły, że znalazłam się tam... akurat wówczas i mogłam stwierdzić, że pan de Roussay trzyma w królewskim więzieniu pewną straż.

– Dlaczego więc o niczym mi nie powiedział?

– Ponieważ go o to prosiłam. Wiesz, panie, że jesteśmy starymi przyjaciółmi... a nie chciałam, by me imię obudziło w sercu Waszej Wysokości pewne wspomnienia... gdyż nie wiedziałam, jak zareagujesz. Swoim milczeniem Jakub udowodnił, że jest wiernym sługą księcia... i moim przyjacielem.

Książę zaczął się przechadzać i słychać było tylko skrzypienie jego cizm po posadzce. Po chwili, która wydawała się Katarzynie wiecznością, wyszeptał:

– Oto jeden z twoich talentów: zyskiwać przyjaciół na śmierć i życie! Jak ty to robisz?

– Przepis jest prosty, panie: wystarczy kochać...

– To zbyt wielkie słowo...

– Dlaczego? Zawsze byłam przekonana, że przyjaźń to miłość, tyle że bez skrzydeł, to miłość... codzienna, spokojna, oddana, pozbawiona cielesności, taka, która nigdy nie kłamie, nigdy nie rani!

– Chcesz powiedzieć, że przyjaźń kazała ci rzucić się w drogę ciężką zimową porą, by spędzić jedną noc u pani Simony? Przyznam, że trudno mi w to uwierzyć!

– A jednak to prawda! Dodam tylko, że przy okazji chciałam się upewnić, czy król René znalazł u wielkiego księcia Zachodu należytą gościnę i czy żadne niebezpieczeństwo już mu nie grozi.

Katarzyna wypowiedziała swoje wielkie kłamstwo ze spokojem, który zadziwił ją samą. Było zbyt doskonałe i przez chwilę obawiała się, czy nie będzie wyglądać jak wyuczona lekcja. Lecz Filip nie zauważył podstępu, gdyż wpadł w złość.

– Należytą gościnę? Na honor, ta dzierlatka bierze mnie za prostego chama! Czy uważasz, pani de Montsalvy, że książę Burgundii może oczekiwać

od kogoś rad, jak przyjmować gości?

– Nie o to chodzi...

– Nie? A o co? Chciałaś sprawdzić, czy nie sprowadziłem twego cennego królika, żeby poderżnąć mu gardło w ciemnym lesie lubo też poczęstować go pucharem mego cudownego wina z Beaune z dodatkiem trucizny?... Nie rozumiem jednego: dlaczego tak cię obchodzi ten chłystek? Może go kochasz?

W zdenerwowaniu księcia było coś nieodparcie komicznego i Katarzyna pozwoliła sobie na uśmiech.

– Tak... bardzo go... lubię! Jest moim przyjacielem!

– Skoro więc tak pilnie się oddajesz służbie René Andegaweńskiego, może zechcesz poświęcić nieco czasu... staremu przyjacielowi? Czy też nie zostało miejsca dla mnie w twoim sercu?

Katarzyna zgięła się w głębokim ukłonie, aby ukryć zakłopotanie. Wydawało się, że trudniej będzie się wywinać księciu, niż się spodziewała.

– Pierwsze miejsce... zawsze należało do Waszej Wysokości...

– W takim razie proszę o dowody!

– W jaki sposób mogę to uczynić?

– Uczestnicząc za chwilę w bankiecie królów. Zostaniesz zaprowadzona do apartamentów, gdzie będziesz mogła dokonać toalety... i przebrać się.

– Ależ, panie...

– Żadnego ale! Nie zgadzam się! Tego wieczoru będziesz moim gościem... może ostatni raz. Jeśli tak ci zależy na tym, by spędzić noc u pani Morel, to niech to będzie następna. Lecz tej nocy królów zostań w pałacu! Żądam tego w imieniu... Burgundii. Będziesz miała okazję spotkać wielu starych przyjaciół jednocześnie...

– Ależ to niemożliwe! Jak zmusić księżnę, by zasiadła przy jednym stole z...

– ...z moją dawną kochanką? Musiałaby cię znać. Zresztą od dawna te sprawy dla niej nie istnieją. Kocha tylko syna i Boga.

– Może dlatego, że pozwalasz jej kochać jedynie syna i Boga...

– Jest zbyt wielką damą, by zniżyć się do zmysłowej miłości. Dała mi dzielnego syna, lecz nie ma zamiaru dać mi następnych. A przy tym czyż nie jesteś wysłanniczką królowej Yolandy? Tak więc, zgadzasz się?

– To rozkaz?

– Skądże znowu... zwykła prośba!

Prośba, której odmówić byłoby niebezpiecznie. Katarzyna знаła zbyt dobrze podstępne machinacje księcia, do których był zdolny pod płaszczykiem wytrawnej kurtuazji. Należało się zgodzić... lub przynajmniej udawać, że się zgadza.

Dygnęła w protokolarnym ukłonie i oddała się w opiekę Matce Boskiej.

Książę klasnął w dłonie. Prawie natychmiast w drzwiach komnaty zjawił się służący w nowych kolorach księcia, szarym i czarnym, w stroju z satyny wyszywanej złotem, i skłonił się bez słowa.

– Zaprowadź hrabinę de Montsalvy do apartamentu, który kazałem dla niej przygotować. Kiedy będziesz gotowa, przyślę tego, który tego wieczoru będzie twoim rycerzem i poprowadzi cię do stołu. Możesz się nie obawiać – dodał z uśmiechem – to też będzie przyjaciel...

Po przekroczeniu drzwi wskazanych przez przewodnika Katarzyna stanęła jak urzeczona nie wierząc własnym oczom... Pokój oświetlony wesołym płomieniem igrającym w kominku z białego kamienia i niezliczoną liczbą różowych świec, był jej niegdyś pokojem! Tym samym, jaki w Brugii kazał urządzić dla niej zakochany książę i w którym przeżyła tyle upojnych nocy miłości.

Jak we śnie przeszła po grubych białych futrach rozłożonych na posadzce, przyglądając się oczami pełnymi oniemienia tapetom z różowego aksamitu, posrebrzanym meblom, masywnym świecznikom, wielkim liliom na flakonach, wreszcie herbowi widniejącemu na okapie kominka, który sama sobie wybrała w czasie swego panowania: niebieskiej chimerze na srebrnym polu... Wszystko było tak jak wtedy, łącznie z suknią z białej satyny wyszywanej perłami rozłożoną na różowosrebrnej kapie łoża. Wszystko, co osiem lat temu zostawiła w Brugii, odnajdywała teraz w Lille... Z wyjątkiem odbicia w weneckim lustrze, w którym ujrzała zakurzonego, zabłoconego wędrowca o nieświeżej, bladej cerze i zmęczonych oczach...

Nagle jak spod ziemi pojawiły się dwie służące o smagłych cerach, pewnie niewolnice kupione na targu w Wenecji lub Genui, i w mgnieniu oka pozbawiły ją oprawy znużonego podróżnika. Potem przyszła kolej na gorącą kąpiel z werbeną, która usunęła zmęczenie z ciała napełniając je przyjemnym ciepłem... Dawno nie zaznała podobnej przyjemności, gdyż nawet zamek w Montsalvy nie zapewniał takiego zbytku.

Ogarnięta miłym odprężeniem straciła poczucie czasu. Zamknęła oczy i oddała się pieszczocie pachnącej, zielonej wody...

Kiedy już prawie zasypiała, dwie pary czarnych rąk uniosły ją z kąpeli, zawinęły w cienkie, ogrzane przy kominku płótno fryzyjskie, przypominając jej Grenadę i zabiegi olbrzymki Fatimy, gdyż tak jak ona zaczęły masować jej ciało i nacierać balsamami, od których skóra stała się z powrotem miękka i elastyczna. Potem naperfumowały ją, wyczesaly starannie włosy, lecz ku wielkiemu zdziwieniu Katarzyny nie zaplotły ich w ścisłe warkocze mogące udźwignąć szpilki i ciężar długiego stożka. Służące podpięły je tylko i uwięziły w obszernej siatce z drobnych perełek opadającej do połowy pleców.

Nie nałożywszy jej żadnej koszuli, włożyły na nagie ciało suknię z białej satyny przewiazaną pod piersiami warkoczem pereł, z szerokim dekoltem więcej odkrywającym niż zasłaniającym. Jedwabne pończochy przewiazane nad kolanami koronkowymi podwiązkami i pantofelki z białej satyny dopełniły stroju.

Spojrząwszy do lustra, ujrzała odbicie... bajkowej księżniczki, stwierdzając, że ani czas, ani cierpienia nie zaszkoziły jej urodzie...

Zaskoczona, lecz i olśniona zarazem, z przyjemnością przyglądała się przez chwilę swemu odbiciu, gdy z głębi pałacu zaczęły dobiegać wesołe dźwięki instrumentów. Uroczystość zaczęła się i zaraz przyjdą po nią.

Paralizujący strach ścisnął ją za gardło. Jak zniesie spojrzenia gości w tej zbyt wiele odkrywającej sukni? Czyżby Filip zamierzał wystawić ją półnagą na spojrzenia swych gości, swej żony! Za żadną cenę nie mogła na to przystać!

Po chwili usłyszała za sobą westchnienie księcia. Miał na sobie długą, czarną tunikę, na której błyszczało słynne złote runo. Stanąwszy kilka kroków za nią ze skrzyżowanymi ramionami, opierał się o framugę drzwi. Nie mówił

nic, lecz wygłodniałe spojrzenie jego oczu wyrażało wszystko.

– Nigdy nie byłaś piękniejsza – wyszeptał wreszcie namiętnie – i nigdy bardziej cię nie pragnąłem...

Katarzyna zadrżała z uczuciem przyjemności, przed którym żadna, nawet najwierniejsza żona nie może się bronić wobec mężczyzny, którego najwyraźniej usidliła i trzyma w swej mocy.

Książę ruszył w jej stronę, a ona zaczęła się cofać jak przed zbliżającym się niebezpieczeństwem.

– Rzekłeś, panie, że przyjdzie po mnie przyjaciel, dlaczego więc przyszedłeś ty sam? Co to wszystko znaczy?

– Że cię kocham, pani...

– A bankiet? A noc królów?

– Nie pójdiesz... a i ja nie pójdę! Królowie, księżęta będą ucztowali bez nas. Tej nocy pragnę tylko jednej królowej... ciebie! Kocham cię!

Katarzyna oparła się o kredens i zacisnąwszy palce na śliskim drewnie, zamknęła oczy, by oprzeć się zawrotowi głowy. Czowała, że pod jej stopami otwiera się przepaść, w którą, niespodziewanie jednak, miała ochotę się rzucić... Próbowała wszakże się bronić.

– To nieprawda – odparła niezdecydowanie, co samą ją przeraziło. – Masz panie żonę, wiele kochanek, bękartów... po co więc mówisz mi o miłości?

– Ponieważ mam do tego prawo! Ponieważ zawsze kochałem tylko ciebie!

– Nie wierzę!

– Musisz uwierzyć!... Popatrz tylko na ten pokój, twój pokój, w którym dałaś mi tyle szczęścia, w którym wielbiłem twe ciało nie mając nigdy dosyć!

– To nie jest mój pokój! Nie jesteśmy przecież w Brugii!

– W istocie. Jednak jest to jego wierna kopia. W każdym z moich pałaców kazałem wiernie go odtworzyć. Nie wierzysz? A więc pojedź do Brukseli, do Dijon, nie mówiąc o Brugii, gdzie twój dom stoi nietknięty, wszędzie tam odnajdziesz swój pokój... a także ten obraz!

Książę z zapalonym podszedł do ściany i przycisnął znany tylko jemu tajemny przycisk. Ściana otworzyła się, ukazując wielki portret, na który Katarzyna spojrzała ze zdziwieniem, gdyż nie tylko nigdy dotąd go nie widziała, lecz nawet nie podejrzewała jego istnienia.

Rumieniec ogarnął powoli jej twarz, szyję i piersi: na długiej, topolowej płycie ujrzała siebie nagą z różą w dłoni i sznurem rubinów opadającym aż do kręconego runa jej kobiecej kępy...

– Kto go namalował? – spytała ledwo słyszalnym szeptem.

– Van Eyck... według moich wskazówek, rzecz jasna! On również cię kocha, a ja mogłem z zamkniętymi oczami opisać każdy szczegół twego ciała. Namalował pięć... identycznych. Czy ciągle będziesz się upierać, że cię nie kocham?

– Ależ to istne szaleństwo! A księżna?...

– Księżna nigdy się nie dowie ani o obrazach, ani o pokojach. Tylko ja mam do nich klucze, a zajmują się nimi jej nieme niewolnice, kiedy dam im rozkaz.

– Po co to wszystko?

– Po to... bym czasem mógł odnaleźć ciebie... twój zapach... atmosferę,

którą kochałaś. To prawda, że nie brakuje mi kochanek, ponieważ mój samczy instynkt potrzebuje samicy, lecz żadna kobieta nie zaznała takiego blasku u mego boku jak ty! Kiedy więc jestem znudzony tymi wszystkimi kobietami, zbyt znudzony moim pustym sercem i głową zaprzątniętą polityką, każę rozpalic ogień na kominku w jednym z tych pokoi, każę wnieść świeże kwiaty, świece i każę podawać do stołu. Po czym zamykam się w nim samotnie i piję, piję... aż wspomnienie pieszczoty twego ciała stanie się nie do zniesienia... następnie klękam przed twoim wizerunkiem i... Kocham cię! Sam... jak szaleniec!... A teraz nie odmawiaj mi i chodź!

Filip podszedł do niej wyciągając dłoń. Katarzyna odsunęła się, jakby ta dłoń parzyła.

– Nie!

Książę roześmiał się.

– Nie obawiaj się! Nie rzucę cię na łożo, choć, wierzaj mi, mam na to wielką ochotę! Czyż nie zaprosiłem cię na wieczerzę? A więc wieczerzajmy! Za chwilę podadzą do stołu.

Widocznie tej nocy nie był to koniec niespodzianek, gdyż w tej chwili podłoga pod oknem zaczęła powoli się rozsuwać, a z otworu wyłonił się zastawiony stół, po czym podłoga zamknęła się bezszelestnie. Nad stołem zastawionym złotą zastawą, wśród dyskretnie oświetlonych kwiatów oraz cyzelowanych i wysadzanych drogimi kamieniami pucharów z winem, unosiły się cudowne zapachy.

Filip bez słowa ujął Katarzynę za rękę, poprowadził ją do wyłożonej jedwabnymi poduchami ławy w pobliżu kominka i posadził z wielką atencją, umieszczając jej stopy na niedźwiedziej skórze. Następnie zręcznym, lecz eleganckim ruchem, jakby sam był jednym ze swych zarozumiałych giermków, nałożył na złoty półmisek kilka różowych płatków łososa i napelniwszy puchar winem, podał go jej.

Patrzyła na jego ruchy ze zdziwieniem, które po chwili przeszło w rozbawienie.

– To moje najlepsze wino z Beaune! Pijmy za noc królów! Za najpiękniejszą noc w roku... i za najpiękniejszą damę Zachodu!

Trąciwszy się pucharami wychylili ich zawartość, po czym Katarzyna poczuła przyjemne ciepło w żyłach przywołujące uśpione wspomnienia...

– Dlaczego, panie, odegrałeś przede mną tę komedię?

– Jaką komedię?

– Zaprosiłeś mnie przecież na uroczysty bankiet.

– Dawniej byłem dla ciebie po prostu Filipem – zarzucił jej łagodnie. – A czy zgodziłabyś się, gdybym powiedział ci, że tej nocy chcę cię tylko dla siebie, że jestem zdecydowany opuścić swych gości, nawet cały dwór, dla kilku godzin naszej dawnej intymności?

– Nie, nie sędzę – odparła szczerze.

– Nie sądzisz? A może nie jesteś tego pewna?

– Być może...

– Dziękuję za te słowa! Pijmy więc!

Wieczerza przebiegała w wesołej, przyjaznej atmosferze. Filip był radosny, a Katarzyna odnajdywała, nie bez przyjemności, czarującego

towarzysza, jakim był ongiś, kiedy tylko zapominał o wielkiej polityce i swoich godnościach. Recytował jej najnowsze wiersze nadwornych poetów, opowiedział najświeższe ploteczki, wplótł kilka informacji natury politycznej, w tym swoją decyzję o bliskim zwróceniu wolności królowi René.

Katarzyna zamknawszy oczy słuchała ogarnięta uczuciem komfortu, które wydało się jej czymś nowym po niedawnych przejściach.

Przy deserze książę usiadł u jej stóp na niedźwiedziej skórze i częstował ją cukierkami z czarki, którą położył na jej kolanach. Druga ręka także spoczęła na kolanach, lecz tak delikatnie, że oszołomiona winem Katarzyna nawet nie zaprotestowała. Wygodnie oparłszy się na aksamitnych poduszkach, rozmarzyła się, a jej umysł błądził wśród miłych wspomnień, odsuwając precz codzienne smutki.

Wydawało się, iż nie zauważyła, że ręce Filipa zaczęły ślizgać się wzdłuż jej ud. Gorące i zręczne ręce Filipa, niezrównanego w sztuce kochania, obudziły w niej dawno zapomniane wrażenia, te nagłe wybuchy zmysłów, które przez długi czas zastępowały jej szczęście...

Jego ręce przesuwwały się coraz wyżej, poczynając sobie coraz śmieiej, lecz w okolicach brzucha zatrzymały się i Katarzyna z nieopisanym uczuciem zwycięstwa zrozumiała, że on, książę, pan ziem większych od królestwa, waha się i że nie śmie...

W oddali rozbrzmiewał głos śpiewaka, dźwięki lutni i odgłos zegara wybijającego północ. Katarzyna uniósłszy powieki ujrzała, że usta księcia drżą, a jego spojrzenie wyraża błaganie. Uśmiechnęła się do niego.

– Dlaczego zatrzymałeś się, Filipie? Dlaczego nie mielibyśmy świętować nocy królów na nasz sposób?

W oczach księcia błysnęła radość zmieszana z niedowierzaniem.

– Czy... czy naprawdę chcesz tego?

Katarzyna pochyliła się nad nim, muskając jego usta ustami.

– Tak! Chcę, żebyś mnie kochał! Żebyś mnie kochał ten ostatni raz tak, jak kochałeś mnie dawniej! Tej nocy pragnę należeć do ciebie bez reszty!

Wkrótce mogła się przekonać, że Prudencja sprawiła się doskonale, delikatny mechanizm jej ciała nie zachował bowiem żadnego śladu doznanych gwałtów, a radość miłości była w niej wciąż taka sama jak dawniej. Rozsądek nakazywał więc nie myśleć w tej chwili o tym, kiedy wreszcie Florentynka usunie ostatni namacalny dowód nieszczęścia.

W ramionach tego, który ongiś nauczył ją miłowania, Katarzyna wzięła dobroczynną kąpiel młodości, gdyż dla Filipa rozkosz była sztuką o wielu obliczach, do której potrafił wnieść tyleż słodczy co delikatności, nie spotykanych u męskiego plemienia w tych niespokojnych czasach. Obsypana wyszukаныmi pieszczotami i obdarowana przez księcia tak szczerze, sama nie pozostała mu dłużna.

Rozciągnięta później w zmiętej pościeli, kołysząc przyjemnie zmęczone ciało i lekki umysł niedawnymi uniesieniami, odkryła, że miast wyrzutów sumienia z powodu zdrady męża czuje jedynie przewrotną satysfakcję z udanej zemsty pozbawionej krzty goryczy. Przed chwilą, po tym jak Filip doprowadził ją po raz pierwszy do eksplozji rozkoszy, usłyszała pytanie:

– Dlaczego rzekłś, że miłość napawa cię wstrętem? Czyżby twój mąż był takim prostakiem bez serca, za jakiego zawsze go brałem?

Katarzyna poczuła nagłą pokusę, by wyznać kochankowi prawdę. Lecz jak wywołać wspomnienia ohydneho gwałtu w tym słodkim azylu rozkoszy. Szybko więc porzuciła tę myśl, kwitując pytanie śmiechem i kpina.

– Mąż to tylko mąż!

Po czym, by położyć kres niebezpiecznym pytaniom, znowu zaczęła go pieścić, budząc na nowo jego pożądanie...

Kiedy dzwony pobliskiego klasztoru zabrzmiały na jutrznię, księżę wstał z łoża i pocałunkiem obudził Katarzynę.

– Teraz muszę już odejść, moje serce, i Bóg mi świadkiem, jak mi ciężko, ale noc się kończy.

– Już?...

W różowym półmroku alkowy oświetlonej lampką oliwną dostrzegła, że jej kochanek uśmiecha się, wzruszony i zachwycony.

– Dziękuję ci za to „już” – odparł całując jej dłonie. – Moja droga, skoro ta noc wydała ci się nazbyt krótka, możemy ją powtórzyć...

możemy zacząć od nowa! Zostań! Zostań choć trochę! Chciałbym ofiarować ci jeszcze tyle pieśczoł! Tak bardzo pragnę cię kochać!

– Nie, Filipie... nie można... Jutro znowu będziesz mnie prosić, bym jeszcze została... a ja... cóż... Nie! Nie, Filipie!

Lecz księżę zdusił jej protesty namiętym pocałunkiem, a jego palce ślizgając się wzdłuż brzucha wniknęły do palącej intymności jej ciała i sforsowały ją bez trudu. Katarzyna z błogim westchnieniem otworzyła się i na tę pieśczoł jak kielich kwiatu na przyjęcie motyla. Nowa, gwałtowna fala niebiańskiej rozkoszy porwała oboje, tak silna i dogłębna, że Katarzyna z wyczerpania na nowo pograżyła się w błogim śnie...

Nie zauważyła nawet, kiedy księżę wyslizgnął się z łoża i przywdziawszy długą czarną suknię opuścił gniazdo rozkoszy po złożeniu ostatniego pocałunku na jej nagim ramieniu...

Ze snu wyrwał Katarzynę zimny dotyk czyjejś dłoni. W półmroku dojrzała ciemną kobiecą sylwetkę stojącą przy łóżku. Dogasające świece nie dawały zbyt wiele światła, a zza zamkniętych okiennic zasłaniających kolorowe witraże nie przenikał ani promyk światła.

– Wstań! Już czas na ciebie! – usłyszała spokojny głos. Usiadła na łóżku naciągając pościel na gołe piersi.

– Kim jesteś?...

Zza fałdów zasłony wyłoniła się twarz nieznanym, na widok której Katarzyna zadrżała i poczuła, że robi się jej słabo: księżna!

– Pani – zaczęła, lecz małżonka Filipa nie dała jej dokończyć.

– Zrobisz to, o co cię proszę: wstaniesz i ubierzesz się. Przyniosłam ci odzienie, gdyż żadnych szat ci nie zostawiono, by, jak się domyślam, skuteczniej cię tu zatrzymać. Ja sama wyprowadzę cię z pałacu.

Głos księżnej był spokojny, lecz zdecydowany. Izabela Portugalska nie uciekała się do gniewu, by słuchano jej rozkazów. Jej jasne oczy były lodowato obojętne i Katarzyna z upokorzeniem musiała opuścić ciepłe schronienie łoża i znieść jej spojrzenie smagające nagie ciało, podczas gdy niezręcznie wkładała podaną koszulę. Jej zażenowanie nie trwało jednak długo; kiedy tylko znalazła

schronienie pod miękkim materiałem, wróciła pewnośc siebie.

– Po co zadajesz sobie tyle trudu, pani? O wiele prościej byłoby kazać mnie wyrzucić za drzwi służącym!

– To nie wchodzi w rachubę! Książę nigdy by mi tego nie wybaczył!

– Czy tak postępujesz, pani, wobec wszystkich kobiet zaszczyconych względami księcia? – spytała Katarzyna, zdając sobie poniewczasie sprawę z własnej bezczelności.

Księżna wzruszyła ramionami z pogardą.

– Te nędzne kreatury? Za kogo ty mnie bierzesz? One same znikają, dlatego więc miałabym się o nie troszczyć?

– Dlaczego w takim razie troszczysz się o mnie? – spytała Katarzyna sznurując przyniesioną jej suknię z czarnego aksamitu.

Zaległa cisza, w czasie której księżna podeszła do ściany z ukrytym obrazem i przycisnęła mechanizm.

– Dlatego... że ty, pani, to nie to samo! Dlatego, że od lat obawiam się twego powrotu! Kiedym cię ujrzała wczoraj wieczorem, zrozumiałam, że stało się... Wróciłaś... Jedyna kobieta, jaką on kiedykolwiek kochał... Jedyna kobieta, która potrafiła zdobyć nie tylko jego zmysły, ale i duszę! Czy sądzisz, że ja nie wiem, czego on szuka w ciałach tych wszystkich kobiet, które nie oparły się jego nienasyconej męskości?... Szuka ciebie!... Szuka twego wspomnienia... Ciebie pożąda!

– Jak się dowiedziałaś, pani? – spytała Katarzyna przejęta bólem wibrującym w głosie księżnej. – Myślałam, że nie znasz tej historii... że nie wiesz o istnieniu tego pokoju...

– Chciałaś rzec: tych pokoi! Powinnaś wiedzieć, że nic nie ostanie się przed ciekawością służących i pokojowców! Trzy miesiące po tym, jak zostałam matką, Filip już opuszczał nasze łóżce i wtedy jeden z moich służących pokazał mi któryś z tych pokoi. Pewnej nocy mogłam być świadkiem, jak książę, mój ślubny małżonek, ojciec naszego syna, klęczy nagi przed tym pogańskim portretem, oddając mu cześć diabelską i odpychającą! Oto dlaczego chcę, abyś odeszła! Wiem, że gdybyś została, wszystkie inne zniknęłyby z jego życia, a książę szczęśliwy, że cię wreszcie odzyskał, zaniedbałby sprawy państwa i korony! Noce w twoim łóżku i dni u twych stóp, oto czym stałoby się jego życie! Dlatego błagam cię! Odejdź! Na dole czeka na ciebie eskorta, która wyprowadzi cię z pałacu...

Katarzyna podeszła powoli do obrazu i zamknąwszy go, powróciła do Izabeli uśmiechając się.

– Chciałabym, pani, żebyś odpowiedziała mi na jedno pytanie: Nie kochasz swego męża, czyż nie?

– To nie twoja rzecz, pani! Czy można kochać kozła w nieustannej rui?

– Jeśli takim go widzisz, to znaczy, że wcale go nie kochasz! A eskorta nie jest mi potrzebna. Nie przybyłam tu, aby zostać, i gdyby nie przypadek...

– Doskonale! Skoro więc jesteś gotowa, pójdź za mną!

Księżna skierowała się ku drzwiom, a Katarzyna zawinąwszy się w obszerny, czarny płaszcz wykończony lisim futrem i obrzuciwszy ostatnim spojrzeniem komnatę tchnącą wciąż zapachem miłości, nie zasłane łóżce, resztki wieczerzy na stole i tłący się jeszcze żar na kominku, ruszyła za nią.

Kilka chwil później opuszczała książęcą siedzibę małymi, bocznymi

drzwiami, udając się do domu Simony Morel.

Wstawał spóźniony zimowy dzień, powoli budzili się ludzie i ich kramy. Katarzyna podążała żwawo przez miasto przykryte świeżym, białym śniegiem czując się lekko i młodo. Nie odczuwała żadnych mdłości i mogłaby się ludzi, że jej odmienny stan był tylko złym snem, z którego gorąca miłość Filipa wybawiła ją raz na zawsze. Tak jednak nie było... Wiedziała o tym i należało pomyśleć o ostatecznym pozbyciu się przeszkody stojącej na drodze ku nowej przyszłości.

W pałacu Simony czekał na nią Van Eyck, chodząc nerwowo tam i z powrotem.

– Gdzie się podziewałaś całą noc?

– Pytasz tak, jakbyś nie wiedział! Gdzieżby? W pałacu!

– Już obawiałem się, że coś złego ci się przytrafiło.

– A nie przyszło ci do głowy, przyjacielu, że spędziłam z księciem noc?

– Noc?... Całą noc z księciem?

– Całą noc! Tej nocy był moim kochankiem jak dawniej, ale to już ostatni raz. Nigdy więcej się nie spotkamy. To było coś w rodzaju ostatecznego pożegnania... A ty, przyjacielu, znakomicie malujesz i to nie tylko to, co znasz dobrze, lecz także i to, czego nigdy nie widziałeś na własne oczy! I podobno powtórzyłeś swój wyczyn w pięciu egzemplarzach!

– W szczęściu – poprawił Van Eyck czerwony jak burak.

– Jakże to? Książę powiedział, że w pięciu?

– Namalowałem też jeden taki obraz dla... siebie, lecz nie powiedziałem mu o tym. Przy tych obrazach spędziłem najbardziej upojne chwile w swym życiu. Och, jak cudownie było kreślić zarysy twego ciała, które mój pan opisywał słowami poety. Mój pędzel ożywiany jego wspomnieniami miłości pieścił każdy zakątek twego ciała... Musiałem zachować coś dla siebie! Rodziłaś się powoli pod moimi palcami w pełnym blasku swej urody ze wszystkimi sekretami swej upojnej kobiecości...

Katarzyna nie wierząc własnym uszom, słuchała płomiennego wywodu malarza. Dawno podejrzewała, że artysta darzył ją czymś więcej niż przyjaźnią, lecz nigdy przez myśl jej nie przeszło, że pożąda jej z taką pasją.

– Panie, jeśli chcesz, byśmy nadal pozostali przyjaciółmi, nie wspominaj nigdy więcej o tych portretach. A teraz pozwól, że cię opuszczę. Jutro ruszamy do Brugii. Żegnaj!

Następnego dnia Katarzyna w towarzystwie Waltera i Bérengera przekraczała bramy Lille. Na moście zwodzonym usłyszeli za sobą odgłosy kawalkady i fanfary trąbek, a wkrótce ujrzeli zastęp rycerzy i służących z wielkimi psami. Katarzyna zadrżała. Jeśli bowiem był to książę, to z pewnością będzie starał się ją zatrzymać w Lille, a wtedy księżna nie wypuści jej żywcem.

Nie był to na szczęście książę, lecz konetabl de Richemont i król René udający się na łowy. Konetabl Francji przejeżdżając obok niej uśmiechnął się. Szybko odwróciła głowę i zakryła twarz kapturem. Jeszcze tego brakowało, by spotkawszy ją na burgundzkiej ziemi pomyślał, że przeszła do obozu wroga!

Kiedy ośmieliła się podnieść głowę, kawalkada odjechała na wschód.

Rozdział dziewiąty

PIELGRZYMKA KATARZYNY

Widok Brugii na tle zimowego nieba wyrwał Bérengerowi okrzyk zachwytu i przeciągły gwizd zmarzniętemu Walterowi. Wyłoniwszy się z białej doliny poprzecinanej wstążkami kanałów, królowa Flandrii zbudowana nad wodami Reie podobnie jak jej śródziemnomorska rywalka, Wenecja, na lagunie, wznosiła koronki jasnych budowli, zdających się chować w swych wnętrzach słońce, którego tak często tu brakowało. Książę, dumny ze swego miasta, stopniowo doprowadził do wyparcia strzech i drewna, które zastąpiono kamieniem i różowymi dachówkami strzegącymi ukrytych w nich skarbów od wiecznych pożarów.

Nagle zerwał się wiatr, wznecając tumany śniegu i piękny obraz zniknął jak bańka mydlana. Podróżni pognali konie w stronę bramy Courtrai, żądni schronienia i ciepłego kąta przy kominku. Wkrótce wszystko, czego pragnęli, ofiarowała im gospoda Pod Koroną Cierniową przy ruchliwej ulicy Wełnianej. W Katarzynie odżyły wspomnienia. Na pierwszy rzut oka nic się tutaj nie zmieniło: jak dawniej lśniąca czystością, w kuchni te same połyskliwe miedziane i cynowe naczynia i te same smakowite zapachy dochodzące z pękatych kociołków. Tylko brzuch imć Cornelisa bardziej się zaokrąglił, lecz na jego twarzy malowało się jakieś zmartwienie.

Frasunek widoczny był zresztą na wszystkich napotkanych twarzach i czuło się, że atmosfera w mieście nie jest taka jak dawniej. Przysłowiowa flamandzka wesołość i rozgardiasz rozbrzmiewający w Brugii przez okrągły rok ustąpiły miejsca szeptom i ściszym głosom. Jeśli nawet nosy biesiadników kiwających się nad kuflami piwa były jak zwykle czerwone, to jednak ich oczy spoglądały trwożnie i podejrzliwie. Wydawało się, że miasto wstrzymało oddech, jakby na coś czekało...

Katarzyna za radą Van Eycka podała się za niejaką panią Berneberghe d'Armentieres, przybyłą do Brugii z pielgrzymką do kościoła Świętej Krwi w celu uleczenia choroby. Następnego dnia do gospody przybył Van Eyck i zapowiedział, że wieczorem przyjdzie po nią, by zaprowadzić ją do Florentynki.

Pod wieczór, kiedy się zjawił, owinęła się grubym płaszczem, wzięła modlitewnik i ruszyła za nim zasłoniwszy twarz woalką, jak przystało bogobojnej osobie.

– Dokąd zmierzamy? – spytała, gdy oddalili się od oberży.

– Najpierw udamy się do kaplicy. Musimy zachować pozory. Nie wolno nam dopuścić, by ktoś domyślił się prawdziwego powodu twego tu przybycia, a poza tym zwolennicy księcia Filipa nie są tu mile widziani. Z byle powodu można się narazić.

– Dlaczego więc ty, panie, nie przeniesiesz się choćby do Lille?

– Wybrałem Brugię i tu pragnę pozostać. Tutaj wszystko jest inne: inne niebo, inne światło, inne kolory. Wszystko to, czego nie znajdziesz gdzie indziej i bez czego nie mógłbym się obyć. Dlatego stosuję środki ostrożności, które

mogą wydać ci się dziwne.

– A ja myślałam, że chodzi głównie o twoją małżonkę?

– Owszem, jeszcze moja połowica... Bóg mi świadkiem, jak bardzo żałuję, że się ożenił... Lecz nawet gdybym odzyskał wolność, nie mógłbym opuścić Brugii. A oto i jesteśmy na miejscu. Kiedy zapadnie noc, wyjdziemy z kaplicy, by udać się na nasze spotkanie.

W miarę jak nieubłagane zbliżała się groźna chwila – przerwanie ciąży zawsze było związane z wielkim niebezpieczeństwem – Katarzyna czuła coraz większy strach. Za godzinę, może dwie, jeśli Florentynka nie okaże się taka zręczna, jak o niej mówiono, może przyjdzie już umierać...

Uklękawszy przed Najświętszym Sakramentem błyszczącym w konstelacji złota i diamentów, błagała Boga o przebaczenie za świętokradztwo i ochronę boską w tym, co ją miało spotkać...

Ze ściśniętym sercem opuszczała sanktuarium i podążając śladem Van Eycka doszła do pobliskiego kanału, gdzie czekał na nich umówiony człowiek w barce.

– Zawieź nas tam, gdzie wiesz! – rzucił malarz i łódź odbiła od brzegu, ślizgając się bezszelestnie po gładkiej tafli wody. Noc była ciemna, lecz zapalone na małych mostkach i na rogach domów latarnie wystarczająco oświetlały drogę. Wkrótce przewoźnik dobił do brzegu i dwa cienie ruszyły drogą Pieprzową do celu wyprawy.

– Jesteśmy na miejscu! – rzekł malarz zatrzymawszy się przed niskimi, rzeźbionymi drzwiami ukrytymi między zapleczem składu towarów a ogrodowym murem.

Zastukał trzy razy małym miedzianym młoteczkiem i prawie natychmiast drzwi uchyliły się, ukazując ciemny korytarz, gdzie w głębi błyszczało łagodne światło.

– Wejdz, panie, i ty, szlachetna pani – rzekł słoneczny głos z południowym akcentem. Przychodźcie w porę.

Głos należał do około czterdziestoletniej małej kobiety o śniadej cerze i czarnych oczach. Biały wykrochmalony fartuszek przykrywał czerwoną wełnianą sukienkę. Ona sama zdawała się uosobieniem łagodności. Katarzyna, która obawiała się, by Florentynka nie była kimś w rodzaju czarownicy Ratapenady, poczuła, że jej strach ustępuje. Pokój, do którego ich wprowadzono, był równie schludny jak gospodyni. Błyszczała czarno-białą posadzką, świeżo wypastowanymi meblami i miedzianymi naczyniami stojącymi na kominku. Całe wnętrze było przykładem flamandzkiej prostoty i czystości.

– Carlotto, oto dama, o której ci wspominałem – zaczął Van Eyck. – Potrzebuje twojej pomocy!

– Mam nadzieję, że będę w stanie jej udzielić. Połóż się, pani, na tym stole – odparła wskazując na wielki, dębowy mebel stojący nieopodal kominka.

– A ty, panie, wyjdź stąd i czekaj w pokoju obok.

Badanie trwało krótko i było całkowicie bezbolesne. Palce Florentynki były zwinne i delikatne. Po skończonych oględzinach znachorka umyła sobie dokładnie ręce ku wielkiemu zdziwieniu Katarzyny, która nigdy jeszcze nie widziała, by ktoś postępował w ten sposób po dotknięciu ludzkiego ciała, poza jej starym przyjacielem, medykiem z Kordoby, Abu-el-Khayrem, i Sarą. Był to

dotatkowy plus na rzecz poddanej mistrza Arnolfini.

– A więc? – spytała po chwili ciszy ciągnącej się w nieskończoność.

– Nie ma wątpliwości. Przebywasz w stanie odmiennym od dwóch miesięcy.

– Czy możesz na to coś zaradzić, Carlotto?

– Zawsze można zaradzić, pod warunkiem że wie się jak. Jednak zabieg taki jest niebezpieczny, a ja nie lubię niebezpieczeństw, gdyż zbyt kocham życie. Nie można tego zrobić w pięć minut i byle jak. Musisz, pani, pozostać w mieście przez jakiś czas. Lepiej, byś opuściła oberżę i zatrzymała się w moim domu.

– Z chęcią, lecz... jest ze mną giermek i paż...

– W moim małym domu jest więcej miejsca, niż przypuszczasz – odparła Carlotta z miłym uśmiechem. – Jutro możecie wszyscy troje wprowadzić się do mnie. Zresztą przygotowałam się na to. Chyba że wolisz przyjąć gościnę w domu pana Van Eycka, jeśli masz taką możliwość, w co, prawdę mówiąc, śmiem wątpić.

– A skąd twe wątpliwości? Carlotta roześmiała się perliście.

– Ponieważ znam szanowną jego małżonkę, panią Małgorzatę, i sądzę, że jesteś zbyt piękna, pani, by zechciała przyjąć cię pod swój dach. Tak więc, czy przyjdziecie do mnie jutro?

– Z radością! I dziękuję, dziękuję, że pomagasz mi z taką ochotą!

– Z ochotą czy bez ochoty, malarz sowicie mi zapłacił, a ja kocham złoto i jestem bardzo droga! – odparła z naiwną szczerością znachorka.

Po powrocie pod Koronę Cierniową Katarzyna zasnęła jak dziecko i obudziła się dopiero, gdy słońce stało już wysoko. Koło południa wysłała Waltera do stajni, by przygotował konie, lecz giermek wrócił po chwili prowadząc chłopca około piętnastoletniego, którego skromne odzienie powalane farbami zdradzało zajęcie.

– To posłaniec od pana Van Eycka. Przyniósł list. Mówi, że jest bardzo pilny!

Katarzyna spokojnie otworzyła list sądząc, że zawiera ostateczne wskazówki przed opuszczeniem oberży, lecz przeczytawszy kilka linijek musiała usiąść, by dokończyć lektury. Malarz pisał:

„Florentynkę zamordowano tej nocy. Mistrz Arnolfini znalazł ją powieszoną w swoim składzie płócien przylegającym do domu Carlotty. Wieść o jej śmierci lotem błyskawicy rozniosła się po mieście. Myślę, droga przyjaciółko, że lepiej byłoby, gdybyś wyjechała z miasta. Udaj się do Lille, do pani Simony. Może ona potrafi ci pomóc. Moje serce krwawi, mówiąc ci *adieu*. Niech Bóg ma cię w swej opiece”.

– Czy mistrz Jan nic więcej nie kazał ci powiedzieć? – spytała słabym głosem. Dlaczego nie przybył sam?

– Wczoraj wieczorem słyszałem okropną kłótnię. Pani Małgorzata dowiedziawszy się, że przybył pod Koronę Cierniową z przyjaciółką, zwymyślała pana i zamknęła go w pracowni na klucz, zapowiedziawszy, że wypuści go, kiedy zechce.

Katarzyna nie mogła przyjść do siebie po tym nowym ciosie. Carlotta nie żyje! Czyżby miała wrogów? Widząc, że posłaniec zabiera się do wyjścia, wręczyła mu monetę i rzekła:

– Powiedz swemu panu, że dziękuję mu za wszystko... i że bez zwłoki opuścimy Brugię, a także... że szczerze mu współczuję.

Po wyjściu małego malarza rozpoczęła gorączkowe przygotowania do wyjazdu. Walter udał się do koni, lecz i tym razem wrócił po niedługiej chwili, prowadząc dwóch nieznanomych, za którymi chował się imć Cornelis. Byli odziani w piękne sukienne stroje wykończone lisim i sobolowym futrem, a ich głowy zdobiły szerokie kapelusze o skomplikowanych plisach.

– Nazywam się Ludwik Van de Walie i jestem jednym z dwóch burmistrzów Brugii, a to mój zastępca, Jan Metteneye – rzeki jeden z nich lekko się skłoniwszy. – Przybyliśmy zawiadomić cię, hrabino, że zabraniamy ci opuścić nasze miasto!

Katarzyna zachwiała się, lecz nie tracąc rezonu odparła:

– Jestem zaszczycona waszą wizytą, panie, tym bardziej że czuję się jej niegodna. To pomyłka, panowie. Nie jestem hrabiną, lecz prostą mieszczką...

– Nazywasz się hrabina de Brazey – przerwał burmistrz bez pardonu – i jesteś kochanką księcia Filipa Burgundzkiego, którego dziecko nosisz w swym łonie! A przybyłaś tutaj, by udać się do Florentynki, Carlotty, w celu usunięcia owocu waszej grzesznej miłości!

Słowa burmistrza spadły na Katarzynę jak grom z jasnego nieba, lecz przyzwyczajona do stawiania czoła przeciwnościom losu, postanowiła nie dać za wygraną.

– Za pozwoleniem, jesteś szalony, panie! – odparła wyniośle. – Skąd ci przyszedł do głowy taki pomysł?

– Zostałaś rozpoznana zaraz po przekroczeniu bramy Courtrai. Pomimo twego cudacznego przebrania wszyscy tutaj pamiętamy twoją olśniewającą urodę.

– Ależ, panie!...

– Dość tego! Nie próbuj zaprzeczać! Kogo chcesz wywieść w pole? Zdejmij lepiej ten śmieszny czepek i pokaż nam swe włosy. Jeśli nie są one czystym złotem, uznamy naszą pomyłkę i zgodzimy się, że nie jesteś tą, za którą cię bierzemy!

Przyparta do muru Katarzyna próbowała się układać.

– Zgoda! Rozpoznaliście mnie! Lecz twój zegar, panie, jest wielce opóźniony, gdyż wiele rzeczy wydarzyło się od czasów, które przywołujesz! Już od dawna nie jestem panią de Brazey i nic nie łączy mnie z Burgundią, gdzie jednak mam nadal wielu przyjaciół, co nie powinno zbytnio cię dziwić. Od wielu lat jestem hrabiną de Montsalvy, żoną jednego z najdzielniejszych kapitanów króla Karola VII i damą dworu królowej Sycylii. Teraz wiesz już wszystko, więc życz mi spokojnej drogi i odejdz!

– Nie tak szybko, za pozwoleniem! – odparł na to Van de Walie z kamienną twarzą. – Wiemy od swoich ludzi, że udałaś się łodzią do domu Florentynki. Nie próbuj zaprzeczać! Mamy bardzo zręcznych wywiadowców potrafiących śledzić, samemu nie będąc widzianym, zwłaszcza w nocy...

Jego głos był zimny i opanowany; burmistrz wymawiał wyraźnie każdą sylabę, co działało na Katarzynę deprymująco, obracając wniwecz jej

postanowienie zachowania spokoju i wykazania się zmysłem dyplomacji.

– A czy możesz mi powiedzieć, panie, co właściwie obchodzą cię moje sprawy?

– Mnie osobiście nie obchodzą wcale, lecz obchodzą miasto, w chwili kiedy mają znaczenie dla jego bezpieczeństwa. Otóż nosisz w swym łonie dziecko księcia, który jest przyczyną naszych wielkich kłopotów, a ty pomimo to odważyłaś się przybyć do Brugii, by się go pozbyć!

– To wierutne kłamstwo! Ongiś tak, miałam syna z księciem... lecz dziecko nasze zmarło i ty, panie, z pewnością wiesz o tym lepiej niż kto inny! Jednak od tamtych czasów, Bóg mi świadkiem, nie zrobił mi następnego! Zresztą, jak mógłby to uczynić, skoro ja mieszkam w Owernii, a on u siebie?

Ludwik Van de Walie uniósł dłoń do góry, chcąc przerwać potok jej słów.

– Próżne twe tłumaczenia. Cokolwiek powiesz, nic ci nie pomoże!

– Co oznaczają twoje słowa?

– Pozostaniesz tutaj aż do narodzin dziecka. Wtedy zobaczymy, do kogo jest podobne!

– A więc nie wierzysz moim słowom?

– To bez znaczenia – odparł burmistrz z zimnym uśmiechem. – Ważne, byś pozostała u nas aż do rozwiązania... pod strażą, a księżę zostanie o tym fakcie natychmiast powiadomiony.

Katarzyna zaśmiała się nerwowo.

– A cóż może obchodzić księcia, co się stanie z żoną pana de Montsalvy i ich potomkiem? Popelniasz, panie, wielki błąd, którego możesz gorzko żałować!

– Nie sądzę... Nawet jeśli się okaże, że księżę nie jest ojcem dziecka, to twój mąż nie jest nim także, gdyż wtedy nie zadawałabyś sobie tyle trudu, by się go pozbyć. Co zaś do uczuć księcia... to nie bądź zbyt skromna, wiadomo bowiem, że księżę wciąż wzdycha do ciebie, więc kiedy się dowie, że jesteś w naszych rękach... i że grozi ci śmierć... odda nam nasze przywileje. Gdyby zaś się opierał, będziemy musieli cię zabić.

Tego już Walter dłużej nie mógł zdzierżyć. Wyjąwszy gwałtownie szpadę przytknął jej czubek do piersi burmistrza.

– Uwważaj, panie, bo przekraczasz granice! Nie pozwolę obrażać i grozić mojej pani! Uczyń więc nam przyjemność, wyjdź stąd czym prędzej i pozwól nam odjechać z waszego niezwykle gościnnego miasta!

– A jeśli nie usłucham?

– To z rozkoszą poderżnę ci gardło!

Katarzyna położyła dłoń na ramieniu młodzieńca, zmuszając go, by opuścił broń.

– Przestań, przyjacielu! To nam nie pomoże! Chyba nie sądzisz, że ci panowie przybyli do nas sami?

– W istocie – podjął Metteneye. – Pod oberżą czeka cała kompania straży miejskiej gotowa do ataku.

– Ataku na jedną kobietę i dwóch chłopców! – rzuciła pogardliwie Katarzyna. – Moje gratulacje! Oto przykład prawdziwego bohaterstwa! Więc jestem waszym więźniem? A do jakiego lochu mnie wtrącisz?

– Nie do lochu, lecz do twego własnego domu, który z rozkazu księcia jest utrzymywany w doskonałym stanie.

Katarzyna zarzuciła płaszcz na ramiona. Nie czuła się już skora do buntu,

gdyż w tym, co się stało, widziała znak przeznaczenia, rękę Boga obrażonego jej fałszywą pielgrzymką. Była przekonana, że jej los jest przesądzony, gdyż książe nie ugnie się przed żądaniami mieszczan, by ratować jej życie.

Zanim przekroczyła próg oberży, zatrzymała się przed burmistrzem.

– Jeszcze jedno. Według wszelkiego prawdopodobieństwa umrę tutaj, lecz to nie ma znaczenia. Pragnę, by po mojej śmierci nie uczyniono żadnej krzywdy moim młodym sługom i by pozwolono im odjechać spokojnie do Owernii. Czy możesz mi dać słowo?

Zimne oczy Van de Walle'a spoczęły na pięknej twarzy zwróconej w jego stronę, a w jego spojrzeniu zadrgało coś na kształt wzruszenia.

– Na mój honor, masz moje słowo! Lecz ośmielam się wyrazić nadzieję, że i ty, pani, będziesz mogła powrócić do swych dóbr... i że tego dnia urządzimy wielkie święto!

Katarzyna wzruszyła ramionami.

– Wierzysz, panie, w cuda? Bo ja coraz mniej...

Rozdział dziesiąty

ZAKŁADNIK Z BRUGII

Nadeszła wiosna, a wraz z nią ruszyły wiosenne ulewy, rozmiękczając ziemię i wypełniając po brzegi kanały. W niedzielę wielkanocną, która wypadła tego roku 31 marca, lało jak z cebra, tak że woda zalała nie tylko piwnice, ale i niżej położone pomieszczenia domowe, a brugijczycy zmuszeni w świąteczny dzień do ratowania dobytku pomyśleli, że Pan Bóg odwrócił się od nich...

Dla Katarzyny był to kolejny bezbarwny dzień... Jedyne pocieszenie stanowiła myśl, że jej strażnicy sterczący na parterze w dzień i w nocy tkwili tam po kolana w wodzie.

A jednak kiedy Van de Walie przyprowadził ją do tego domu, który ongiś był jej własnością, odczuła radość jak wędrowiec powracający do miejsca, w którym przed laty przeżył wiele błogich dni. Pałacyk, którego wysmukłe okna odbijały się ciepłymi tonami witraży w spokojnej tafli kanału, był pieczołowicie utrzymany; wnętrza pachnące świeżą pastą do podłóg i leśną wonią płonących polan w kominkach wyglądały tak, jak je zostawiła. Nie zmieniła się różowosrebrna komnata, tak wiernie skopiiowana przez jej książęcego kochanka, ani wierzby płożące swe długie witki nad zieloną wodą. Nie było jednak żadnego z jej dawnych sług, a zwłaszcza Sary, która wówczas panowała niepodzielnie w całym domostwie. Bez niej pałacyk jak gdyby stracił duszę.

Dano jej oczywiście innych służących, lecz ci snuli się w milczeniu, śledząc pilnie cennego zakładnika. Co dwa tygodnie składał jej ceremonialną wizytę Van de Walie, dowiadując się o zdrowie i potrzeby, lecz nigdy nie odpowiadał na jej pytania dotyczące układów z księciem...

Coraz mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że sprawy nie toczą się po jego myśli, gdyż przy każdej wizycie miał bardziej posępną minę i niespokojne spojrzenie...

Jej ciąża stawała się coraz bardziej uciążliwa i powodowała nudności, których nigdy wcześniej nie знаła. Życie w zamknięciu nie było wiele warte. Straciła apetyt, schudła i co rano wstawała z podkrążonymi oczami... Pewnego dnia, kiedy pojawił się Van de Walie, Walter nie wytrzymał i skoczył mu do gardła, zaledwie ten przekroczył próg komnaty.

– Jeśli przysiągłeś jej śmierć, to na co czekasz, panie? Widzisz sam, że twój cenny zakładnik z dnia na dzień gaśnie w oczach i wkrótce wymknie ci się z rąk, by udać się do Boga! A co wtedy powiesz księciu Filipowi?

– Czy mogę się z nią zobaczyć?

– Z pewnością nie! Od wczoraj nie opuszcza łoża. A musisz wiedzieć, że nie wzięła nic do ust od dwóch dni, poza odrobiną mleka.

Na kościstej twarzy urzędnika pojawił się wyraz niezadowolenia.

– Dlaczego nie doniesiono mi, że hrabina jest cierpiąca? Przysłałbym natychmiast medyka...

– Hrabinie nie medyk potrzebny, lecz ruch i świeże powietrze! To nie choroba ją zabija, lecz wasze pozłacane więzienie! Jednego jestem pewien: jest taka słaba, że rozwiązanie ją zabije, jeśli nie wyzionie ducha wcześniej!

Burmistrz stracił nagle swój sztywny wygląd i zgarbiwszy się podszedł do kominka z zatroskaną miną.

– Uczciwie mówiąc, myślałem, że zatrzymując tu hrabinę, działam dla dobra mego miasta, dla jego bogactwa i przywilejów. Teraz zastanawiam się, czy słusznie postąpiłem... sam już nie wiem...

Walter napełnił dwa puchary winem i jeden z nich podał burmistrzowi.

– Usiądź, panie... i wypij. Dobrze ci zrobi.

Van de Walie uśmiechnął się nieznacznie i przyjąwszy wino opadł na miękkie poduszki. Ten człowiek, który jeszcze przed chwilą wydawał się niewzruszony i twardy jak skała, teraz przypominał raczej osaczoną zwierzyńcę.

– Czy sprawy z księciem mają się aż tak źle? – spytał Walter po chwili milczenia.

– Gorzej, niż przypuszczasz! Kiedy z końcem stycznia pojechali do niego wysłańcy, by podjąć rozmowy i donieść mu, że pani Katarzyna jest w naszym mieście, nawet nie raczył ich przyjąć. A 11 lutego oznajmił z wyższością, że Franc stanie się w przyszłości czwartym członkiem kraju, wraz z Gandawą, Ypres i Brugią. To oznacza wolność dla Franc... i ciężki cios dla naszej gospodarki. Żyjemy w ciężkich czasach, młody człowieku. Zaklinam cię, uczyni wszystko, by zachować swoją panią przy życiu. Jutro przyślę tu moją małżonkę, Gertrudę. Może zdoła przekonać hrabinę, by wzięła coś do ust... I proszę ją, żeby mi wybaczyła!

– A czy nie lepiej, byś ją stąd wypuścił?...

– Wierz mi, że gdyby ucieczka była możliwa, już dawno byłoby po wszystkim. Lecz...

– Lecz to oznaczałoby wyrok śmierci dla ciebie, czy tak? Burmistrz spuścił głowę.

– ...i dla mojej rodziny, dla moich dzieci.

Jakby na potwierdzenie jego ponurych obaw z ulicy dobiegły okrzyki „Śmierć zdrajcom!” nie zwiastujące niczego dobrego... Van de Walie wstał pośpiesznie.

– Co znowu odkryli? Muszę się dowiedzieć.

Po czym wyszedł pozostawiając Waltera z niedobrymi nowinami.

Tej nocy młody człowiek nie zmrużył oka. Zamknąwszy się w swoim pokoju z Bérengerem rozprawiali, w jaki sposób doprowadzić do rozwiązania problemu zgoła nie do rozwiązania: w jaki sposób zorganizować ucieczkę Katarzyny i sprowadzić ją do słodkiej Francji, która wydawała im się prawdziwym rajem utraconym pomimo nękających ją cały czas wiolencji.

Następnego dnia rano strażnik wszedł na górę prowadząc wysokiego mnicha w czarnym habicie ze spuszczonej na twarz kapturem ukazującym zaledwie kawałek rudej brody.

– Czego chcecie? Kogo nam znowu przyprowadziłeś? – rzucił niecierpliwie Walter.

– Świętego mnicha, brata Jana z Kolonii, gdzie modlił się przed relikwiami Trzech Króli. Powróciwszy do swego klasztoru dowiedział się, że pani de Brazey jest w naszym dobrym mieście. Powiada, że ongiś był jej spowiednikiem i że...

– Pani Katarzyna nie chce widzieć nikogo! Wczoraj wysłuchała mszy.

– Ale doniesiono mi, że się nie spowiadała i dawno nie przyjmowała komunii – przerwał mnich z flamandzkim akcentem. – A ongiś pani ta pilnie spełniała swoje obowiązki religijne. Dlatego pomyślałem, że chętnie wróci do dawnych przyzwyczajzeń – dodał i nie czekając na pozwolenie wkroczył do pokoju Katarzyny.

– Moja droga! – krzyknął na progu, a jego flamandzki akcent zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Przypatrz mi się z bliska! Wyobraź sobie, że nie mam tej śmiesznej brody, a zamiast postrzępionego habitu... ubrany jestem w jedwabie i złoto, na piersi zaś mam wyhaftowany herb naszego dobrego księcia Filipa...

W miarę jak mówił, oczy Katarzyny ogromniały ze zdumienia i nagle Walter ku swemu zachwytowi ujrzał, że błysnęły radością.

– Pan? Pan tutaj? W tym przebraniu? Ja chyba śnię?...

– Ależ tak, to ja!... Zaskoczona? Przyznam, moja droga, że sam jestem zdumiony widząc się w tym przebraniu!

I dziwny mnich stanął przed wielkim, srebrnym lustrem, by lepiej się sobie przyjrzeć.

– Nie do wiary! Wprost nie do wiary! – cmokał z uznaniem. – Ciekawe, co by powiedziały damy, widząc mnie w takim stroju? – Po czym odwrócił się w stronę Katarzyny i skłonił się z gracją.

Katarzyna uśmiechała się jak dziecko na widok dobrotliwej wróżki. Walter, o którym zupełnie zapomniała, zrobił obrażoną minę i burknął:

– Gdybyś zechciała mnie, pani, oświecić... Kim jest ten przebieraniec?

– To stary przyjaciel, Jean Lefebvre de Saint-Remy, fechtmistrz i niepodważalny arbiter elegancji na książęcym dworze, znany na dworach Europy jako Złote Runo. Usiądź bliżej, przyjacielu, i powiedz, co cię do mnie sprowadza.

– Sam książę, pani! Kiedy się dowiedział, że ci niegodziwcy ośmielają się ciebie tu trzymać, wpadł w okropny gniew. Na dodatek nie mógł pojąć, skąd się wzięłaś w Brugii ani dlaczego tak nagle zniknęłaś z pałacu w Lille.

Katarzyna opowiedziała, co zdarzyło się następnego dnia po nocy królów. Wyjawiała także, dlaczego udała się z Van Eyckiem do Brugii i jak się skończyła jej „pielgrzymka”.

– Obawiam się, że to ja przyczyniłam się do śmierci nieszczęsnej Florentynki, która była gotowa mi pomóc. Tutejsi ludzie sądzili, że noszę dziecko księcia, więc zabili ją, by nie mogła przerwać ciąży.

Saint-Remy przyjrzał się z niepokojem sylwetce przyjaciółki.

– Który to miesiąc?

– Piąty...

– To nie ułatwi nam zadania... Gdyż, oczywiście, przybyłem tutaj, by pomóc ci w ucieczce!

Spod obszernego habitu wyciągnął czarny pakunek, z którego wyjął mnisi habit i położył go na kolanach Katarzyny, po czym w krótkich zdaniach nakreślił plan ucieczki. Katarzyna miała w nocy wyjść na dach i dostać się do sąsiedniego domu, który nie będzie prawdopodobnie pilnowany, następnie wsiąść do czekającej barki i dopłynąć do klasztoru augustynów, w którym nikt nie będzie jej szukał...

Nagle głos gościa posmutniał.

– Nigdy nam się to nie uda... Jesteś taka słaba... A do tego twój stan... Nie uda ci się wspiąć na dach, ześlizgnąć po rynnie...

– Nie martw się, przyjacielu! – rzekła Katarzyna z uśmiechem. – Musi się udać! Obiecuję ci!... Daj mi tylko dziesięć dni, tylko dziesięć dni!

– Zgoda. W takim razie pozwól, że odejdę. Lepiej nie przedłużajmy naszej rozmowy, gdyż to mogłoby wzbudzić podejrzenia. W nocy, 18 kwietnia, opuścisz ten dom... Czy można zaufać twemu giermkowi?

– Całkowicie! Odpowiadam za niego. Zawołaj go i poproś, o co zechcesz!

Po chwili zjawił się Walter, zostawiając za drzwiami na straży Bérengera umierającego z ciekawości. Saint-Remy w kilku słowach powiedział mu, czego od niego oczekuje: należało przygotować przeprawę Katarzyny przez dachy nie wzbudzając podejrzeń służących.

Na odchodnym Saint-Remy nie mógł pojąć, dlaczego ten młody giermek, który przyjął go tak niechętnie, teraz ścisnął mu dłonie z zapalem i ze łzami w oczach.

Tej nocy, przed zapadnięciem w sen, pierwszy dobry sen od wielu tygodni, Katarzyna stwierdziła ku własnemu zaskoczeniu, że znowu robi plany na przyszłość. Nie chciała zaprzepaścić bożego miłosierdzia, które z takim mozolem czyniło wysiłki, by zmusić ją do życia. Kiedy wreszcie opuści Brugię, wróci do Dijon do wuja Mateusza i Bertylki, gdzie wyda na świat znienawidzone dziecko. Staruszkowie pewnie chętnie nim się zajmą i zapewnią mu przyszłość, nie mogła bowiem mimo odrazy skazać na nędzę i śmierć istoty, którą sama wyda na świat...

Następne dni wlokły się w nieskończoność. Katarzyna zmuszała się do jedzenia, by odzyskać nadwątlone siły. Atmosfera wśród trzech więźniów całkowicie odciętych od świata zewnętrznego stawała się coraz bardziej napięta. Nikt ich nie odwiedzał, z wyjątkiem szefów korporacji, którzy przychodzili regularnie co wieczór upewnić się, czy Katarzyna jest w pałacu.

Wreszcie nadszedł wyczekiwany dzień 18 kwietnia. Nieco przed jedenastą Katarzyna, która w ubraniu położyła się na łóżku, wstała usłyszawszy pukanie Waltera do drzwi. Na ciemną sukienkę nałożyła habit, a do paska przypięła sakiewkę z odrobiną pieniędzy i sztylet, po czym dołączyła do chłopców.

Pochód otwierał Walter, który osłaniając płomień świecy dłonią prowadził zbiegów w stronę schodów wiodących na strych, gdzie składowano mąkę, owies dla koni i owoce jesienne. W środku pachniało jabłkami i winogronami.

Walter postawił świecę na podłodze i otworzywszy lukarnę, wyjrzał na zewnątrz.

– Czy widzisz strażników? – szepnął Bérenger.

– Widzę tylko dwóch. Drzewa zasłaniają widok.

– A widzisz barwę?

– Nie...

W tej chwili wybiła jedenasta. W ciemności Walter chwycił Katarzynę za rękę i ścisnął ją.

– Odwagi, pani Katarzyno! To nie potrwa długo. Lecz przede wszystkim

nie bój się! Ja pójdę pierwszy, a Bérenger jako ostami. Czy możemy ruszać?

– Możemy. Postaram się nie bać.

Młody człowiek zwinnie prześlizgnął się na zewnątrz. Chwyciwszy się jedną ręką za rzeźbę zdobiącą lukarnę, drugą podał Katarzynie, która wkrótce również znalazła się na stromym dachu. Serce w jej piersi łomotało ze strachu jak oszalałe.

– Nikt nas nie zobaczy – szepnął Walter. – Teraz będziemy przesuwając się do przodu. Nic się nie bój, pani, trzymam cię!

Chwyciwszy ją za zdeformowaną talię, krok po kroku posuwał do przodu, starając się zasłonić przed nią lśniąca w dole taflę kanału.

– Już prawie jesteśmy. Widzę barękę. Bérenger, podaj mi sznur i chustkę!

Walter rozwinął sznur i spuścił go na dół. Po chwili poczuł, że sznur się naprężył.

– Trzyma go! Zaraz będziemy mieć drabinę!

W istocie, trzema pociągnięciami sznura Saint-Remy dawał znak, że można ją podnieść. Po chwili Walter trzymał drabinę, którą należało jeszcze umocować.

Nie było to łatwe. Sam z trudem utrzymując równowagę, musiał podtrzymywać Katarzynę i słyszał tylko szczykanie jej zębów. Sam przez to się denerwował i ręce mu się trzęsły. Wreszcie drabina została solidnie zamocowana i opadła do wody.

– W porządku! – rzucił Walter do Katarzyny. Twój przyjaciel jest na dole, drabina ani drgnie. Teraz pomogę ci zejść.

Żywo owinał ją w pasie sznurem, którego koniec zamotał sobie u pasa, po czym próbował odzepić Katarzynę od ściany, lecz czuł, że ta trzęsie się jak osika i kurczowo trzyma się belki.

– Nie bój się, błagam! Jeśli się poślizgniesz, ja cię przytrzymam. To nie jest tak wysoko. Trochę odwagi! Pamiętaj, że jeśli nie uciekniemy, będziemy wszyscy zgubieni.

Lecz ona tak się bała, że nie była w stanie myśleć. Zacisnąwszy oczy nie widziała niczego, lecz wyobraźnia podpowiadała jej dokładnie, co im grozi. Wypuściła gzyms i zrobiła jeden krok podtrzymywana przez Waltera.

– Tak, dobrze... powoli... Teraz zegnij kolano, aż dotkniesz pierwszego szczebla... Powoli... Trzymam cię.

Z duszą na ramieniu starała się usłuchać, lecz w tej chwili gwałtowny podmuch wiatru zakołysał drabiną... Katarzyna pomyślała, że spada. Pod stopami czuła próżnię. Starając się uczepić, uczyniła fałszywy ruch, z przeraźliwym jękiem wypuściła wszystko i runęła w dół pociągając za sobą Waltera.

Zderzenie z taflą wody było tak bolesne, że straciła przytomność.

Rozdział jedenasty

ZIELONE ŚWIĄTKI

Nieoczekiwane nurkowanie na szczęście nie uczyniło Walerowi szkody. Zebrawszy siły dopłynął do barki, ciągnąc za sobą bezwładne ciało Katarzyny. W trójkę, gdyż Bérenger pokonał drabinę w trzech susach, wyciągnęli kobietę z wody. Straciła przytomność, lecz oddychała.

– Na Boga! Nie uwierzyłbym, że ją uratujemy w tej ciemności – nie mógł nadziwić się paż. – Gdybyś nie wpadł na pomysł, żeby ją do siebie przywiązać, na próżno byśmy jej szukali. Co się właściwie stało?

– Nie wiem dokładnie – odparł Walter. – Była przerażona. Szkoda, że nie wziąłem jej na barana, lecz na to nie było miejsca na gzymsie.

– Najważniejsze, że jesteście w komplecie! – przerwał oczekujący w barce Saint-Remy. – A teraz musimy zniknąć!

Saint-Remy z Walterem chwycili za wiosła, a Bérenger usiadł z tyłu i podtrzymywał głowę swej pani. Barka sunęła bezszelestnie po ciemnej tafli wody. Wkrótce nad brzegiem kanału wyrosła czarna sylwetka klasztoru augustynów z majaczącą u podstawy wnęką, gdzie Saint-Remy przycumował łódź. W głębi wylaniały się schody, których ostatnie stopnie ginęły w wodzie. Jak na zawołanie po stopniach zbiegł człowiek, oświetlając sobie drogę luczycem.

– Nareszcie! – westchnął z ulgą. – Za chwilę zabrzmi jutrznia i zaroi się od braci.

Był to przeor augustynów, o czym świadczył piękny złoty krzyż wysadzany szafirami widniejący na jego piersi. Jego ciemne oczy błyszczały ogniem mistycznym, a głęboki głos należał do tych, który jest w stanie porwać tłumy.

– Pani de Montsalvy miała wypadek, ojciec Cyprianie, spadła z dachu do kanału. Straciła przytomność. Jeśli nie chcesz, by twoi mnisi dowiedzieli się, że jest tu kobieta, trzeba umieścić ją w miejscu odosobnionym, gdzie można by ją wyleczyć, gdyż obawiam się...

Saint-Remy nie dokończył. Walter, który podniósł Katarzynę z barki, miał na rękach krew. Ruch musiał spotęgować cierpienie kobiety, gdyż zaczęła jęczeć.

– O Boże! Ona jest ranna! – szepnął przeor.

– Ranna nie jest – odparł Walter – lecz prawdopodobnie poroniła... Słyszając te słowa przeor zeszywniał.

– Jesteś tego pewien?

Prawie całkowicie... Krew i boleści nie mogą mylić. A wszystkiemu winien upadek z drabiny. Gdzie mogę ją zanieść, wielebny ojciec?

– zapytał i nie czekając na odpowiedź zaczął wspinać się po schodach, lecz przeor zatrzymał go w pół drogi.

– Jest niemożliwością, by dama ta tutaj pozostała – rzekł łagodnie, lecz zdecydowanie. – Klasztor nie jest zbyt wielki i mury nie zdołają zagłuszyć jej krzyków.

Saint-Remy i chłopcy spojrzeli po sobie z rozpaczą.

– Sądzę jednak, że jest pewne rozwiązanie – ciągnął przeor.

– Mam na myśli zakon tercjarek. To jedyne zgromadzenie kobiet, gdzie ta biedaczka znajdzie przyjęcie i opiekę. Tercjarki doskonale zajmują się chorymi.

– I sądzisz, że otworzą nam drzwi w środku nocy, kiedy my bardziej wyglądamy na zbirów niż uczciwych ludzi. To w większości szlachetne damy pochodzące z bogatych rodów.

– Nie obawiajcie się! Otworzą, jeśli pójdę z wami. Jednak pośpieszmy się, gdyż muszę wrócić na jutrznię. A ci młodzi ludzie wrócą z nami, gdyż tercjarki nie przyjmą ich pod swój dach.

– Nie chcemy opuścić naszej pani ani zostawić jej w obcych rękach – zaperzył się Bérenger jak młody kogut.

– Nie będzie opuszczona i będzie żyła. Jeśli nie przystaniecie na moją propozycję, ona umrze: wybierajcie, a chyżo!

Zamiast odpowiedzi Walter zaniósł Katarzynę do barki i położył jej głowę na swych kolanach. Przeor zatknął łuczywo w żelaznej obręczy nad schodami, po czym wraz z Saint-Remy i Bérengerem zajął miejsce w łodzi i eskapada ruszyła na południe.

Zakon Winorośli założony dwa wieki temu przez hrabinę Flandrii, Joannę z Konstantynopola, był obszernym majątkiem otoczonym potężnym murem, zza którego sterczały korony wysokich drzew. Zamykał się w nich kościół pod wezwaniem Świętej Elżbiety, przytułek i rzędy bielonych domków ciągnących się wzdłuż wielkiego pola obsadzonego drzewami i kwiatami. Każda z sióstr miała swój domek i chociaż nie składały ślubów, wszystkie były posłuszne przełożonej nazywanej Grande Dame. Po dwóch latach nowicjatu tercjarka dostawała mały domek i oddawała się regule ubóstwa, modlitwy i pracy. We Flandrii wiele wdów i dziewcząt, które nie mogły znaleźć męża, wybierały właśnie ten zakon zamiast zwykłego klasztoru, gdyż w każdej chwili można było go opuścić.

Barka zatrzymała się pod mostem, naprzeciw bramy do klasztoru. Przeor augustynów sam wyszedł na brzeg i pociągnął za sznur dzwonu...

Wkrótce powrócił w towarzystwie dwóch kobiet w czarnych habitach i białych kornetach niosących nosze. Ułożono na nich jęczącą Katarzynę, lecz gdy Walter i Bérenger chcieli podnieść je z ziemi, jedna z nich zaprotestowała:

– My same zajmiemy się chorą. Wy musicie odejść, lecz obiecujemy, że doniesiemy wam o stanie jej zdrowia.

– Niech Bóg cię błogosławi, dame Beatrycze – odparł ojciec Cyprian – i niech was ochrania.

– Jesteśmy biedne i zarabiamy na chleb jak najskromniejszy robotnik w mieście. Żaden z nieprzyjaciół tej kobiety nie ośmieli się przekroczyć naszego progu. Życzę wam dobrej nocy, bracia!

Drewniana brama zamknęła się za Katarzyną. Po raz pierwszy od wielu miesięcy Walter i Bérenger zostali oddzieleni od swej pani i znaleźli się za bramą, której nie wolno im było przekroczyć. Choć jednemu i drugiemu łza zakręciła się w oku, skoczyli do barki i ruszyli z powrotem do klasztoru augustynów.

Katarzyna nie miała pojęcia, co się z nią działo, od kiedy wyciągnięto ją z

wody. Cień świadomości, jaki powrócił na chwilę, szybko zatonął w morzu cierpienia, które zawładnęło jej ciałem na wiele dni.

Upadek nadwreżył wszystkie jej mięśnie, a każdy skurcz wywołany poronieniem palił jak rozgrzane do czerwoności żelazo. Jej rozdarty brzuch był jednym ostrym, promieniującym bez końca bólem. Była samym cierpieniem, rozdartą sosną. Kat ze swoją siekierą wydałby się jej chyba aniołem wyzwolenia. Czasem, jak przez mgłę, dostrzegała czarno-białą postać poruszającą się w polu widzenia. Czuła wtedy na twarzy coś chłodnego, coś, co usuwało na chwilę palące łyzy, pachniało ziołami i oddalało zapach krwi. Od czasu do czasu, kiedy ból na moment dawał za wygraną, zapadała w sen jak zwierzę. Lecz te chwile wytchnienia nie trwały długo, przepędzane przez kły dzikiego potwora rozrywające jej wnętrzności...

Po wielu dniach udreki światło zwyciężyło ciemności i Katarzyna wróciła do życia w promieniu słońca. Wszystko wokół niej było białe: łóżko, na którym spoczywała, lniana koszula na ciele i zasłony w oknie, przez które przedzierały się wesołe promienie, spoczywając na jej powiekach. Miała wrażenie, że znajduje się w środku przezroczystej muszli, wewnątrz chmury i czuła się lekka, taka lekka...

Cicho zaszeleściły zasłony zdradzając czyjąś obecność. Katarzynie zdało się, że zaraz ujrzy anioła... lecz jej oczom ukazała się drobna staruszka w czarnej sukni, białym fartuchu i w śnieżnobiałym kornecie na głowie. Staruszka spojrzała uważnie na chorą i stwierdziwszy, że ma oczy szeroko otwarte, uśmiechnęła się z zachwytem.

– Niech będzie błogosławiona święta Elżbieta! – westchnęła.

– Nareszcie się obudziłaś, moje dziecko! A jak się czujesz? Katarzyna bez trudu odwzajemniła uśmiech.

– O wiele lepiej, dziękuję... Powiedz mi, gdzie ja jestem?

– Nie wiesz, gdzie jesteś?

Katarzyna odwróciła twarz w stronę okna i ujrzała między drzewami rząd białych domków na łące usianej wiosennym kwieciem niczym gobelin z Arras. Wśród świeżej zieleni pyszniły się żonkile, narcyzy i kępki fiołków.

– Jesteś w zakonie Winorośli, a ja jestem siostra Urszula, do usług – wyjaśniła staruszka z ukłonem.

– Lecz... jak się tutaj znalazłam?...

– To Grande Dame przyjęła cię pod nasz dach i ona wszystko ci wyjaśni. Ja nie ośmieliłabym się... Jesteś uratowana, lecz teraz musisz odzyskać siły, gdyż straciłaś mnóstwo krwi... Tak, przez ten nieszczęśliwy wypadek straciłaś dziecko – dodała ze smutkiem widząc, że Katarzyna dotyka swego brzucha.

Chora opadła na poduszki i wybuchnęła szlochem. Siostra Urszula opuściła pokój na czubkach palców przekonana, że nieznajoma opłakuje stratę swego potomka, nie przypuszczając nawet, że tamta płacze z doznanego uczucia ulgi. Katarzyna dawno nie czuła się tak dobrze w swojej skórze ani pogodzona z samą sobą... I powoli zasnęła.

Kiedy Beatrycze przyszła ją odwiedzić, okazała wielkie zadowolenie widząc swą podopieczną siedzącą w łóżu. Przerwawszy jej podziękowania, Grande Dame uśmiechnęła się.

– Spełniłyśmy tylko swój obowiązek, przyjmując cię tutaj, kiedy twoje

życie było w wielkim zagrożeniu. Niestety, nie mogliśmy przyjąć twoich służących, gdyż nasza reguła tego zabrania, lecz bądź pewna, że zawiadamialiśmy ich często o stanie twego zdrowia.

– Gdzie oni się podziewają?

– Są w klasztorze augustynów – odparła Beatrycze i w krótkich zdaniach opowiedziała to, co wiedziała o okropnej nocy 18 kwietnia.

– W twoim stanie powinniśmy były odesłać cię do szpitala, lecz ojciec Cyprian dał nam do zrozumienia, że tam mogłabyś zostać rozpoznana. Dlatego zatrzymałyśmy cię u nas, a ponieważ jeden z naszych domków był pusty, umieściliśmy cię w nim. Mam nadzieję, że będzie ci tu dobrze podczas rekonwalescencji i potem...

Katarzyna zadrżała.

– Potem?... Ależ gdy tylko przyjdę do siebie, nie będę dłużej wam zawadzać. Muszę wrócić do domu!...

– Lecz jest to niemożliwe, pani. Nasz klasztor to prawdziwa ostoja spokoju, nie zapominaj jednak, że znajdujemy się w Brugii, a Brugia jest w stanie wojny albo prawie... Twoja ucieczka narobiła wiele hałasu. Całe miasto zostało przeczesane, oczywiście oprócz naszego klasztoru. Ci, co cię więzili, wściekają się, gdyż sądzą, że uciekłaś do księcia. Obawiają się, byś nie namówiła go do zemsty, i nienawidzą cię przez to z całych sił. Sama widzisz, że wyjście stąd byłoby czystym szaleństwem. Uwierz mi, lepiej z nami zostać przez jakiś czas.

– Co będę robić całymi dniami?

– To co my wszystkie: modlić się i pracować. Każda z nas utrzymuje swój domek w porządku, przygotowuje sobie posiłki... a poza tym, żeby się utrzymać, tkamy wełnę i tworzymy teraz nową specjalność: koronki na klockach.

Trzy dni później Katarzyna była na nogach i zaczęła żyć życiem zakonu. Siostra Urszula przyniosła jej trochę wełny do tkania, a siostra Berta małą niebieską poduszkę, nici lniane, szpilki i małe klocki i nauczyła ją stawiać pierwsze kroki w sztuce koronczarskiej. Ubrana w suknię, którą dostała od Beatrycze, z bursztynowym różańcem w kieszeni, Katarzyna spędzała poranki na sprzątaniu i przygotowywaniu sobie posiłków, po południu zaś zasiadała do wrzeciona czy do poduszki, modliła się i marzyła. Dzięki bilecikom od Saint-Remy'ego czy Waltera dowiadywała się, co słychać w mieście. Otóż wysłannikom z Brugii książę odparł, że nie ma czasu zajmować się ich sprawami i że obowiązki wzywają go do Holandii, by zdusić ostatnie oznaki zatargów.

„Ci poczciwi brugijczycy, pisał Saint-Remy, próbowali dowiedzieć się, czy wróciłaś do księcia, lecz kiedy nieśmiało wymienili twoje imię, pan spiorunował ich takim spojrzeniem, że byliby się zapadli pod ziemię. Wrócili z kwitkiem, by prosić Van de Walle'a o pozwolenie przejazdu księcia z wojskiem przez miasto, na co ten, chcąc nie chcąc, musiał się zgodzić. Nie miał wyboru, w przeciwnym razie zapewne ujrzałyby pod murami maszyny oblężnicze i handel miejski zostałby całkowicie zrujnowany.

Tak czy inaczej, wkrótce książę będzie w mieście. Bądź przygotowana na przedostanie się do nas w przebraniu mnicha, które ci pošlę w przeddzień jego

przejazdu. Przy nim będziesz bezpieczna i odzyskasz wolność.

Twój giermek i paż umierają z nudów. Zostali wprowadzeni do klasztoru jako wędrowni mnisi, jeden podał się za Normandczyka, drugi za Prowansalczyka, ja zaś za pielgrzyma, toteż ciągle musimy przesiadywać w kaplicy i klepać zdrowaśki. Przeor powiada, że to dla nas jedyna okazja popracować nad zbawieniem duszy, więc nie możemy doczekać się przyjazdu księcia!”

List ten, nadesłany z początkiem maja, był zapowiedzią rychłego oswobodzenia. Było pewne, że obecność księcia w Brugii oznaczała najlepszą okazję do ucieczki. Tej nocy zasypiając w swoim łóżu z białymi zasłonami oddała się cudownej pieszczocie słodkiej nadziei: rychłego powrotu do Montsalvy. To, co jeszcze wczoraj wydawało się odległą perspektywą, nagle zmieniło się w niedaleką przyszłość. Oczywiście, księciu należało się kilka słów wyjaśnień, lecz po tym wszystkim, co przeszła, rozmowa, nawet burzliwa z dumnym księciem, nie przerażała jej.

Wieczorem, 21 maja, w dzień Zielonych Świątek, do domku Katarzyny weszła Beatrycze z zawiniątkiem pod pachą.

– Dzisiaj w nocy opuścisz nas, drogie dziecko. A tę paczkę przysłano przed chwilą z klasztoru augustynów.

– Czy księżę przybywa do Brugii?

– Znajduje się niecałe pięć mil stąd. Jutro, podczas kiedy jego armia otoczy mury, on sam wjedzie do miasta z najbliższą świtą i małą eskortą. Notable przygotowują się już na jego przyjęcie. Przed świtem sama przyjdę po ciebie i zaprowadzę cię do barki, w której będą czekali twoi przyjaciele.

– Beatrycze, jestem ci nieskończenie wdzięczna za wszystko, co dla mnie uczyniłaś. W jaki sposób mogłabym się odwdziaczyć?

– Jutro, gdy spotkasz księcia Filipa, zapomnij o doznanych tu przykrościach i proś go o łaskę dla naszego miasta. Widzisz, tutejsi ludzie są jak dzieci: czując się winne wobec przełożonych, coraz bardziej pogrążają się w buncie. Ciężka kara często zamienia bunt w nienawiść, podczas gdy słowo przebaczenia może sprowadzić na winnego łzy skruchy.

– Wiem, Beatrycze, i bądź pewna, że zawsze kochałam Brugię! Uczynię wszystko, co w mej mocy!

Jednak tej nocy Katarzyna nie mogła zmrużyć oka. Było coś, co ją niepokoiło nie wiedzieć czemu. Może decyzja Filipa o wejściu do Brugii w otoczeniu nielicznych rycerzy, a może to, że prosił miasto o „pozwolenie”. To nie było do niego podobne! Wszyscy znali dumnego księcia Zachodu, jego spryt i mściwość. Czy istotnie zamierzał zostawić swoją armię poza miastem, a sam z garstką ludzi wejść do środka, gdzie niedawno została przelana krew jego ludzi?

Kiedy Grande Dame wróciła, zastała Katarzynę ubraną w mnisi habit gotową do drogi. W milczeniu chwyciła ją za rękę i przez cichy sad zaprowadziła do barki.

– Idź z Bogiem, moja córko – szepnęła całując ją i szybko zniknęła za bramą, nie dając jej czasu na wypowiedzenie choćby jednego słowa pożegnania. Lecz już trzy cienie rzuciły się w jej stronę i trzy pary męskich ramion uniosły ją do barki z radością.

– Nie kłamiąc – westchnął Walter – ten miesiąc spędzony bez ciebie,

pani, był najdłuższy w całym moim życiu...

Dzień Zielonych Świątek wstał wietrzny i niebo zaciągnęło się ciemnymi chmurami. Na ulicach zgromadził się nieprzebrany tłum i czterej fałszywi mnisi z łatwością wmieszali się w ciżbę. Koło trzeciej doniesiono, że księżę już zbliża się do miasta. Był to sygnał dla notabli, by ruszyli na jego powitanie. Katarzyna zauważyła Van de Walle'a, i żołnierzy w zbroi. Mnisi ruszyli za orszakiem, a po jakimś czasie można było dostrzec chorągwie Burgundii i pierwszych rycerzy z ochrony osobistej księcia. Na czele jechał sam Filip uzbrojony po uszy na koniu odzianym w zbroję. Kiedy księżę przejechał linię swych straży, zatrzymał się i podparłszy się pod bok czekał, aż pochód brugijczyków dotrze do niego.

Van de Walie i jego ludzie zbliżali się do księcia, kiedy spośród tłumu zgromadzonego na murach dobiegł krzyk:

– Pikardyjczycy! Zdrada!

Krzyk usłyszał Van de Walie i gestem chciał uspokoić współobywateli, lecz istotnie, z lewa i prawa nadciągało krokiem bojowym zbrojne rycerstwo i pikardyjscy łucznicy podobni do żelaznej zapory.

Rozległy się okrzyki:

– Zamknijcie bramy! Nie pozwólmy im wejść!

Ludzie rzucili się do kołowrotu służącego do spuszczenia żelaznej kraty, inni próbowali podnieść olbrzymi most zwodzony, lecz było już za późno. Pikardyjczycy wtargnęli do środka i siłą torowali sobie drogę wśród ciżby ludzkiej. Gdy pojawili się pod bramą, ci, którzy tam się znajdowali, puciekali w popłochu przed siekącym deszczem ich strzał, wielu jednak padło trupem. Katarzyna ujrzała z przerażeniem jakąś kobietę stratowaną przez konia, który spokojnie przeszedł po jej ciele kierowany ręką bezlitosnego rycerza.

Księżę zbliżał się w otoczeniu notabli zaklinających go, by powstrzymał swych żołnierzy i dochował obietnic. Można było jednak słyszeć, jak księżę krzyczy:

– Nie odstąpię od mego rycerstwa. Wasze miasto jest zdradzieckie i nie mam już do was zaufania!

Potem, kiedy odgłos kopyt jego konia zabrzmiał na deskach mostu zwodzonego, Katarzyna zobaczyła, jak wyciąga wielką szpadę i wskazując mury, na których niczym wyzwanie łopotały chorągwie z herbami korporacji, rzuca:

– Oto Holandia, którą muszę sobie podporządkować! Odpowiedziały mu aklamacje rycerstwa i pikardyjskich łuczników.

Gdy wjeżdżał pod sklepienie, pojawiła się przed nim procesja księży z katedry Saint-Sauveur. Dwa rzędy diakonów w białych habitach otaczały biskupa niosącego kapiący od drogocennych kamieni Święty Sakrament. Biskup pozdrowił księcia i wniósł do góry swą świętość, zmuszając Filipa do zejścia z konia i ukłęknięcia przed Bogiem.

– Nie atakuj tego dobrego miasta, najjaśniejszy panie – prosił biskup. – Jest nieszczęśliwe i cierpi z powodu twego gniewu! Obiecałeś...

– Niczego nie obiecywałem! – krzyknął Filip gniewnie. – Miałem zamiar przejść przez to przekłete, zbuntowane miasto, a jeśli część mego rycerstwa podąży przede mną, to nie znaczy wcale, że napuściłem nań całą moją armię! Nie wyobrażasz sobie chyba, że miałbym przechadzać się sam po waszych

niebezpiecznych ulicach, zdany na łaskę skrytobójczego sztyletu? Tak więc, panie biskupie, wracaj do swej katedry i pozostaw mnie mojej książęcej funkcji!

Książę otoczony rycerzami czekał, aż procesja pójdzie swoją drogą. Wtedy Saint-Remy chwycił mocno rękę Katarzyny.

– Nadeszła odpowiednia chwila! Ruszajmy!

Ciągnąc za sobą młodą kobietę, której ani na krok nie odstępowali młodziankowie, rzucił się do przodu i stanąwszy naprzeciw księcia zerwał swoją sztuczną brodę, czarny kapiszon i pokłonił się władcy.

– Panie, przyszedłem zdać sprawę z mojej misji z tym większą radością, że udało mi się szczęśliwie doprowadzić ją do końca! – Jednocześnie odrzucił do tyłu kapiszon Katarzyny, która również zgięła się w ukłonie. – Popatrz sam, panie!

Ponura twarz Filipa Burgundzkiego pojaśniała.

– Nareszcie cię widzę, sire Złote Runo! Doprawdy, zaczynałem obawiać się, że straciłem mego mistrza fechtunku! I pani też tutaj?... Co za radość widzieć cię znowu i w dobrym zdrowiu...

Schylił się, by pomóc wstać Katarzynie, piorunując ją spojrzeniem.

– Będziesz musiała wyjaśnić mi wiele spraw, moja droga, jak tylko skończymy z tymi ludźmi...

Katarzyna, przypomniawszy sobie o przyrzeczeniu danym pani Beatrycze, złączyła dłonie w błagalnym geście.

– Panie, okaż łaskę Brugii! Wystarczy tak niewiele, by to miasto stało się na powrót najwierniejszym z twoich miast i...

Książę przerwał jednak z niecierpliwością.

– Ani słowa więcej o tym! Jeśli tu jestem, to po części, by cię, pani, uratować, a nie byłbym do tego zmuszony, gdybyś sama nie weszła w to gniazdo os! W tej sytuacji zostań tutaj i wraz z Saint-Remy i twoimi ludźmi czekaj na mnie. Zawiadomię cię, kiedy miasto będzie moje!

Fechtistrz bez słowa pociągnął przyjaciółkę w stronę strażników bramy, lecz ona stawiała opór, chcąc widzieć, co będzie działo się dalej. Tymczasem książę zbliżał się wraz ze swymi ludźmi i notablami nie przestającymi wznosić błagalne okrzyki. Książę jednak nie odpowiadał i szedł do przodu z zimnym grymasem na ustach.

– Nie podoba mi się to! – wymamrotał Saint-Remy. – Jest zbyt pewny siebie, a nie ma przy sobie dość ludzi. Czternaście czy piętnaście setek Pikardyjczyków nie wystarczy, by zdobyć stutysięczne miasto! Mam nadzieję, że reszta armii jest tuż tuż!

W istocie, na drodze poruszały się nowe zastępy błyszczące stalą i wielokolorowymi chorągwiami. Lecz nagle przebrani mnisi stracili wszystko z pola widzenia. Otóż z murów runęła ludzka fala z okrzykami zemsty i zanim łucznicy zorientowali się, co się święci, dwadzieścia silnych ramion zaprzęgåło się do kołowrotu wielkiej kraty, która runęła w dół z apokaliptycznym skrzypieniem.

– O słodki Jezusie – szepnęła Katarzyna. – Książę został odcięty od swojego wojska!

– Musimy go zawiadomić! – rzucił Walter. – Ty idź, panie Złote Runo. Ciebie posłucha! Ja z Bérengerem będę czuwać nad panią Katarzyną!

Równocześnie ze wszystkich stron natarły kobiety, mężczyźni i dzieci z

kijami, siekierami i nożami. Widząc to Filip rzucił rozkaz swym łucznikom, by zaczęli strzelać. Sam wyciągnął szpadę i rozplątał mężczyznę, który rzucił się do szyi jego konia. Towarzysząca mu grupa panów i rycerzy cofała się w stronę bramy, nie przestając rozdawać ciosy, lecz ich ciężkie zbroje były raczej przeszkodą w tej sytuacji. Powstało okropne zamieszanie. Nagle jakiś człowiek rzucił się pomiędzy księcia i rozwścieczony tłum.

– Ludzie! Błagam was! Zastanówcie się, co robicie! Toż to wasz władca i nie macie prawa go tknąć! Bóg was ukarze, a zemsta Burgundii dotknie śmiertelnie nasze miasto i zniszczy je na zawsze!

Był to sam Van de Walie. Burmistrz w potarganym odzieniu, na które spływała krew z rozplątanego ramienia, próbował zapobiec najgorszemu: zabiciu księcia Filipa. Nikt jednak nie chciał go słuchać.

Tymczasem Saint-Remy i Walter opanowali sytuację przy kracie i zamierzali ją podnieść, lecz okazało się to niemożliwe.

– Założyli łańcuch! – krzyknął Walter. – Trzeba roztrzaskać kłódkę. Walił w nią młotkiem z całych sił, że aż poszły skry, lecz kłódka nie puszczała.

Przyciśnięci do kraty wraz z księciem i garstką rycerzy odpierali ludzką nawałnicę. Wreszcie kłódka puściła i po chwili krata poszła w górę, co Pikardyjczycy stojący za murami miasta przywitali okrzykami zwycięstwa. Rzucili się w stronę księcia, chcąc roznieść atakujący tłum na lancach, lecz książe rozkazał:

– Wycofujemy się, mości panowie! Nie możemy walczyć przeciwko stu tysiącom wariatów!

Po czym chwyciwszy Katarzynę za nadgarstek uniósł ją i posadził za sobą na koniu. Zastęp ruszył przez most zwodzony, lecz książe po kilku krokach zatrzymał konia i odwróciwszy się dał upust swej złości.

– Jeszcze raz zmuszasz mnie, bym stąd odszedł, przeklęte miasto! Ale tym razem nie wybaczę ci tego! Kiedy wrócę... a wrócę niebawem, wiedz, że nie zaznasz ode mnie litości!

I płonąć z gniewu, ruszył pędem w stronę Roeselare, unosząc szlochającą nerwowo Katarzynę, przyciśniętą do jego pleców i oplatającą go rękami w pasie. Do uszu uciekających dobiegały okrzyki zwycięstwa brugijczyków.

Podczas całej jazdy książe nie odezwał się ani słowem, a po przybyciu do zamku Roeselare, w środku nocy, zeskoczył z konia wykończony i ciągnąc za sobą opadającą z sił Katarzynę zamknął się z nią w swoim pokoju, zapowiadając, że zabrania, by mu przeszkadzano, choćby nie wiem jak ważna była sprawa.

Zamknawszy drzwi, zaczął krążyć tam i z powrotem jak lew w klatce, przeżuwać swój gniew i wstyd. Zziębnięta Katarzyna zbliżywszy się do płonącego kominka słyszała, jak mamrocze coś pozornie bez związku. Nigdy jeszcze nie widziała go w takim stanie i przez chwilę obawiała się, że postradał zmysły.

Wreszcie, kiedy podszedł do kominka i opadł na taboret, ukrywszy twarz w dłoniach, zaryzykowała nieśmiało:

– Panie... Przeżyłeś okropny dzień. Twoja duma cierpi, lecz nie możesz poddawać się rozpacz! Jesteś wielkim księciem...

Filip zerwał się na równe nogi, jakby opadł go rój os.

– Wielki księżę, którego zgraja sklepikarzy i obwiesiów potrafi wygnać z jego dóbr! Wiesz, ile kosztowała mnie ta przegrana? Co najmniej setka jeńców, martwych nie zliczę, a wśród nich jeden z najlepszych moich kapitanów, Jean de Villiers de l'Isle-Adam, rycerz Złotego Runa! A ty mówisz, że jestem wielkim księciem! Gdyby tak było, już jutro wróciłbym na czele potężnej armii i zrównał to wstrętne miasto z ziemią! Lecz potrzebowałbym wielu miesięcy na zebranie wystarczającej liczby rycerstwa, by móc chociaż przystąpić do oblężenia!

Nagle wybuchnął szlochem, płacząc krokodylimi łzami. Katarzyna pomyślała, że należało wyjść, by nie być świadkiem klęski dumnego księcia.

Powoli szloch ustępował i nastała cisza przerywana tylko trzaskaniem ognia w kominku. Po chwili znowu dał się słyszeć ochrypyły głos księcia:

– Gdzie jesteś? Podejdź tu do mnie...

– Jestem tu, panie...

– Myślałem, że mnie opuściłaś. Podejdź bliżej! Chodź... Wstał, podbiegł do niej, otoczył ją ramionami i przycisnął do jej szyi mokrą twarz.

– Chcę zapomnieć, musisz mi pomóc, Katarzyno... Pokrywał jej szyję, policzki, twarz szaleńczymi pocałunkami, nie zauważając, że ona wcale mu ich nie oddaje i że w jego ramionach jest zimna i nieczuła.

– Cóż mogę uczynić dla ciebie, panie? Pytanie to ostudziło księcia jak wiadro zimnej wody. Rozluźnił uścisk i spojrzał na nią z osłupieniem.

– Co możesz dla mnie uczynić? Pomóc mi zapomnieć i sama wiesz najlepiej, jak to zrobić! Oddaj mi swe ciało, kochajmy się aż do wyczerpania... Zdejmij z siebie to okropne gieżło, rozwiąż włosy. Potrzebuję twego ciała, jego ciepła i słodyczy!

Gończkowymi palcami rozwiązywał sznurówki jej habitu, sznur w talii, denerwując się, gdy napotkał pod spodem drugie czarne gieżło.

– Pomóż mi...

– Nie, panie! Możesz mnie wziąć, lecz nie żądaj, bym ci w tym pomagała. Cofnął się, jakby go spoliczkowała, a na skroniach żyły nabrzmiały mu ze złości.

– Nie chcesz być moja? Odmawiasz mi? Moja kochanka mi odmawia?

– Już nie jestem twoją kochanką, Filipie! Przypomnij sobie, że w Lille odbyło się nasze ostateczne pożegnanie...

– Nie trzeba było więc zostawać w moich ziemiach! Trzeba było wrócić do siebie, tak jak zapowiedziałaś! Myślałem, że jesteś daleko, a kiedy mi doniesiono, żeś ty w Brugii i w stanie błogosławionym... że to na dodatek moje dziecko, że trzymają cię jako zakładnika dla uzyskania swoich przeklętych przywilejów... których im nigdy nie oddam!... Czyje to było dziecko?

– Czy sądzisz, panie, że to ma wielkie znaczenie?

– Owszem, dla mnie ma! Czyż oddając mi się w noc króli nie liczyłaś na to, że wezmę na siebie to wątpliwe ojcostwo?

– Jak na najinteligentniejszego chrześcijańskiego księcia opowiadasz istne głupstwa, panie. Sądziłam, że lepiej mnie znasz... Jeśli chcesz znać prawdę, zostałam zgwałcona przez pijanych żołnierzy w twoim dobrym mieście Dijon i chciałam wyrwać okropny owoc przemocy z mego ciała. Dowiedziałam się o pewnej Florentynce i to jej szukałam w Brugii. Musiałam przejechać przez Lille... gdzie cię spotkałam... i chciałam sprawdzić, czy dawny urok może uleczyć zarówno moje serce, jak i ciało. Byłeś moim pierwszym kochankiem,

Filipie... najcudowniejszym kochankiem, jakiego kobiecie może zesłać los. Tamtej nocy uratowałeś mnie, przywróciłeś mi chęć życia, które wtedy od siebie odpychałam... Nie wyrzucaj mi tego, to byłoby zbyt okrutne!

Książę wrócił do niej i przygarnął ją do siebie.

– A więc dlaczego teraz mi odmawiasz? Spójrz na to łóżko zasłane futrami, spójrz na płomień kominka. Przypomnij sobie, jacy byliśmy szczęśliwi w Lille, przypomnij sobie nasze pieszczoty, naszą rozkosz... chcę ci dać wszystko, a ty daj mi uspokojenie i zapomnienie...

– Zapomnienie? Zapomnienie tego, co dzisiaj uczyniłeś?

– A cóż takiego uczyniłem? Uratowałem cię, jak mi się zdaje!

– O, nie, panie! Uratowali mnie Saint-Remy, przeor augustynów i siostra Beatrycze. A co ty zrobiłeś? Zaraz ci powiem: pomimo danego słowa rzuciłeś rycerstwo na miasto, które otwarło przed tobą swe bramy, kazałeś strzelać do tłumu. Kobiety i dzieci padały od strzał twoich łuczników. Więc nie ty mnie uratowałeś: to moi towarzysze otworzyli ci kratę, pozwalając uciec wraz ze mną.

Zaległa nieznośna cisza. Książę odwrócił się w stronę kominka, a w jego oczach znowu zabłyśły łzy.

– Wybacz mi, Filipie. Nigdy nie umiałam kłamać czy ukrywać uczuć. Wzruszył ramionami i nie patrząc na nią odparł z boleścią:

– Ty już mnie nie kochasz, Katarzyno...

– Ani ty mnie, panie, pomimo tych wszystkich pokojów, które kazałeś urządzić na wzór mojego, pomimo tych wszystkich portretów, które kazałeś namalować. Twoja miłość to tylko pycha i cielesność... lecz nie serce, bo gdy się kogoś naprawdę kocha, można wszystko poświęcić ukochanej istocie, wszystko oddać bez żalu. Może dawniej tak mnie kochałeś... lecz teraz nie. Dlatego chciałabym, byś pozwolił mi odejść...

– Czy zaraz chcesz odejść?

– Tak będzie lepiej. Lepiej, żeby mnie tu nie widziano... a zresztą droga do moich gór daleka.

Książę westchnął ciężko.

– Trudno, odejdziesz więc, gdyż widzę, że nic już cię nie zatrzyma... Wydam odpowiednie rozkazy, by zapewnić ci wygodną podróż.

Katarzyna zbliżyła się do niego i głęboko się pokłoniła.

– *Adieu*, książę...

Filip zaprotestował ruchem dłoni.

– Dlaczego „*adieu*”? Francja i Burgundia żyją przecież w zgodzie... Dlaczego miałbym już nigdy cię nie ujrzeć? Niezależnie, co o tym sądzisz, będę zawsze nieskończenie szczęśliwy mogąc cię gościć...

– Wszystko w rękach Boga... – odparła wymijająco i złożonywszy pocałunek na dłoni księcia, wstała i wyszła z pokoju, nie odwracając się nawet i nie chcąc słyszeć westchnienia towarzyszącego jej odejściu. Pragnęła z całych sił, by ta karta jej życia ostatecznie się zamknęła.

CZEŚĆ TRZECIA

PAN DE MONTSALVY

Rozdział dwunasty

ZA ZAMKNIĘTYMI BRAMAMI

Bérenger śpiewał. Głos młodzieńca stracił swą niedawną, delikatną, dziecinną świeżość. Był lekko zachrypnięty przez mutację, jednak odnajdywał ciepłe dźwięki wibrujące przyjemnie w powietrzu.

Dźwięczny i śpiewny język d'oc, a zwłaszcza ton pazia dodawały wesołości słynnej piosence Bernarda de Ventadour, której słowa były raczej melancholijne, lecz paż lubił tę piosenkę i jej melodia rozbrzmiewała radośnie w rodzinnych górach.

Trwająca już ponad miesiąc podróż dobiegała wreszcie końca. W chwale ciepłego, lipcowego wieczoru, wypełnionego bzykaniem pszczół i zapachem borówek, Katarzyna, Bérenger i Walter zbliżali się do Montsalvy. Jakże długa wydawała im się ta ostatnia mila!

Na myśl o domu serce Katarzyny zaczynało bić mocniej z nadzieją i obawą zarazem. Nadzieją usłyszenia śmiechu dzieci, uściskania Sary, odnalezienia poczciwych, kochających ją ludzi. Obawą zaś przed tym, jakie będą pierwsze słowa Arnolda. Czy wygna ją, tak jak przysięgał? Czy też dzięki wpływowi przeora Bernarda otworzą mu się oczy i zrozumie, że jego żona nie zasłużyła na zło, jakie jej wyrządził?

Bérenger ciągle śpiewał, złożywszy lejce na końskiej szyi. Nagle zatrzymał się i stanąwszy w strzemionach wskazał wysokie wzgórze na horyzoncie.

– Popatrz, pani, widzę wielki dąb w Puy de l'Arbre! Dojeżdżamy!

Serce kobiety zaczęło bić jak szalone. Paż miał rację: jeszcze kilka kroków przez las kasztanowy, a ukażą się wieże Montsalvy i mury obronne wzniesione z lawy wulkanów.

– Zobaczysz, Walterze – powiedziała do giermka, który z ciekawością spoglądał na tę nie znaną sobie krainę – pokochasz naszą Owernię, a jeszcze bardziej jej mieszkańców. Tutaj szlachectwo wyrasta z samej ziemi. Zbudowane jest z odwagi, wiary, z roztropności i z prawdziwej hojności. Tutaj dochowuje się wierności nie będąc niewolnikiem, służy się swemu panu nie czując upodlenia... nie wspominając już o tym, że naszym dziewczętom nie brakuje urody...

Właśnie wędrowcy wyjechali z lasu, kiedy ich uszu dobiegły nuty smutnej melodii, na dźwięk której Bérenger zadrzał z radości i nie mogąc opanować niecierpliwości spiął konia i ruszył przed siebie. Katarzyna i Walter ruszyli za nim. Tuż za zakrętem polnej drogi ujrzeli pazia ściskającego dziwnego garbatego człowieczka w ciemnym, połatany gieźle.

– Zobacz, pani! – krzyknął Bérenger na widok Katarzyny. – To nasz niedojda, Stefek Kuternoga. Śpiewał serenadę na twe powitanie. A to Jacquot! – dodał wskazując na jego towarzysza. – Ale, ale... co ci jest?

Wypuściwszy niedojdę z rąk, zwrócił się do stojącego nie opodal wiejskiego chłopaka. Katarzyna знаła go dobrze, gdyż był to starszy syn Antoniego Malvezina, wytwórcy świec z Montsalvy. Chłopiec ten miał ruszyć

na powitanie swej pani, patrzył na nią z przerażeniem i... ze łzami w oczach.

– Pani Katarzyno – wybełkotał. – Pani Katarzyno... Że też właśnie mnie musiało to spotkać!

Bérenger zaczął potrząsać chłopcem, jakby chciał go obudzić ze złego snu.

– Jacquot, co ci jest, odpowiadaj!

Chłopiec jednak cofał się, nie przestając lamentować, wreszcie puścił się pędem w stronę widocznego już w oddali miasta. Widząc to, Walter spiął konia i dopadłszy uciekającego chwycił go za kołnierz bluzy i przywłókł całego dygocącego przed oblicze Katarzyny.

– Odpowiadaj natychmiast, co to wszystko znaczy!

Jacquot rzucił Katarzynie spojrzenie, w którym rozpacz mieszała się ze strachem, rozbeczał się, wreszcie wybełkotał:

– Mam zawiadomić strażę, że nadjeżdżacie! Żeby mogli zamknąć bramy przed panią Katarzyną...

Zapadła cisza, w której słychać było tylko wstrzymywane oddechy.

– Co takiego? – spytała wreszcie z niedowierzaniem Katarzyna. – Żeby zamknąć przede mną bramy?

– Tak rozkazał pan Arnold! – wyrzucił z siebie Jacquot. – Codziennie wysyła kogoś, by pilnował drogi, żeby natychmiast go powiadomić o twoim powrocie. Ten, który pozwoliłby ci się zbliżyć, zostanie zabity... a wraz z nim cała jego rodzina!

Katarzyna wydała okrzyk grozy.

– Zabity? Z całą rodziną?... Ależ on oszalał!

– Chyba... tak, ale to nie moja wina... Ja... muszę już iść! Chyba nas stamtąd widzą!

– Zgoda! – odparł Walter. – Lecz ja pójdę wraz z tobą i powiem wszystkim w Montsalvy, co o tym myślę! – zagroził Walter.

– Nie, Walterze! – rzuciła ostro Katarzyna. – Zabraniam ci! Pozwól odejść temu chłopcu! To rozkaz! Kocham tych wszystkich ludzi i nie chcę przelewu krwi!

– I to jest ta słynna odwaga twoich poddanych, o której tyle opowiadałaś? – zaperzył się Walter. – Każe im się ciebie przegnać, a oni słuchają jak potulne owieczki! Popatrz na swego Jacquota! Zmyka, aż się za nim kurzy!

W istocie, młody Malvezin dotarł już do pierwszych domów i gnał w stronę zwodzonego mostu.

Dla Katarzyny był to kolejny bolesny cios... Czyżby Arnold znienawidził ją do tego stopnia, że wydał tak okrutne, bezlitosne rozkazy? Zabić któregoś z mieszkańców, których zawsze bronił zajądło?... A co się stało z jej przyjaciółmi: Josse i Marią Rallard? Co się stało z przeorem Bernardem? A Gauberta, najgłośniejsza jejmość w mieście, oddana jej bez reszty? A Sara?... Czyżby Arnold wygnał również jej przyjaciół?

Jej niepokój był tak wielki, że zszła z konia i opadła pod kasztanem nie opodal niedojdy, który podjął grę na swojej piszczałce, jakby nic się nie stało. Nagle, nie przestając grać, wyciągnął z kieszeni kawałek papieru i rzucił go Katarzynie na kolana.

– Odjechał – wymamrotał. – Nikt nie widzi... Czytać, pani Katarzyna, czytać... Stefek odchodzi...

Wstał i bez słowa ruszył swoją drogą, wygrywając tęskną melodyjkę pachnącą deszczem i dymem z ogniska.

Na papierze widniały prawie nieczytelne bazgrały.

„Przyńście do mojej stodoły nat stawem. Szytko! Ja tam przyńde”.

Gobairrete

Wiadomość ta zwróciła Katarzynie utraconą odwagę. To, że Gauberta potrafiła pisać, było wielkim objawieniem i pocieszeniem zarazem.

– Stodoła nad stawem – tłumaczyła swoim towarzyszom. – To niedaleko stąd! Pośpieszmy się! Bérenger, otrząśnij się! Ona pisze, żeby się pośpieszyć!

– Prowadź, pani!

Stodoła rodziny Cairou kryła się wśród drzew nad brzegiem stawu. Katarzyna często zachodziła w te strony, idąc na spacer z Michałem. Gauberta zachodziła tu także po paszę dla bydła, konopie czy len w otoczeniu swego licznego potomstwa. Wtedy igrom nie było końca, z których mały panicz wychodził cały czerwony, podrapany i szczęśliwy. Gauberta pokazała Katarzynie, gdzie chowa klucz, by ta mogła się schronić w razie deszczu.

W środku było gorąco jak w piecu, lecz pachniało świeżym sianem, na które rzucił się paż ginąc w odurzającym stogu. Katarzyna i Walter, zdjawszy sakwy z koni, przywiązali zwierzęta do drzew.

– Słońce chyli się ku zachodowi – rzekł giermek. – Dzisiaj już dalej nie dojdziemy...

– Dalej? Dlaczego mielibyśmy iść dalej? – odparła z goryczą Katarzyna. – Tu jest mój dom, moja ziemia, tutaj jest moje miejsce.

Tutaj są moje dzieci... Nie zamierzam stąd odejść...

– A może będzie trzeba... – rzucił ze zmęczeniem Walter – choćby po to, by lepiej przygotować powrót do Montsalvy... Nie możesz tutaj obozować.

– Nie, tu nie... lecz chcę przed bramami Montsalvy żądać sprawiedliwości, aż wreszcie zostanę wysłuchana i otworzą się przede mną te przekłete wrota!

– Lub zostaniesz zabita! Twój mąż tym mocniej cię nienawidzi, im bardziej jest w błędzie. Przyznam, pani Katarzyno, że coraz bardziej żałuję, że go leczyłem, kiedy był ranion pod Châteauvillain. Powinienem pozwolić mu zdechnąć!...

– Nie! – krzyknęła w odruchowym proteście płynącym z miłości, którą zachowała pomimo wszystko i wbrew sobie samej. Po chwili dodała już ciszej:

– Nie... nie zniósłabym tego... Myślę, że Chybabym umarła...

– Opanuj się, pani! Cierpiałabyś, lecz myśl o dzieciach kazałaby ci pokonać i to doświadczenie. A teraz byłabyś z nimi, mogąc do woli modlić się za spokój duszy swego anielskiego męża, wysławiając pod niebiosą zalety, których nigdy nie miał!

Katarzyna milczała. W gniewie Waltera brzmiało echo prawdy, której nie chciała przyjąć.

– Gniew do niczego nie prowadzi, Walterze. Ja i tak nie mam dokąd pójść...

– Jak to nie masz dokąd pójść? – odezwał się Bérenger z wnętrza stogu –

Do Roquemaurel! Moja matka i bracia będą szczęśliwi, mogąc cię przyjąć pod nasz dach! – Wstał z siana, otrzepując źdźbła słomy z ciemnej czupryny. – Jeśli się zgodzisz, pani, jutro rano ruszymy do domu.

– A daleko do tego twojego Roquemaurel? – spytał Walter.

– Najwyżej cztery czy pięć mil drogi... a teraz może byśmy coś zjedli... Nie śmiąc się przyznać, paż miał całkiem prywatny powód do żalu, że tak się potoczyły ostatnie wypadki, ominęła go bowiem pyszna wieczerza, na którą robił sobie apetyt przez całą drogę. Na szczęście w sakwach podróżnych ostał się jeszcze kawałek szynki i żytniego chleba. Po zaspokojeniu głodu wędrowcy ułożyli się na sianie i posnęli.

Zbliżała się północ, kiedy w szuwarach okalających staw dały się słyszeć ostrożne kroki. Wkrótce drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, wpuszczając do środka zwalistą, czarną postać.

– Jesteś tu, pani Katarzyno?...

I już po chwili Gauberta i pani de Montsalvy rzuciły się sobie w ramiona zalewając się łzami.

– Nasza biedna pani, nasza biedna pani! – powtarzała w kółko Gauberta, przyciskając Katarzynę do swego obfitego biustu. – Żal serce ściska, gdy się na to wszystko patrzy!...

– Powiedz mi, Gauberto, co to wszystko znaczy? – wybuchnęła Katarzyna, kiedy minęło pierwsze wzruszenie. – Co tu się stało?

– Tutaj? Nic wielkiego. Za to panu Arnoldowi pomieszało się w głowie! Jest nie do poznania. Gorszy niż wściekły pies! – Gruba jejmość z wymownym westchnieniem opadła na stertę siana, tuż obok Bérengera, który podniósł zaspaną twarz. – O i paż tutaj! Pozostał ci wierny, jak widzę! Dobrze i to!

Katarzyna ruchem dłoni powstrzymała oburzenie chłopca, by nie wszczynać kłótni.

– Opowiadaj, Gauberto... opowiadaj wszystko dokładnie!

– O to nie musisz mnie prosić! Nieprędko przyjdzie mi to wszystko zapomnieć!... Kiedy pan Arnold wrócił na dzień przed Gromniczną, nie można go było poznać... bo miał wielką szramę na twarzy. Ale nie tylko twarzy nie mogliśmy rozpoznać. On się całkiem zmienił, pani Katarzyno! Tamtego dnia całą noc padał śnieg, wszyscy więc wylegliśmy przed domy, odgarnialiśmy, zamiatali. I nagle dostrzeżliśmy, że nadciąga, jak zawsze cały ubrany na czarno z połą płaszczą rozłożoną na końskim zadzie, z gołą głową. Wtedy powypuszczaliśmy miotły z rąk i rzuciliśmy się mu na spotkanie, lecz on roztrącił nas i przeszedł obojętnie, rzucając półgębkiem: „Dzień dobry... dzień dobry”... Ani uśmiechu, ani jednego dobrego spojrzenia! A ludzie, którzy z nim byli, odepchnęli nas od niego! Był taki ponury, taki lodowaty, że pomyśleliśmy, że stało się jakieś nieszczęście, że... tobie, pani, przytrafiło się coś złego. Któryś z nas krzyknął: „A gdzie nasza pani? Gdzie Katarzyna?”... Wtedy on się zatrzymał, wyjął szpadę i zaczął okropnie krzyczeć... Wybacz mi, pani, ale muszę ci wszystko powiedzieć! Krzyknął: „Pierwszemu, który ośmieli się wymówić przy mnie imię tej ladacznicy, wypruję flaki!” Po czym ruszył dalej na czele swych ludzi... i wtedy zobaczyliśmy tę kobietę... Katarzyna zamarła.

– Kobietę?... Jaką kobietę?

– Najpierw nic nie zauważyliśmy, bo jechała na koniu wśród innych, zamotana w pelerynę z kapturem. Ale godzinę później nasi ludzie zostali

wezwani do zamku, jak dawniej, ale jak wychodzili, to wszyscy płakali, z wyjątkiem Antoniego Couderca, kowala, który wściekle toczył pianę z ust i spluwał na ziemię, jakby się nałykał trucizny. Pan Arnold, w przytomności podejrzanych zbirów, których przywłókł ze sobą, wydał rozkaz: ten, który pozwoli ci wejść do Montsalvy, zostanie natychmiast powieszony! Mężczyzna, kobieta czy dziecko! Codziennie po otwarciu bram kazał wysyłać chłopaka, by pilnował drogi i powiadomił natychmiast, że nadjeżdżasz, by w porę zamknąć przed tobą bramy. Kiedy się tylko dowiedział, że się zbliżasz, wsiadł na koń wraz ze swymi ludźmi... i z tą kobietą i ruszył, by cię wytropić i wygnać!

– A wiesz, kim jest ta kobieta?

– A jakżeby nie! To ta rozpustnica Azalia, koronczarka, którą pan Arnold musiał zabrać z bandy Béraud d'Apchiera. Ale, pani Katarzyno, co to, źle się czujesz?

Rzeczywiście, Katarzyna pobladła jak kreda, zachwiała się i gdyby Walter nie pośpieszył jej w porę z pomocą, runęłaby niechybnie na klepisko.

– Do diabła z tą twoją opowieścią! – zrugął giermek Gaubertę. – Sięgnij do jej sakiewki, powinny być w niej sole i ocet. A kimże jest ta Azalia?

– Straszne ladaco! Ladacznicą z ogniem w zadzie! Potrafiła własnemu ojczymowi wleźć do łóżka, a uciekła stąd z bandą tego zakutego zbrojnika Bérauda, która oblegała Montsalvy. To ścierwo! Ona z Béraudem knowała przeciwko panu Arnoldowi, a ten, za przeproszeniem, osioł patentowany nam ją tu z powrotem sprowadza... z pewnością myśląc, że z nią wyrządzi więcej zła swojej biednej, świętej żonie! Ale, mój chłopcze, zdaje się, że nasza pani wraca do siebie!...

Istotnie, Walter zaaplikowawszy Katarzynie kilka energicznych policzków, wlał parę kropli octu między jej blade wargi, po czym zaróżowiła się na twarzy. Potoczyła wokół błędnym wzrokiem i zatrzymała go na osobie Gauberty.

– Wybaczcie mi – wybełkotała. – Nie spodziewałam się czegoś podobnego... Mój Boże... Azalia... Dlaczego właśnie ona?... Jak przeor Bernard mógł pozwolić, by wpuszczono ją do zamku?

– Właśnie w tym rzecz, że kiedy pan Arnold przybył do Montsalvy, przeora nie było w naszym klasztorze, gdyż udał się do Chirac do umierającej matki, a brat Antym, który go zastępuje, dowiedział się, że w drodze powrotnej został napadnięty przez zbrojników i że teraz liże rany w zamku Saint-Laurent d'Olt. Na szczęście dobry Bóg nie zabrał go nam, gdyż jest on naszą ostatnią deską ratunku... jeśli uda mu się przedrzeć przez zastęp tych wściekłych psów broniących wstępu do pana Arnolda!

Zaciskając palce aż do bólu, Katarzyna jęknęła z rozpaczą:

– On chyba oszalał! Całkowicie oszalał! A co z moimi dziećmi? Co z Sarą? Czy aby im jakiej krzywdy nie wyrządził?

Gauberta wybuchnęła nieoczekiwanym śmiechem.

– Nie miał czasu, by im uczynić krzywdę! W samą noc jego przybycia mały panicz, Izabela, Sara, Josse i Maria uciekli z zamku. Rano, kiedy pan zauważył, że zniknęli, wpadł we wściekłość i posłał ludzi na poszukiwania. Na szczęście ich nie znalazł!

– Wiesz, gdzie oni są?

Gauberta okazywała coraz większe zadowolenie.

– Nikt z nas tego nie wie... i tak jest najlepiej! Wiemy tylko, że pan Arnold kazał przeczesać całą okolicę i nic... ani widu, ani słyhu! Myślę, że można zaufać Sarze i Jossemu i że sprawili się jak najlepiej! Teraz wiesz już wszystko, pani, albo prawie wszystko...

Katarzyna odetchnęła z ulgą. Wreszcie dobra nowina! Wszyscy, których kochała najbardziej, byli poza zasięgiem szponów Arnolda; ten przemienił się chyba za sprawą diabła we wroga własnej rodziny.

– Jeszcze jedno pytanie, moja dobra Gauberto. Rzekłaś przed chwilą, że mój... że pan Arnold ruszył, by mnie schwytać i smakować na mnie swą zemstę... Dlaczego więc już mnie nie szuka?...

– Szukał cię, lecz niedługo. Niedojda powiedział, że uciekłaś co koń wyskoczy w kierunku Carlat. Pan Arnold pewnie się domyślił, że udałaś się do księżnej Eleonory szukać schronienia. Wolał tedy zawrócić, nie chcąc rozmowy z księżną. Ludzie się od niego odwrócili, od kiedy przywłókł tutaj tę wywłokę... a kiedy wieść się rozejdzie po okolicy, że wróciłaś, może mieć poważne kłopoty...

– Nie przyjechałam tu, Gauberto, by wszczynać rewolucję. Przybyłam, by odebrać należne mi miejsce i odbiorę je, wierzaj mi!

– A my ci pomożemy, pani! Jak ludzie się zwiedzą, że tu jesteś, odrodzi się ich odwaga! Lecz na razie gdzie się schronisz?

– U nas! – odparł za swą panią Bérenger. – W Roquemaurel! A ja sam wygarnę moim braciom, że pozwolili panu Arnoldowi zachować się w taki sposób!

Gauberta z niejakim wysiłkiem ruszyła swoje sto osiemdziesiąt funtów wagi z pachnącego siana, poprawiła na sobie giezło i odczepiła zza pasa pękaty worek.

– Pomyślałam, że będziecie głodni, i przyniosłam wam trochę koziego sera i chleba, a teraz na mnie już czas... muszę wracać.

Katarzyna ucałowała dzielną kobietę w oba tłuste policzki.

– Zawsze wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć, Gauberto, lecz tego, coś tym razem dla mnie uczyniła, wierzaj mi, nigdy ci nie zapomnę! Powiedz tam wszystkim, że nigdy o nich nie zapomniałam i że... nigdy nie zawiodłam ich zaufania ani ich przyjaźni...

– Ależ oni dobrze o tym wiedzą, moje biedactwo! Gdyby twój małżonek nie przywłókł bandy łapiduchów, niedługo by było jego panowania w Montsalvy, a my wygarnęlibyśmy mu całą prawdę. A co do tej ladaczniczki, to tak wygarbowalibyśmy jej tyłek pokrzywami, że przez miesiąc by na nim nie usiadła. Ale wszystko się ułoży, na pewno! Dobrej nocy, pani!... do zobaczenia!

– Do zobaczenia, Gauberto!... Lecz powiedz, jak udało ci się wyjść z Montsalvy i jak wejdiesz z powrotem? Czy nie zamyka się bram na noc?

– Jakżeby nie! Ale gdyby tylko jakiś strażnik zabronił mi czegoś, mógłby gorzko pożałować, że go matka zrodziła!

Co rzekłszy zniknęła zwinnie i lekko, o co nikt by jej nie podejrzewał. Walter zamknął za nią starannie wrota stodoły.

Zwinąwszy się w kłębek na sianie, Katarzyna czekała, aż jej zmęczonymi członkami zawładnie zbawienny sen. Bolesne drgnienia jej serca powoli się uspokoiły. Skoro dzieci znajdowały się poza zasięgiem człowieka, który nią tak okrutnie publicznie poniewierał, rana nie była śmiertelna. Gniew nie pozwalał

dojść do głosu rozpaczy i wiedziała, że gdy nastanie świt i minie zmęczenie, będzie musiała walczyć z przemożną żądzą zwołania okolicznej szlachty, by przypuścić natarcie na swój własny zamek... Lecz właściwie... po co walczyć? Czy nie nadszedł wreszcie czas, by zrezygnować z roli zbyt czulej żony i kazać zapłacić diabelskiemu mężowi za wszystkie krzywdy doznane od niego przez sześć lat małżeństwa?

I z tą pocieszającą myślą zasnęła...

Zanim wstał piękny, letni świt nad Lasem Kasztanowym i ozłocił mury Montsalvy, Katarzyna i jej towarzysze opuścili dawno pachnące schronienie i po pobieżnej ablucji w zimnej wodzie stawu ruszyli przez pola, by dotrzeć do drogi prowadzącej w głęboką dolinę rzeki Lot, nad którą wznosiły się antyczne wieże Roquemaurel.

Stapając powoli stromą i wąską ścieżką, wędrowcy uhonorowali serki i chleb Gauberty, a kiedy zza gór słońce wyłoniło się w pełni jak wielka, ognista kula, kawał drogi był już za nimi. Wokół różowiły się kępy wrzosów, złociły żarnowce. W licznych strumieniach skrzyły się pstrągi. Katarzyna przeszukiwała wzrokiem horyzont, zatrzymując się na każdym dymie z komina rzadkich tutaj domów z łupku i gysu, starając się odgadnąć, pod którym z tych dachów Josse Rallard ukrył jej dzieci... Pokusa była wielka, by zatrzymać się tu i tam i rozpytać o nie, lecz Bérenger odwiódł ją od tego zamiaru.

– Moja matka zapewne o wszystkim wie... Bracia ruszą na ich poszukiwanie... a zresztą, może są właśnie u nas!

Właściwie dlaczego nie? Roquemarelowie: matka, Matylda i dwaj chłopcy, Renaud i Amaury, mieli jeszcze gorsze charaktery niż sam Arnold. Ani władza, ani talenty wojenne pana de Montsalvy nie robiły na nich żadnego wrażenia. Zgarnąć mu jego własne dzieci sprzed nosa – to była nie lada gratka...

Stara forteca, której rudawe mury widziały wyjazdy pierwszych krzyżowców do Ziemi Świętej, ukazała się oczom wędrowców w skwarze południa. Pod błękitnym niebem zamczysko przywodziło na myśl pięknego starca, drzemiącego na słońcu z przymkniętymi powiekami, spokojnego i pewnego siebie, lecz gdy otrząśnie się z drzemki i wstanie, ukaże pokazną posturę i groźne jeszcze mięśnie, stwardniałe w bojach z dobrego, starego drewna.

Forteca uśmiechała się spuszczonego mostem zwodzonym. Dwóch strażników grało w kości w chłodzie sklepienia. Na ścieżce, z pustym koszem na głowie, podparta pod boki, stała wysoka, smągła kobieta w białej koszuli i niebieskiej spódnicy, poganiając praczki rozwieszające świeże pranie na łące poniżej mostu.

– Żeby trzy godziny rozwieszać dwa prześcieradła i dwanaście ścierek! Ruszajcie się, a zwawo! Nicole, więcej życia!

Na dźwięk toczących się na ścieżce pod kopytami kamieni odwróciła się w kierunku, skąd dochodził hałas, zasłaniając oczy dłonią.

– Kto idzie?...

Ale już wiedziała. Z jej gardła dobył się okrzyk na zduszone „Sara” rzucone przez oszalałą z radości Katarzynę, która zeskoczywszy z konia pędziła potykając się o bruzdy, tak jej było spieszo rzucić się w objęcia tej, którą zawsze traktowała jak drugą matkę.

Walter i Bérenger stanęli oniemiałi przy koniach, patrząc na ściskające się kobiety, które nie miały zamiaru się rozdzielić.

Wtedy Bérenger przypomniał sobie nagle o roli gospodarza, zatoczył ręką szeroki krąg i głosem pełnym dumy spytał przyjaciela:

– No i jak ci się podoba Roquemaurel? Nieźle, czyż nie?

Rozdział trzynasty

REKA PANA

„Mama wróciła! Mama wróciła!...”

Siedząc na łóżku dzielonym z małą siostrą, Michał kołysał się przyśpiewując sobie i przyglądając się z zachwytem Sarze, która uzbrojona w szczotkę i grzebień rozczesywała Katarzynie włosy. Chłopiec uwielbiał matkę, która była dla niego kimś bajkowym, kimś pośrednim między tajemniczymi postaciami, jakie zaludniały bajania starej Donatki, a aniołami, o których opowiadał mu przeor.

Od kiedy zniknęła z jego dziecięcego świata, chłopiec, pomimo czułości okazywanej mu przez wszystkie otaczające go kobiety, czuł się opuszczony. W jego „środku”, jak próbował wyjaśnić Sarze, była pustka, której nie wypełnił powrót ojca.

Na widok Arnolda syn nie odniósł wcale wrażenia, że to naprawdę jego ojciec. Ten mężczyzna w czerni, z okropną szramą na twarzy, który dziko przycisnął go do piersi, nie był tym samym wesołym towarzyszem sprzed roku, który tarzał się wraz nim po łące usianej różowymi stokrotkami.

Lecz kiedy przed chwilą Katarzyna ukazała się na zamkowym dziedzińcu, gdzie bawił się w piasku, serce zabiło mu z radości, gdyż w promieniach słonecznych jego matka była taka, jakiej zawsze oczekiwał. Jedno było pewne: tego wieczora Michał był cudownie szczęśliwy, tym bardziej że mama obiecała uroczyście już nigdy go nie opuścić.

Co do Izabeli, to Katarzyna opuściła dziesięciomiesięczne dziecko, a odnalazła dwuletnią, najładniejszą na świecie dziewczynkę. Ubrana w krótką koszulkę nie zasłaniającą wiele jej pulchnego ciała, siedziała na kolanach matki, bawiąc się kosmykiem jej włosów.

– Są cudowne... – szeptała Katarzyna przyciskając córkę, by ucałować ją po raz tysięczny.

– Takich rzeczy nie wolno mówić przy dzieciach! – skarciła ją Sara. – No, panienko, pora spać! Jeśli nadal będziesz się bawić włosami matki, to ja nigdy nie skończę!

– Już? – zaprotestowała Katarzyna widząc, że Sara zdejmuje małą z jej kolan i kładzie ją obok brata. – Jeszcze nie zdążyłam się nimi nacieszyć...

– Teraz będziesz miała na to wiele czasu!

I by mieć pewność, że dzieci pójną spać, zabrała Katarzynę i swoje narzędzia tortur do przyległego pokoju, w którym zresztą przygotowano łóżko dla kasztelanki z Montsalvy.

– Teraz lepiej! – rzuciła sadzając Katarzynę na taborecie. – Kończmy z tym czesaniem, by wreszcie spokojnie porozmawiać. Co zamierzasz?

Po opuszczeniu dziecięcego rajy i powrocie do gorzkiej rzeczywistości Katarzynę znowu opadły czarne myśli.

– Szczerze mówiąc, nie wiem... Wszystko to jest takie straszne, takie nieoczekiwane. Nie pojmuję, jak Arnold mógł przywieźć tę Azalię do Montsalvy, do domu... Myślałam do tej pory, że on kocha mnie tak jak ja jego...

– Jestem przekonana, że cię kocha i nigdy nikogo bardziej nie kochał...
lecz raczej dałby się pokrajać na kawałki, niż przyznać się do tego!

– Piękny dał tego dowód: przyprowadzając do domu latawicę!
Chciałabym wiedzieć, jak on się z nią spiknął, z tą...

– Ja mogę odpowiedzieć na to pytanie! – dał się słyszeć w progu wesoły i
świeży głos.

Do środka weszła młoda żona Josse Rallarda, Maria, garderobiana
Katarzyny, niosąc na wyciągniętych ramionach wyprasowaną, lekką suknię z
jedwabiu w zielono-białe paski, która wydawała się świeża jak poranek. Maria
była jeszcze ładniejsza i zaróżowiona niż w czasach, kiedy stanowiła ozdobę
haremu sułtana Grenady, lecz będąc w zaawansowanej ciąży, była dwa razy
grubsza niż wtedy. Przed ucieczką z Montsalvy udało się jej zabrać trochę
klejnotów i strojów swej pani. Przyniosła właśnie jedną z uratowanych sukien i
ostrożnie rozłożyła ją na łóżku.

– A skąd o tym wiesz? – spytała Katarzyna.

– Od Jossego, oczywiście! Kiedy przyjechał pan Arnold z tymi
podejrzanymi typami, mój drogi mąż rozpoznał jednego z nich: był to człowiek
z bandy Bérauda d'Apchiera, która napadła na Montsalvy. Josse postanowił
pociągnąć go za język; najpierw więc spił go, jak się patrzy, po czym już bez
trudu dowiedział się wszystkiego: otóż pan Arnold przed powrotem do domu
postanowił wyrównać rachunki z Béraudem za napaść na Montsalvy i donieść
mu z rozkoszą, że osobiście zabił jego bękarta, Gonneta. Lecz kiedy przybył do
wieży Bérauda, ten właśnie dogorywał na łożu śmierci. Walka z nim była więc
niemożliwa. Wtedy spotkał Azalię, która została konkubiną Jana, starszego syna
Bérauda. Błagała pana Arnolda, żeby ją zabrał ze sobą, używając dobrze
znanych sobie sposobów. A ponieważ nie jest brzydka...

– Od lat miała na niego chrapkę – wtrąciła Katarzyna bezbarwnym
głosem.

– W każdym razie, pan Arnold postanowił zabrać ją ze sobą, i to tym
chętniej, że ta wywłoka zwerbowała dla niego najlepszych ludzi Bérauda,
najtęższych zabijaków zbijających baki, od kiedy ich herszt zaniemógł. I cała ta
hałastra zjawiała się pewnego wieczoru w Montsalvy.

– Jak on śmiał wprowadzić ich do naszego domu?... A ją pewnie
zainstalował w moim pokoju – jęknęła Katarzyna dławiąc łzy.

– O nie! Nie w twoim pokoju! – zaprzeczyła żywo Sara. – Kiedy
zobaczyłam, kogo nam przyprowadził i co się święci, zamknęłam twój pokój na
cztery spusty, a klucz zawiesiłam sobie na szyi, stanęłam przed naszym panem i
oznajmiłam, że raczej dam się poćwiartować, niż oddam mu klucz! Na szczęście
nie nalegał...

Odgłos trąbki dźwięczący w głębinach zamku przerwał jej słowa.

– Wzywają na wieczerzę! – rzuciła Maria. – Trzeba się pośpieszyć, Saro!

– Wiem, wiem! Ale skoro pani de Roquemaurel zapowiedziała przyjęcie
na dziś wieczór, nie obrazi się chyba za parę chwil spóźnienia – odparła, lecz
żwawiej zabrała się do układania fryzury swej pani, podczas gdy Maria
pomagała nałożyć jej suknię. Wkrótce Katarzyna •zebrawszy tren sukni udała
się na spotkanie.

Wielka komnata w zamku Roquemaurel nie umywała się nawet do tych z

zamków królewskich czy książęcych ani nawet do tej z Montsalvy, gdyż nie było tam ani jednego arrasu, ani najmniejszego złotego cacka wysadzanego drogocennymi kamieniami. Ongiś ród Roquernarełów był bardzo bogaty i wpływowy, dawno jednak utracił swą świetność za sprawą hulaszczego i lekkomyślnego pradziadka. Niemniej, pani Matylda była doskonałą gospodynią i chociaż sali nie zdobiły złoto i jedwabie, to pyszniła się ona bielą obrusów, naczyniami cynowymi tak wypucowanymi, że lśniły jak srebrne, i bukietami świeżo zerwanych, złocistych żarnowców.

Sama gospodyni w pięknej, aksamitnej sukni koloru śliwkowego, w której musiała umierać z gorąca, oczekiwała na swego gościa, siedząc wyprostowana w wysokim krześle rzeźbionym w kasztanowym drewnie. Obok stali jej dwaj starsi synowie, Renaud i Amaury, chłopy jak dęby, przy których wiotki Bérenger zupełnie ginał w oczach.

Kiedy Katarzyna ukazała się w drzwiach, Renaud ujął jej dłoń i poprowadził do stołu, przy którym kolejno zajęli miejsca pani Matylda, Josse Rallard, kapelan zamkowy, Bérenger, Maria Rallard oraz najważniejsi oficerowie. Po krótkiej modlitwie zmówionej przez kapelana, zebrani niczym stado wygłodniałych wilków rzucili się do jadła.

Pochłonawszy górę pieczonych kurcząt, połowę dzikiej świni i wielką ilość zupy kasztanowej, Renaud de Roquemaurel zabrał głos, by poinformować Katarzynę o tym, jakie podjął kroki w związku z jej przybyciem.

– Wysłałem ludzi do wszystkich okolicznych zamków, aby zawiadomić o twoim przyjeździe, pani, i zapowiedzieć, że w następną niedzielę odbędzie się u nas rada wszystkich tych, którym leży na sercu fizyczne, jak i moralne zdrowie pana de Montsalvy. To, co się dzieje na zamku, dowodzi aż nadto, że wpadł w sidła szatana. Należałoby go jak najszybciej z nich uwolnić, gdyż kiedy rzeczy źle się mają u was, u innych może być podobnie!

Kiedy skończył, podał puchar swemu giermkowi, który napełnił go po brzegi, i olbrzym opróżnił go jednym haustem.

Katarzyna, słuchając ze zdziwieniem jego słów, podniosła na niego zamyślane spojrzenie.

– Czy więc chcesz zebrać armię, przyjacielu?

– Nie, armii nie da się zebrać. Ale kilka solidnych zastępów na pewno i zaprawionych w bojach wiarusów, którzy potrafią cię obronić, byś mogła męża nauczyć rozumu...

Katarzyna nie mogła zasnąć tej nocy. Nabrała pewności, że nie może się zgodzić, by koalicja okolicznych wielmożów wprowadzała ją do domu, gdyż to oznaczałoby utratę przyjaźni i zaufania jej poddanych. Jedyńymi ludźmi, za którymi mogłaby wejść do Montsalvy z podniesioną głową, byli przeor Bernard współrządzający miastem czy zwierzchnik Arnolda, Bernard d'Armagnac, znany bardziej pod przydomkiem Cadet-Bernard, gdyż tylko oni posiadali tu legalną władzę.

Dlatego kiedy nadeszła niedziela i ci, których zwołał Renaud de Roquemaurel, zebrali się w zamku, pani de Montsalvy podjęła decyzję i postanowiła się jej trzymać.

– Nie wiem, mości panowie, jak mam wyrazić swoją wdzięczność i wzruszenie, że was tu wszystkich widzę. Znajduję w tym wyraz przyjaźni, która jest mi najdroższa. Dlatego zanim powiadomię was o swojej decyzji, pragnę

wszystkich zapewnić, że ani ja, ani moje dzieci nigdy wam tego nie zapomnimy...

– Ten wstęp nie wydaje się zbyt zachęcający, pani Katarzyno – zauważył, korzystając z chwili ciszy pan Archambaud de la Roque.

– Czy mamy wnosić, że nie chcesz wejść do siebie, wspierając się na sile naszej broni?... Szkoda... Wszyscy jesteśmy gotowi umrzeć za ciebie!

Był to przystojny, około trzydziestoletni mężczyzna, tak samo ciemny jak Arnold i bardzo do niego podobny dzięki dalekiemu pokrewieństwu. Jednak jego orzechowe oczy wyrażały łagodność i poczucie humoru, które zawsze były obce panu de Montsalvy.

Katarzyna uśmiechnęła się do niego.

– Nie będę ukrywać, panie Archambaud, że żałuję pośpiechu, z jakim nasi przyjaciele Roquemarelowie wezwali was do broni. Szpada, lanca i topór to środki nieodwracalne i zanim się do nich ucieknę, chciałabym najpierw wyczerpać wszystkie inne sposoby nie zagrażające nikomu... Myślę o rozwadze, dyplomacji, cierpliwości, modlitwie...

– W dniu kiedy pan de Montsalvy okaże się czuły na tego rodzaju argumenty, możecie ściąć mi głowę! – krzyknął Gontran de Fabrefort nieodłączny kompan braci Roquemaurel w pijatykach, zaczepkach i innych równie budujących rozrywkach. – Jemu nie można inaczej przemówić do rozsądku jak siłą!

– Zrozum, panie, że nie pragnę zasiać waśni i wrogości wśród sąsiadów. Arnold nigdy by wam nie wybaczył, że stanęliście za mną. Jesteście jego towarzyszami broni, jego odwiecznymi przyjaciółmi, a ja jestem tu obca, nawet jeśli jest jego żoną...

– Założywszy, że to prawda, to twój syn nie jest tu obcy! – przerwał Hugo de Ladinhaç, starzec o białych włosach i o profilu krogulca. – Otóż jego ojciec złamał zasadę lojalności, sprowadzając w nasze strony zbirów Bérauda d'Apchiera, który jeszcze niedawno pustoszył nasze domostwa!

– Masz rację... jednak nie mogę buntować syna przeciwko ojcu! Jeszcze nie teraz! Czy nie możemy z tym trochę poczekać?

– Na co czekać? – huknął Jan de Mallet. – Że Arnold dowie się o naszej tu obecności? Że zaatakuje Roquemaurel ze swoją bandą, zawładnie nim, weźmie cię siłą i zabije?

– Nawet gdyby do tego doszło, nie zabije swego syna... Proponuję, żebyśmy poczekali, żebyśmy wyczerpali wszystkie szanse porozumienia. Myślę, że mamy w ręku jeszcze jedną kartę! Przeor Bernard! Udaj się do niego do Saint-Laurent-d'Olt. To niedaleko stąd! Wiem, że jest cierpiący i nie opuszcza łoża, lecz to nie przeszkodzi mu mnie wysłuchać. Zawsze był mi najlepszym doradcą. A ja chcę jednego: jego rady! Uczynię tak, jak mi poradzi. Jeśli powie, żeby zaatakować, zaatakuję!

– Jest tylko jedna przeszkoda – podjął Renaud wyciągając się w fotelu. – Nie będziesz mogła przedrzeć się do niego. Otóż Montsalvy znalazł również i w tej okolicy sprzymierzeńców, którzy nie dadzą ci przejść, tym bardziej że cię znają!

– Ale mnie nie znają! – przerwał Walter. – Niech pani Katarzyna da mi list do przeora, a ja przyniosę odpowiedź. To zadanie dla prawdziwego giermka!

– Nie znasz wcale okolicy, młodzieńcze! – sprzeciwił się Renaud.

– Ale ja znam! – wtrącił Bereranger. – Poprowadzę go!

Z pewnością paż znał doskonale dolinę i byłby dla Waltera najlepszym przewodnikiem. Lecz czy zdoła się oprzeć chęci ujrzenia Hauvette, teraz kiedy powoli stawał się mężczyzną?... Katarzyna nie czuła się jednak na siłach, by mu tego zabronić i w końcu się zgodziła, lecz nakazała mu jak najdalej posuniętą ostrożność: jej list musiał za wszelką cenę dotrzeć do przeora Bernarda!

Jeszcze tej samej nocy, dwie godziny przed wschodem słońca, Walter i Bérenger opuścili Roquemaurel na piechotę, przebrani za pielgrzymów Świętego Jakuba, których ścieżki przebiegały przez całą okolicę.

Dla Katarzyny znowu nastąpiły nie kończące się dni oczekiwania w ciężkim, letnim upale, który zawisł nad Lasem Kasztanowym jak ołowiana czapa. Pola zrudziały od palących promieni, a strumienie powysychały. Z trudem można było napić bydło. Na szczęście głębokie zbiorniki zamków i miast, wydrążone w skale w dawnych czasach przez pokolenia poddanych, zawierały potężne zapasy; nie były wszakże bez dna. Jeśli susza potrwałaby dłużej, jak to było pięćdziesiąt lat wcześniej, sytuacja mogła stać się tragiczna...

Wraz z suszą wokół starej fortecy zapanowała cisza jak makiem zasiał i znikąd nie nadchodziły żadne nowiny.

Wieczorami po zachodzie słońca Katarzyna samotnie wchodziła kręconymi schodami na szczyt wieży i patrzyła w stronę, gdzie w oddali majaczył zamek Montsalvy, a jej zbolące serce recytowało na pamięć każdy jego szczegół. Kiedy zapadała noc, ciężkim krokiem wracała do swego samotnego pokoju, połykając gorzkie łzy.

Wierna Sara spoglądała na swą panią w milczeniu zaciskając pięści na widok łez płynących po jej białych, zapadniętych policzkach. A kiedy rozlegał się szcęk zamka w jej pokoju, Cyganka zjawiała się w kuchni, zapalała świecę i schodziła do piwnic, gdzie przechowywała swoje zioła, fiołki, nalewki, balsamy i proszki.

Miejsce to było ciemne, straszne i podobne do jaskini czarownicy, lecz Sara znająca się na niebezpiecznej sztuce rzucania uroków nigdy nie chciała oddać się jej w pełni. Uprawiała białą magię opartą na zapachach, modlitwach i zaklęciach. Nigdy więc nie wzywała na pomoc Szatana, tylko dobrotliwe duchy; do nich zwracała się z prośbami o ukojenie cierpień tej, którą zawsze traktowała jak swoje najukochańsze dziecko.

A jednak pewnego wieczoru, z końcem sierpnia, Sara przed zejściem do swego podziemnego laboratorium zaopatrzyła się w kawałek pszczelego wosku i pęk ostrych szpilek...

Dzień ten był wyjątkowo ponury. Zwierzęta zaczęły padać od klów wilków, które zabijały je, by wychłptać krew. W zamkowej cysternie poziom wody opadał w zastraszającym tempie i stało się jasne, że wkrótce, jeśli niebo nie ześle deszczu, nastąpi katastrofa.

Tymczasem minęło już sześć długich tygodni od wyruszenia Waltera i Bérengera do Saint-Laurent i nie było od nich żadnych wiadomości. Zniknęli w borach i landach i nikt nie był w stanie rzec, co się z nimi stało...

Tej właśnie nocy Sara ukrywszy się w podziemiach Roquemaurel, w świetle łuczyw ulepiła swymi zręcznymi rękami dwie woskowe figurki. Jedna przedstawiała kobietę, druga mężczyznę. Cyganka, mrużąc niezrozumiałe

słowa, wbijała w nie długie igły, które wcześniej rozpalala do czerwoności w ogniu. Nad paleniskiem unosiły się gorzkie zapachy ziół, wydzielając czarny dym, a zdeformowany cień Sary kładł się na białym murze jak istny fantom nienawiści...

Po zakończeniu strasznego dzieła Cyganka zamknęła obie figurki w skrzynce, którą zakopała w rogu piwnicy, pogasiła łuczywa, wzięła świecę i powoli wyszła na wieżę, gdzie znajdował się jej pokój. Jej dłonie, zawsze tak pewne, drżały, a twarz, równie szara i twarda jak otaczające ją stare mury, błyszczała od łez, których nie umiała powstrzymać... Aby uratować tę, którą kochała bardziej niż siebie, Czarna Sara skazała przed chwilą swoją własną duszę na potępienie...

Minęły jeszcze trzy dni, gdy któregoś ranka bramy zamku Montsalvy nieoczekiwanie wypłuły w popłochu tłum mężczyzn, kobiet i dzieci pędzących przed sobą bydło i ciągnących wozy, na których spiętrzone w pośpiechu to, co posiadano najcenniejszego...

Słońce stało wysoko na bezlitośnie bezchmurnym nieboskłonie. Jednak na twarzach wszystkich tych ludzi malowało się przerażenie. Rozdzwoniły się dzwony w klasztorze, niosąc ponure dźwięki po całej okolicy aż do murów zamków i osad, wtórując potwornemu okrzykowi, który zawisł nad uciekającymi.

„Dżuma!... Dżuma w Montsalvy!!!”

Rozdział czternasty

MIARA MIŁOŚCI

Gauberta, ukrywszy głowę w ramionach Katarzyny, dała upust swej rozpaczycy; szlochała nie mogąc się opanować. Przerazenie i trudy wędrówki pokonały tę dzielną kobietę, a na jej ogorzałej twarzy łyzy wyrwały czarne strugi. Za nią na dwóch wozach piętrzyły się umieszczone byle jak sprzęty kuchenne, narzędzia tkackie i jej sześcioro dzieci. Nie opodal na wyschłej trawie stał jej małżonek, Mikołaj Cairou, ciężko dysząc z wysiłku. Dalej na ścieżce widać było inne wozy: Marcina Cairou, brata Mikołaja, Józefa Delmasa, kotlarza, Antoniego Couderca, kowala, i wielu, wielu innych. Mieszkańcy Montsalvy wysypali się zza murów, by szukać schronienia w Roquemaurel u boku tej, którą zawsze uważali za swoją obrończynię i ostoję: Katarzyny.

Kiedy o zmierzchu ujrzała ich z murów, jak nadciągają z trudem wlokąc swój dobytek, pędem zbiegła ze schodów, by przyjąć ich z otwartymi ramionami, lecz most zwodzony zamku został podniesiony, a sam Renaud zagroził jej drogę.

– Cóż czynisz? – krzyknęła zdziwiona. – Dlaczego zamykasz przed nimi bramy. Czyż nie widzisz, że potrzebują pomocy?

Ale Renaud ani drgnął.

– W innych okolicznościach przyjąłbym każdego z radością, lecz nie tym razem! W Montsalvy panuje dzuma, a oni mogli ją ze sobą przynieść. Nie dopuszczę, by zapanowała w naszym zamku!

– Przyszli tu, ponieważ mają do ciebie zaufanie, panie!

– Nie do mnie! Do ciebie, Katarzyno, która nic nie możesz. Pomyśl o swoich dzieciach. Czy chcesz patrzeć, jak puchną, czernieją i umierają w potwornych męczarniach, czy tego chcesz?

Obraz, który wywołał, był tak straszny, że zakryła twarz rękami. Z zewnątrz dochodziły jednak błagalne wołania:

– Nasza pani!... Nasza pani!... Pani Katarzyno!

– Mój Boże! – jęknęła. – Wołają mnie...

– Teraz cię wołają, ale bram przed tobą nie otworzyli! W niebezpieczeństwie każdy myśli o sobie, bądź pewna, Katarzyno.

– Ma rację! – podjęła Sara. – Nie kiwnęli nawet palcem, kiedy pan Arnold wrócił z tą bandą padalców i wywłoką.

Nastąpiła cisza przerywana okrzykami dochodzącymi z zewnątrz.

– Otwórz mi bramę! Chcę do nich iść!

– Jeśli otworzę... będziesz musiała z nimi zostać...

– Wiem, lecz proszę cię, żebyś otworzył! Jestem panią de Montsalvy, ich panią, i moim obowiązkiem jest być z nimi i im pomagać!

Wokół rozległy się liczne protesty i błagania, lecz ona zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę bramy.

– Zaczekaj na mnie, pani! Idę z tobą! – krzyknął Josse, odpychając delikatnie, lecz zdecydowanie dłoń Marii, która chciała go powstrzymać. Wtedy, w zupełnej ciszy, Renaud opuścił most i otworzył bramę, przez którą wszyscy

mogli ujrzeć długi sznur uciekinierów.

– Zaopiekuj się dziećmi, Saro! – krzyknęła Katarzyna i wraz z Josse pobiegła do tych, których prawo feudalne i przyjaźń czyniły jej ludźmi. Spostrzegłszy ją, Gauberta puściła się na spotkanie i ze szlochem padła jej w ramiona...

W objęciach Katarzyny, która chusteczką wycierała jej spoconą twarz, Gauberta powoli uspokoiła się i opowiedziała pokrótce, co się stało.

Otóż w zamku od dwóch dni fetowano w towarzystwie trzech mężczyzn, którzy przybyli z wozem pełnym kobiet o ciemnej karnacji. Ich dowódca oznajmił, że przybywa z Marsylii, wiezie niewolnice, które jego pan, król Aragonii, Alfons V Wspaniały, przesyła w podarunku księciu de Bourbon i że prosi o schronienie na noc. Dla nowych kompanów pana Arnolda była to wielka gratka.

Orgia trwała trzy dni, a kiedy wstało słońce, chłopci przybyli na jarmark ujrzeli okropny widok: z zamku, ledwo powłócząc nogami i okropnie wyjąc, wytoczył się całkiem nagi mężczyzna, którego ciało było pokryte rozległymi, czarnymi plamami. Po zrobieniu kilku kroków mężczyzna upadł jak długi, wymiotując czarną mazią, nie pozostawiającą patrzącym złudzeń.

– Dżuma!...

Wiadomość lotem błyskawicy obiegała miasto, wzniecając szaloną panikę: wszyscy mieli tylko jedno w głowie: uciec jak najdalej od zamku, nad którym zawisło przekleństwo niebios. Brat Antym kazał pozabijać ćwiekami bramy i wyjście z podziemi, by zaraza nie wydostała się za obręb zamku...

– Zabić drzwi?... A Arnold?... A mój mąż?... Gauberta wykonała gest niemocy i odwróciła wzrok.

– Został w środku! – jęknęła wreszcie... – Ale może już nie żyje w tej chwili... To szybko idzie... dżuma, strasznie szybko, pani Katarzyno... Brat Antym powiedział, że otworzy zamek dopiero za czterdzieści dni... żeby go spalić!... Co z nami będzie, pani Katarzyno?...

Gauberta znowu załapała się łzami, czepiając się sukni swej pani, która jakby już jej nie słyszała. Wyobraziła sobie okropieństwa dziejące się w zamku, w którym teraz w nieludzkich mękach umierali ludzie. Ujrzała oczami wyobraźni swego męża leżącego być może na ziemi, gnijącego żywcem i nie mającego oparcia nawet w Bogu. I przed tym przerażającym obrazem zapomniała o wszystkich krzywdach, jakie jej wyrządził i jakie być może jeszcze jej wyrządzi...

I odwróciwszy się w stronę zamku, zawołała do Renauda, którego potężna sylwetka rysowała się między dwoma otworami strzelniczymi:

– Przyślij mi konia i powiedz Sarze, żeby przygotowała wszystkie leki, jakie posiada. Ruszam do Montsalvy!

– Ależ to szalony pomysł! Nie wyjdiesz stamtąd żywa!

– Uczyń, o co cię proszę. Nie pozwolę szczerząc ojcu moich dzieci, nie uczyniwszy wszystkiego dla jego ratowania!

– Ale on już pewnie nie żyje! Dżuma zbiera żniwo...

– Szybko! Tak, wiem! Ale ja nie uwierzę, że nie żyje, dopóki nie zobaczę na własne oczy!

– Jesteś szalona, pani! – odparł Renaud. – Poświęcać się dla tego człowieka! A czy wiesz, że on ma zamiar cię oskarżyć przed sądem i wtrącić do

więzienia za cudzołóstwo? Wytoczy ci proces i zamknie w lochu do końca twych dni, podczas gdy sam ożeni się z inną!

Roquemaurel z wściekłością rzucał słowa z wieży jak pociski z katapulty chcąc przygwoździć Katarzynę do ziemi. Ale ona nie dawała za wygraną. Wyprostowana jak strzała, uniosła głowę jeszcze wyżej i spokojnie oznajmiła:

– To sprawa między nim i panem Bogiem, lecz dopóki ja będę jego żoną, spełnię swój obowiązek!... No, Renaud, dosyć gadania! Pośpiesz się i daj mi, o co cię proszę... i zaopiekuj się moimi dziećmi, jeśli nie wrócę.

– Zgoda. Sama tego chciałaś – odparł Renaud i zniknął za murem.

Chwilę później brama otworzyła się na nowo i ujrzano trzy mulice z przytroczonymi do boków koszami. Na jednej z nich siedziała Sara.

Widząc to, Katarzyna przerwała krąg otaczających ją, błagających, by się niepotrzebnie nie poświęcała, ludzi, podbiegła do niej i krzyknęła:

– Co ty tu robisz? Natychmiast wracaj! Nie chcę, byś ze mną jechała! Słyszysz? Masz zostać i zająć się dziećmi!

– Moim zadaniem jest wszędzie ci towarzyszyć! Ostatnim razem, jak wyjechałaś beze mnie, nie bardzo ci się powiodło, jak mi się zdaje? Tym razem cię nie opuszczę. Będziesz mnie potrzebować!

~ Wiem... ale co z dziećmi?

– Maria się nimi zajmie równie dobrze jak ja z pomocą pani Matyldy, która rai obiecała i która je uwielbia. A więc ruszajmy. Josse pojedzie z nami?

– Też pytanie! – wymamrotał zagadnięty, posyłając pocałunek w kierunku murów.

– Doskonale! A wy tam – dodała Cyganka zwracając się do tłumu rozłożonego na zeschłej trawie – co wyglądacie jak barany idące na rzeź. Pani de Roquemaurel kazała mi powiedzieć wam, żebyście odeszli do starych domów, które widać tam w górze. Są trochę zrujnowane, ale dadzą wam wystarczające schronienie na wypadek deszczu, który oby wreszcie zaczął padać. Poza tym jest tam cysterna, w której jeszcze jest woda.

Josse pomógł Katarzynie wsiąść na mulicę, sam wsiadł na swoją i stanął na czele małej grupy, przed którą tłum się rozstał.

– Pani Katarzyno! – krzyknęła Gauberta. Katarzyna odwróciła się.

– Co tam, Gauberto?

– Gdybym była sama, dołączyłabym do ciebie, przysięgam! Ale mam sześcioro dzieci... i boję się... wszyscy się boją. Pani nie wie, co to dzuma!

– Wiem, Gauberto – odparła Katarzyna przypomniawszy sobie krótki pobyt za murami Chartres podczas epidemii. – Dlatego właśnie jadę do Montsalvy. Nie przejmuj się jednak. Czterdzieści dni szybko minie... Może jeszcze się zobaczymy...

I nie odwracając się więcej dołączyła do Sary i Jossego, usiłując nie patrzeć na zamek, w którym zostawiła swoje dzieci, i nie myśleć, że może już nigdy ich nie zobaczy. Walczyła równocześnie ze strachem przed czarną śmiercią... i tym, co odkryje, kiedy brat Antym otworzy przed nią bramy jej domu, przedwcześnie zamienionego w grobowiec...

Około trzeciej nad ranem dotarli do Montsalvy, które wyglądało jak czarna zjawia na tle mrocznego nieba. Jedynie wzdłuż kościelnej dzwonnicy wiał się szary dym z ognisk, które zapalili mnisi. Jego balsamiczny zapach czuło się

w powietrzu. Cisza była głęboka, na murach nie było widać żywej duszy. Serce Katarzyny ścisnęło się na widok własnego domu, w którym nie paliło się żadne światło ani nie dochodził zeń żaden dźwięk...

– Czy tu jeszcze są żywi? – szepnęła czyniąc znak krzyża.

– Musimy sprawdzić – wymamrotał Josse odczepiając od paska róg i przytknąwszy go do ust zadał trzy razy, po czym odczekawszy chwilę, powoli próbę.

– Musimy dać im trochę czasu na dojście – szepnęła Katarzyna. – Miejmy nadzieję, że ośmielą się otworzyć...

Oczekiwanie wydało się nie mieć końca. Wreszcie ujrzeli na murach chybotały blask łuczywa i czarną, szybko poruszającą się postać, która zatrzymała się nad bramą.

– Kto idzie? – usłyszeli niepewny głos. – W blasku łuczywa Katarzyna poznała brata Antyma.

– Szlachetna i wielka pani Katarzyna – zagrzemiał Josse. – Hrabina de Montsalvy żąda, bracie, byś otworzył przed nią bramy!

– Pani Ka... Ka... Katarzyna? – wybełkotał mnich. – A... ależ... to zupełnie nie... niemożliwe! Jesteśmy ogarnięci dżumą i...

– Wiem o wszystkim! – przerwała Katarzyna. – Lecz mimo to chcę wejść, bracie. Otwórz bramę! To rozkaz, a podczas nieobecności przeora Bernarda mam prawo go wydać!

Mnich wahał się przez chwilę, lecz pokonany władcym tonem kasztelanki poddał się.

– Zgoda... Już idę, lecz miejcie do siebie pretensje, jeśli przytrafi się wam jakieś nieszczęście...

Po chwili brama otworzyła się przed jeźdźcami, ukazując skarbnika klasztoru, który oświetlał sobie drogę łuczywem. Katarzyna popatrzyła na niego surowo.

– Nie powinieneś pozwolić im odejść. Całe miasto jest w drodze pod palącym słońcem.

– Szkoda, że cię przy tym nie było, pani! Żadna siła by ich nie powstrzymała. Oszaleli widząc umierającego człowieka.

– Co uczyniliście z ciałem?

– Spaliliśmy, oczywiście, ryzykując wiele. Mam trzydziestu mnichów w klasztorze i odpowiadam za nich przed Bogiem...

Rozmawiając Katarzyna przeszła pod sklepieniem i wówczas zauważyła usypaną z kamieni barierę broniącą wstępu do zamku.

– A czy za tych, którzy tu byli, nie jesteś odpowiedzialny przed Bogiem? Pan tego miasta być może w tej chwili umiera bez pomocy, bez spowiedzi, bez Boga... czy za to nie odpowiadasz? Przeor Bernard nigdy nie kazałby wznieść tej strasznej zapory!

– Skąd wiesz? – zaperzył się mnich. – Przeor chciałby ocalić jak najwięcej istnień ludzkich... istnień zasługujących na to miano... lecz ci, którzy zajmowali zamek, pani hrabino, to były istne pomioty szatana! Ta brama pozostanie zabarykadowana przez czterdzieści dni... tak jak to się czyni w przypadku dżumy... Zresztą w środku pewnie już nie ma nikogo żywego... Czy nie czujesz okropnej woni?

– Rozkazuję, żebyś otworzył!!!

– Na Boga, nie!

Josse odepchnąwszy Katarzynę już chwycił mnicha za kołnierz, kiedy do akcji wkroczyła Sara.

– To bez sensu! Zresztą usuwanie tej góry kamieni zabrałoby zbyt wiele czasu. Jeśli w środku są jeszcze żywi, musimy się pośpieszyć!

– Jak się śpieszyć, skoro nie pozwala się nam wejść?

– Tędy nie. Lecz jest podziemne przejście, które przeor Bernard po twoim odjeździe, Josse, kazał przedłużyć aż do zamku. Ty go nie znasz.

– Ale Gauberta mi o nim mówiła. Tak więc, bracie Antymie, ruszamy do podziemnego przejścia!

Josse wyjął z pochwy sztylet, przyłożył do gardła skarbnikowi i słodko wycedził przez zęby:

– I to zaraz!

Przyparty do muru mnich znowu musiał skapitulować.

– Chodźcie za mną...

Ruszyli na dziedziniec klasztoru, na którym płonęły wonne ogniska. Tam zostawili mulice, zabierając tylko kosze. Katarzyna ujrzała znowu klasztor z jego małym ogrodem, gdzie przeor Bernard z taką miłością hodował szalwię, rutę, rumianek, mak, absynt, koper i wiele innych przydatnych ziół. Wreszcie ukazało się wejście do podziemi, przez które ongiś, ciemną nocą, uciekała z Montsalvy. Koło się zamknęło. Teraz tym samym przejściem miała wrócić do swego domu...

Za bratem Antymem, który z łuczywem w ręku wskazywał drogę, Josse, Katarzyna i Sara, obarczeni kosztami, zanurzyli się w czeluściach ziemi. Otwarto przed nimi potężne drzwi z drewna kasztanowego wzmocnione żelaznymi okuciami i takąż kratą. Wewnątrz panowała mdląca woń, lecz nie czuli jej, gdyż Sara przyłożyła im do twarzy opaski nasączone octem, a na ręce kazała nałożyć rękawiczki.

– Tymi schodami dojdziecie do wjazdu – wyjaśnił brat Antym. – A teraz pozwólcie, że zamknę drzwi. Jeszcze możecie zawrócić, lecz jeśli wejdziecie do zamku, pamiętajcie, że nie otworzę ich przed upływem czterdziestu dni. A więc zastanówcie się...

– Już się zastanowiliśmy! – odparł Josse. – Muszę przyznać, że nie można ci, bracie, pogratulować odwagi ani miłosierdzia.

Ruszyli w drogę. Josse dopadłszy do wjazdu otworzył go wpuszczając z wnętrza potworny odór.

– O słodki Jezu! – wydał okrzyk, kiedy przełożył głowę przez otwór i powiódł wzrokiem wokół.

Wjazd wychodził na salę straży zamku i sala ta w bladym świetle brzasku przedstawiała okropny widok: dziesiątki szerniałych trupów leżały w swoich wydzielinach pośród pozostałości uczt. Pomieszane półnagie ciała mężczyzn i kobiet. Widocznie śmierć zaskoczyła ich podczas orgii z brutalnością pioruna, a smród panowałby nie do zniesienia, gdyby drzwi wychodzące na dziedziniec nie były przytrzymywane ciałem mężczyzny leżącego w poprzek.

– A Arnold? Czy widzisz Arnolda? – zduszonym głosem spytała Katarzyna.

Josse uczynił przeczący znak głową i podał rękę, by pomóc wejść jej, a potem Sarze. Katarzyna przytknąwszy mocnej chustkę z octem do ust pomknęła

prosto ku schodom wiodącym do części mieszkalnej. Tymczasem Josse za pomocą żelaznego haka wyciągał trupy na dziedziniec i podpalił powstały stos, po czym udał się do magazynów zamkowych w poszukiwaniu wapna z zamiarem posypania nim sali straży.

Dramat jednak nie kończył się tutaj. Sala honorowa, w której ucztowali co znamienitsi goście, także zasłana była trupami. Katarzyna oparła się o mur i zwymiotowała. Kiedy obrzydzenie przeszło, zmusiła się, by przyjrzeć się po kolei każdemu trupowi. Wtedy usłyszała głos Sary.

– Popatrz Katarzyno, jedna z dziewcząt jeszcze żyje!

W istocie, do kominka przytuliła się może czternastoletnia dziewczynka z wytrzeszczonymi oczami. Osłonięta jedynie własnymi włosami drżała jak liść i dała się wyprowadzić ze swej kryjówki bez sprzeciwu, lecz nie była w stanie odpowiedzieć na najprostsze pytanie. Z niemym przerażeniem pokazywała na schody prowadzące do wieży, gdzie mieszkał pan de Montsalvy. Katarzyna chciała rzucić się w tę stronę, lecz Sara chwyciła ją za rękę.

– Zostań tutaj! Już dość się napatrzyłaś! Sama pójde! Katarzyna, sama nie wiedząc dlaczego, usłuchała. Może dlatego, że przerażała ją ta śmierć i żniwo, jakie ukazało się jej oczom w najstraszniejszej formie. Ujawszy dziewczynę za ramię kazała jej włożyć suknię leżącą na krześle. Po chwili wróciła Sara.

– Chodź! Jest chory... ale dycha!

Ruszyły ku schodom, na których dogorywał jakiś człowiek z okropnymi czarnymi plamami na całym ciele i wielkim, fioletowym bąblem pod pachą. Za nimi ruszyła dziewczyna, zbyt szczęśliwa, że znowu widzi żywych.

– Temu nie można już pomóc – stwierdziła Sara na widok dogorywającego.

– A Arnold?

– Sama zobaczysz... Uprzedzam cię jednak, że jest tam i koronczarka... ale martwa!

Istotnie, wchodząc do pokoju męża, Katarzyna zobaczyła najpierw ciało Azalii. I ona była zupełnie naga, pod jej prawą pachą również widniał bąbel, wargi miała wykrzywione w skurczu cierpienia, leżała spowita masą czarnych włosów w poprzek stopni pod pańskim łóżem, na którym bez czucia leżał Arnold...

Katarzyna rzuciła się do niego ze łzami w oczach i z bijącym sercem. Arnold miał na sobie rozpiętą koszulę, która odsłaniała spocone ciało. Całe łóżo było pokryte wymiocinami. Oddychał z wysiłkiem i pokasywał.

Katarzyna odwróciła wzrok ku Sarze, która chwyciła nadgarstek chorego i mierzyła mu puls z miną prawdziwego medyka.

– No i co?

Cyganka wzruszyła ramionami.

– Na razie nie mogę nic powiedzieć. Puls jest przyśpieszony i ma wysoką gorączkę. Zresztą majaczy.

Rzeczywiście, z ust Arnolda dobywały się niezrozumiałe słowa.

– Co trzeba zrobić?

– Po pierwsze, wynieść go z tego pokoju. Trzeba wszystko spalić. Zaniesiemy go do kuchni, gdzie będzie wszystko pod ręką. Z twojego pokoju przyniesie się materace i pościel. Musimy zapewnić mu absolutną czystość.

Zawołajmy Jossego!

Przybiegł natychmiast i podczas gdy Sara zeszła do kuchni, udał się wraz z Katarzyną do jej pokoju, by zabrać potrzebne rzeczy. Istotnie, pokój kasztelanki był nietknięty i wszystko znajdowało się w doskonałym porządku.

Tymczasem Sara wyszorowała kuchnię, rozpałała ogień i postawiła wodę w wielkim kotle. Zwijała się przy tym jak w ukropie, toteż gdy Katarzyna i Josse oraz dziewczyna przybyli uginając się pod ciężarem pościeli, ręczników i materacy, można było zacząć przenosiny i przygotować łóżko.

Kiedy Sara i Josse przynieśli Arnolda zawiniętego w kołdrę, położyli go najpierw na podłodze, by zderzeć zeń odzienie i by go umyć. Kiedy go rozbierano, Sara zauważyła pod lewą pachą czerwoną opuchliznę.

– To czyrak! Zaczyna rosnać!

Umytego i ubranego w czystą koszulę Arnolda ułożono na materacu, a on natychmiast zwymiotował kilka razy i trzeba było myć go na powrót.

Gdy doprowadzono go do porządku, zaczął jęczeć w malignie, lecz tym razem Katarzynie zdawało się, że zrozumiała, iż ma pragnienie.

– Daj mu tego naparu z ziół – rzekła Sara podając jej kubek brunatno-zielonego płynu.

Oparłszy płonąca głowę męża na swym ramieniu, Katarzyna napiła go, walcząc ze wzruszeniem, jakie poczuła tuląc go jak dawniej do siebie. Wiedziała jednak, że przytula nieświadome ciało, a serce już do niej nie należy. Na tę myśl z jej oczu trysnęły łzy i popłynęły na policzek chorego.

Kiedy położyła go łagodnie na poduszkach, on otworzył oczy i łykał powietrze jak ryba. Potem dało się słyszeć wyraźnie jedno słowo:

„Ka... tarzyna”...

Po chwili nastąpiły inne, niezrozumiałe słowa, lecz to jedno słowo dodało jej otuchy. Czyżby ją poznał, czy też była tylko częścią jego świata majaków?

W tym czasie Sara zabrała się do przygotowania posiłku. Na szczęście kompani Arnolda nie opróżnili do cna bogatych zapasów zamku. Znalazła pszenicę i żyto, słoninę i szynki. Przeczesała kurnik stwierdzając z zadowoleniem, że katastrofa nie przeszkodziła kurom w znoszeniu jajek. Szybko rzuciła im ziarna. Josse zaś palił trupy, wzniecając na dziedzińcu piekielny ogień i kłęby dymu, które zasłoniły niebo. Katarzyna zajmowała się Arnoldem, wielokrotnie myjąc go i zmieniając mu pościel.

Gdy nadeszła noc, wszyscy padali ze zmęczenia, a Arnold wyglądał coraz gorzej. Spuchnięty język wypełniał całe usta, a oczy stały się żółte, skóra zaś sucha i paląca. Czyrak puchł w oczach i był już wielkości kurzego jajka. Sara pokazała Katarzynie, jak się robi okład z musztardy, mąki, miodu i octu, który trzeba było mu zmieniać.

– Jedyne nadzieje w tym, że czyrak szybko dojrzeje i pęknie. Tylko wtedy będzie można go uratować...

Ale Katarzyna nie wierzyła już, że to możliwe.

– On umrze – mówiła przez łzy, których nie mogła powstrzymać. – Ja wiem, że on umrze...

– Jeśli masz dalej przez niego cierpieć, tak będzie lepiej! – burknęła Sara.
– Nie zasłużył na twe starania, na to, że się dla niego narażasz... wszyscy się narażamy!... A teraz położysz się na materacu i postarasz się zasnąć!

– Nie. Chcę przy nim czuwać.

– Ja będę czuwać pierwsza. Po mnie Josse, potem ty. Obiecuję, że cię obudzę, gdyby... gdyby coś się stało.

Lecz tej nocy nikomu nie udało się zasnąć. Ciągłe trzeba było myć chorego, zmieniać mu pościel i dawać pić. Z nadejściem dnia trochę się uspokoił, lecz jego wygląd był niepokojący; oczy zapadły się do orbit, a ciało znieruchomiało, choć tym razem z ust i nosa popłynęła mu krew. Czyrak, na którym bez ustanku zmieniano okłady, rósł w oczach...

Pod wieczór zachmurzyło się, niebo przecięły błyskawice i rozległy się potężne grzmoty. Po chwili lunęło jak z cebra.

Katarzyna, Sara, Josse i dziewczyna wybiegli na dziedziniec, wyciągając ręce i krzycząc z radości.

– Deszcz, nareszcie deszcz! A więc nie jesteśmy przeklęci! Nagle poprzez grzmoty, błyskawice i szum deszczu usłyszeli potworne wycie. Wszyscy rzucili się z powrotem do kuchni, gdzie czekał na nich okropny widok: Arnoldowi udało się zwlec z posłania! W paroksyzmie cierpienia zerwał z siebie koszulę, bandaże i chwiejąc się na nogach stał przed kominkiem wydając jęki agonii...

– Wpadnie do paleniska! – zawołała Katarzyna, rzucając się w jego stronę, lecz w tej chwili Sara chwyciła ją za ramię krzycząc:

– Popatrz! Bąbel pękł! To dlatego szaleje! Idź, przynieś mi szarpi, dużo szarpi, i wróć tu w rękawiczkach.

W tym czasie Sara z Josse chwycili chorego od tyłu i zmusili go do położenia się. Istotnie, z jego otwartego czyraka wypływała czarna, gęsta, cuchnąca ciecz.

Katarzyna wróciła w rękawiczkach i z naręczem szarpi, które podała Sarze. W jej oczach malowało się nieme błaganie.

– Czy teraz... czy teraz... jest nadzieja?... Spocona twarz Sary rozjaśniła się w uśmiechu.

– Teraz tak... jeśli nie straci za dużo krwi. Jest bardzo silny. Chwasty bywają niezniszczalne...

Przez następną godzinę czyszczono ranę, w tym czasie Fatima przygotowywała kapustę, marchewkę i groch na zupę. Kiedy zapadła noc, Arnold odpowiednio zabandażowany leżał w czystym posłaniu, a jego opiekunowie mogli wreszcie zasiąść przy kuchennym stole do pierwszego prawdziwego posiłku wsłuchując się z zachwytem, jak potoki deszczu bębnią o dach.

Katarzyna chciała pierwsza czuwać przy chorym i nikt się jej nie sprzeciwiał. Wszyscy rozumieli, że pragnęła chwili samotności z mężczyzną którego niezłomnie kochała. Gdy udali się na zasłużony spoczynek, ona przycupnęła na materacu obok Arnolda i wyjąwszy z sakiewki bursztynowy różaniec, który dostała od siostry Beatrycze w Brugii, po raz pierwszy od dłuższego czasu zagłębiła się w modlitwie. Potem ująwszy dłoń męża uniosła ją do ust...

Nie, nie będzie się tłumaczyć ani bronić, gdyż musiałaby kłamać, ukryć przed nim to, co się wydarzyło w Lille w noc królów... Tak naprawdę to była niewierna żoną... choć nie miał najmniejszego prawa jej tego zarzucać...

Kiedy odzyska świadomość, myślała, jeśli mnie pozna, zobaczę, jakie

będzie jego pierwsze spojrzenie. Jeśli będzie takie, jak się obawiam, odejdę bez słowa, odejdę na zawsze... Nie chcę, by z naszej miłości została tylko wdzięczność i litość...

Dni mijały, a deszcz nie ustawał. Zamknięci zorganizowali sobie regularny tryb życia. Katarzyna opiekowała się chorym, Fatima prała jego bieliznę. Dni płynęły monotonnie. Sara i Fatima zajmowały się zwierzętami, kurami, królikami i końmi, przygotowywały posiłki i mikstury dla chorego. Kiedy wstał dziewiąty dzień, a czysty błękit nieba zapowiadał piękną pogodę, usłyszano walenie do bram, wrzawę i tumult, jakby tłum jakiś zbliżał się do miasta. Josse rzucił się na mury. Na ulicy było pełno ludzi, ludzi, których znał, mężczyzn, kobiet i dzieci z Montsalvy, a na wozie jechał mnich w białej szacie, który, jak się zdawało, dawał ludziom rozkazy. Mężczyźni rzucili się do stosu glazów zagrządzających wejście...

– Przeorze Bernardzie! Przeorze Bernardzie!... Dzięki Bogu wróciłeś! Co za szczęście!

– Przywieźliśmy go! – usłyszał dźwięczny głos Waltera. – Jest jeszcze słaby, ale koniecznie chciał ruszyć w drogę z nami! A co tam u was?

– Pani Katarzyna, Sara i ja jesteśmy cali i zdrowi. Co się tyczy pana Arnolda, to żyje, ale jest bez czucia... Pośpieszcie się! Zawiadomię panią Katarzynę i Sarę! Ucieszą się.

– Wróciliśmy! – zagrzmiała Gauberta – gdyż ogarnął nas wstyd, że pozwoliliśmy wam udać się do tego piekła, a sami zadekowaliśmy się w Roquemaurel! Wszystko jedno, co się z nami stanie!

Entuzjazm podobny do niedawnej paniki powodował tymi ludźmi, którzy zapomnieli o czyhającym ciągle niebezpieczeństwie. W tej chwili wszyscy jak jeden mąż płonęli chęcią zrehabilitowania się w swoich własnych oczach i w oczach swojej kasztelanki. Niebawem brama zamknięta przez mnichów stanęła otworem i na dziedziniec wdarła się pierwsza fala powracających z Gaubertą na czele, ciągnąc wóz, w którym spoczywał przeor. W klasztorze zaczęto bić w dzwony, kiedy władczy głos z głębi dziedzińca przygwoździł ich w miejscu.

– Nie wchodzić! Zabraniam wam wchodzić!...

Okrzykowi przerażenia Katarzyny, Sary i Josse oczekujących na dziedzińcu odpowiedział echem krzyk osłupienia tłumu jak w obliczu cudu: opierając się na ramieniu Fatimy i o framugę drzwi kuchni stał Arnold de Montsalvy. Wychudzony, odziany w długą, białą koszulę, z twarzą napiętnowaną chorobą, zapadniętymi policzkami i oczami wyglądał jak zjawa. Wszyscy pomyśleli, że widzą Łazarza wstającego z grobu, i mieszkańcy Montsalvy zgodnym odruchem padli na kolana wokół wozu, na którym przeor błąd jak chusta próbował wstać. Katarzyna także upadła na kolana.

– Arnoldzie! Ty żyjesz! Żyjesz!... Boże Wszechmogący!...

Lecz on nie spojrzał na nią. Opierając się ciągle na ramieniu Fatimy i podtrzymywany z drugiej strony przez Jossego, który rzucił się ku niemu, zbliżał się z trudem, powłócząc bosymi stopami, w stronę swoich wasali; ci zaś nie wiedzieli, czy mają chwalić Boga, czy brać nogi za pas wołając pomocy.

– Odejdźcie stąd! – powtórzył. – Zamknijcie bramy i wracajcie tam, skąd przyszliście! Mam szczęście, że jeszcze jestem przy życiu, lecz zaraza czyha nadal! Odejdźcie stąd... moje owieczki!... Kiedy nadejdzie czas, te bramy otworzą się przed wami i znowu będziemy razem.

– Nie możemy zamykać bram, przyjacielu! – przerwał przeor. – Przybyłem tutaj, by skończyć z hańbą której przykład dawali moi bracia. Zamiast myśleć tylko o sobie, powinni byli uczynić wszystko, by ratować tych, którzy potrzebowali pomocy. Ty, panie, jesteś uratowany, lecz czy możesz przysiąc, że ci, których poświęcenie przyszło do ciebie pomimo najgorszego niebezpieczeństwa, nie zapłacą życiem, jeśli zatrzymasz ich tutaj bez żadnej ochrony poza ich odwagą? Opuśćcie zamek i dokończysz leczenia w klasztorze, gdzie pani Katarzyna, Sara i Josse zapewnią ci opiekę w razie potrzeby...

– Nie zgadzam się!... Nie wyjdzie stąd nikt!

W błękitnych oczach mnicha błysnął gniew, a jego osłabione ciało wyprężyło się.

– Nie chodzi mi o ciebie, Arnoldzie de Montsalvy! Chodzi o dwie kobiety... zwłaszcza o jedną, której nie dałeś żadnego powodu, by poświęcała się dla ciebie! Podejź do mnie, Katarzyno! Podejź do mnie, moje biedne dziecko!

Uśmiechał się do niej dobrotliwie i wyciągał bladą dłoń. Bernard de Calmont d'Olt znał ją od dawna i zawsze potrafił ją zrozumieć. I teraz ofiarował jej swoją przyjaźń, schronienie... a Arnold nawet na nią nie spojrział. Jego pogarda i obojętność wskazywały na to, że rzeczywiście przestała dla niego istnieć. W tej chwili zdawało się, że serce jej pęknie, a w gardle dławili ją łzy rozpacz. Na chwilę zamknęła oczy, by znaleźć w sobie odrobinę siły, zacisnęła dłonie i odwróciwszy się od Arnolda uczyniła kilka kroków w stronę przeora, który schodził z wozu wyciągając do niej ramiona, kiedy brutalne słowo przykuło ją w miejscu.

– Ona zostanie tutaj!

Tłum zaszemrał, a oburzony przeor krzyknął:

– Nie masz prawa, panie! Niebo na ciebie patrzy!

– Mam wszelkie prawa! Co do Boga... to niech patrzy! Dalej, poprowadźcie mnie do niej – dodał pod adresem podtrzymujących go.

Josse jednak nie usłuchał.

– Co zamierzasz, panie? Jeśli masz zamiar zadać jej nowe cierpienie, to idź sam!

Chciał wypuścić wielkie ciało pana, lecz ten uczeplił się kurczowo jego ramienia i powtórzył:

– Powiedziałem, zaprowadź mnie do niej!

– Uczyń, jak chce! – powiedział przeor. – Zobaczymy, jakie ma zamiary.

Zaczęli iść powoli, krok po kroku, Josse i Fatima z trudem przesuwali swój ciężar. Stłoczony przy bramie tłum wstrzymał oddech. Katarzyna stała jak skamieniała, a jej serce waliło młotem. Co zamierzał? Jaki wstyd publiczny przeżyje z jego powodu? Patrzyła na niego ze strachem zmieszonym z litością, że ten tak dumny rycerz wlecze się z trudem.

Kiedy był dwa kroki od niej, Montsalvy wydał kolejny rozkaz.

– Rzućcie mnie przed nią na kolana! Josse spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz, panie?...

– Rzekłem: na kolana! Tutaj... w kurzu, u jej stóp! Żądam tego! Josse i Fatima, wśród całkowitej ciszy, uczynili, jak rozkazał, i oniemiała Katarzyna ujrzała nagle przed sobą wielkiego pokutnika, z bosymi stopami i w samej tylko

koszuli, któremu brakowało jedynie sznura na szyi... Ten sznur jednak Arnold de Montsalvy miał sobie sam zarzucić w głębi duszy. Nie wypuszczając ramion Fatimy i Jossego, by nie zaryć twarzą w ziemi, zebrawszy wszystkie siły krzyknął:

– Was wszystkich, którzy mnie teraz słuchacie, biorę na świadków mojej hańby i mojej... skruchy! Chcę, byście wszyscy słyszeli, jak błagam o przebaczenie waszą panią, najlepszą i największą panią na świecie!... Katarzyno, sponiewierałem cię, zdradziłem na wiele sposobów, przekląłem i sprowadziłem na ciebie cierpienia, jakich żadna istota ludzka nie byłaby w stanie znieść! Owładnięty demonami pychy, chciałem wyrwać ci twój dom, twoje dzieci, nawet twoje życie! A pomimo to, kiedy ręka sprawiedliwości Pana zawisła nade mną, ofiarowałaś swoje życie, aby ratować moje... przybyłaś do mnie, nie zważając na najstraszliwszą ze śmierci... porzuciłaś wszystko i przybyłaś!... Wiem, ile wycierpiałaś... gdyż od trzech dni odzyskałem świadomość, patrzyłem, jak żyjesz, słuchałem cię, wiem, jak okrutną przebyłaś drogę, by mnie ratować! O, jakże się nienawidzę!

– Nie!... Nie mów tak!...

– Pozwól mi skończyć... Mam tak mało sił... Nie wiedziałem, co czynić ze sobą... Może gdyby oni nie przyszli, nie odezwałbym się słowem, a odzyskawszy siły, uciekłbym jak tchórz daleko od ciebie. Teraz mam zamiar to zrobić. Uczyniłem ci zbyt wiele zła. Wyrządziłem zbyt wiele krzywd i wykopałem między nami przepaść, której nic nie zdoła teraz zappełnić. Dlatego oddaję ci twoją wolność... Odejdę, a ty zostaniesz tutaj ze swymi dziećmi, wasalami, wszystkimi, którzy cię tak kochają. W Montsalvy nie będzie pana, dopiero jak Michał osiągnie dojrzałość. Będzie za to pani, szlachetna i dobra pani, która potrafi miastem pokierować. Ja zamknę się w klasztorze, by odbywać swoją pokutę tak długo, jak Bóg utrzyma mnie przy życiu... Lecz ty, Katarzyno, zanim rozstaniemy się na zawsze, powiedz mi, powiedz, że mi przebaczasz!...

Tego już nie mogła znieść. Nie mogąc dłużej słuchać jego smutnego, pokornego głosu błagającego u jej stóp, Katarzyna wybuchnęła szlochem upadłszy przy Arnoldzie na kolana.

– Przestań! Błagam cię, przestań już!... Nie chcę o niczym słyszeć oprócz jednego: powiedz mi, kim jestem dla ciebie? Powiedz, czy mnie nadal kochasz? – Złączywszy dłonie, szlochała naprzeciwko tego ukorzonego mężczyzny, z którego oczu spływały gorące łzy po przeciętym szramą policzku. – Błagam cię, odpowiedz! W imię Boga, zaklinam cię, powiedz mi prawdę, twoją prawdę! Czy jeszcze mnie kochasz? Czy zostało jeszcze coś z naszej dawnej miłości?

Wtedy on wyciągnął swoje wychudzone, drżące dłonie i ujawszy jej twarz wyszeptał:

– Moja kochana... moja jedyna! Czy cię kocham? Ależ uwielbiałem cię całe życie i nigdy nie przestanę cię kochać... Nigdy! Dopóki będę żył, będę cię kochał...

Nad dwoma klęczącymi postaciami przeleciał skowronek, szybując prosto do nieba, wyśpiewując na całe gardło radość z powrotu słońca, gdy ramiona Katarzyny zamknęły się łagodnie wokół mężczyzny, którego zdobyła na wieczność. Wspólnie podejmą urwaną drogę, drogę prowadzącą do mądrości, do zaufania, do siwych włosów, do zwykłego, codziennego szczęścia...

Osiem dni później, wtuleni w siebie Arnold i Katarzyna patrzyli, jak płonie ich zamek. Poprzez okna widać było wysokie, ryczące płomienie atakujące sufity i ściany, z wściekłością niszczące nie tylko ślady zarazy, lecz i duchy demonów, które przez wiele miesięcy zawładnęły ich siedzibą.

Tak postanowił pan de Montsalvy:

„Niech nic nie pozostanie z mojego szaleństwa! Ani jednej boazerii, ani jednego dywanu, ani jednego mebla skalanego dotykiem niegodnej ręki! Gdy już zostaną tylko gołe mury, zabierzemy się do odbudowy! Gdyż dla mojej żony i moich dzieci, dla życia, które od tej pory wieść będziem, chcę wszystko stworzyć od nowa! Dopiero wtedy możemy zacząć żyć od nowa!”

Teraz, w obliczu pożaru, czuł się wyzwolony, czuł ogarniającą go radość, która dziwiła jego samego. Czy więc tak prosto można było wymazać przeszłość?

Przytulona do mężowskiego ramienia Katarzyna patrzyła również, lecz mimo zalewającego ją szczęścia czuła ukłucie serca, widząc, jak znikają z dymem sprzęty, które sama kiedyś wybierała z taką miłością.

Silniej przytuliła się do Arnolda, który zgadując jej żal, przycisnął ją mocniej do serca i złożył pocałunek na jej czole.

– Tak trzeba było, moje kochanie! Oddam ci wszystko, co dzisiaj strawi ogień... Oddam ci tyle miłości, że pewnego dnia pomyślisz, kiedy już będziemy starzy oboje, że nasza długa historia, nasza okrutna historia... nie była niczym innym jak tylko... baśnią, która zdarzyła się komuś innemu, legendą zrodzoną w wyobraźni prababki.

Katarzyna wspięła się na palce i cmoknęła Arnolda w policzek ze szramą.

– Dlaczego mówisz „nasza okrutna historia”? Ja uważam, że była piękna! A poza tym dlaczego mówisz o niej w przeszłości? Czy jesteśmy starzy? Czy jesteś taki pewny, że jest skończona?...

– Mam taką nadzieję! – odparł Arnold ze śmiechem. – Musi tak być, pomimo twego zamięłowania do wędrówek. Musi tak być, gdyż ludzie szczęśliwi nie mają historii, a teraz pragnę być szczęśliwy z tobą i naszymi dziećmi. Teraz pragnę jedynie szczęścia!

Odwróciwszy się od płomieni pociągnął Katarzynę za sobą. Stojący za nimi ludzie Montsalvy pozdrowili ich radosnymi okrzykami, podczas gdy porywy jesiennego wiatru przyniosły znad wyżyny pierwsze złociste i purpurowe liście, zwiastuny rychłej zimy, którą pan i pani de Montsalvy mieli spędzić w domu gościnnym klasztoru, przygotowując plany nowego domu.

Na wiosnę, kiedy ziemia zrodzi swoje dary, a natura obudzi miłość, wszystko zakwitnie na nowo...

Saint-Mandé, 3 września 1978 r.